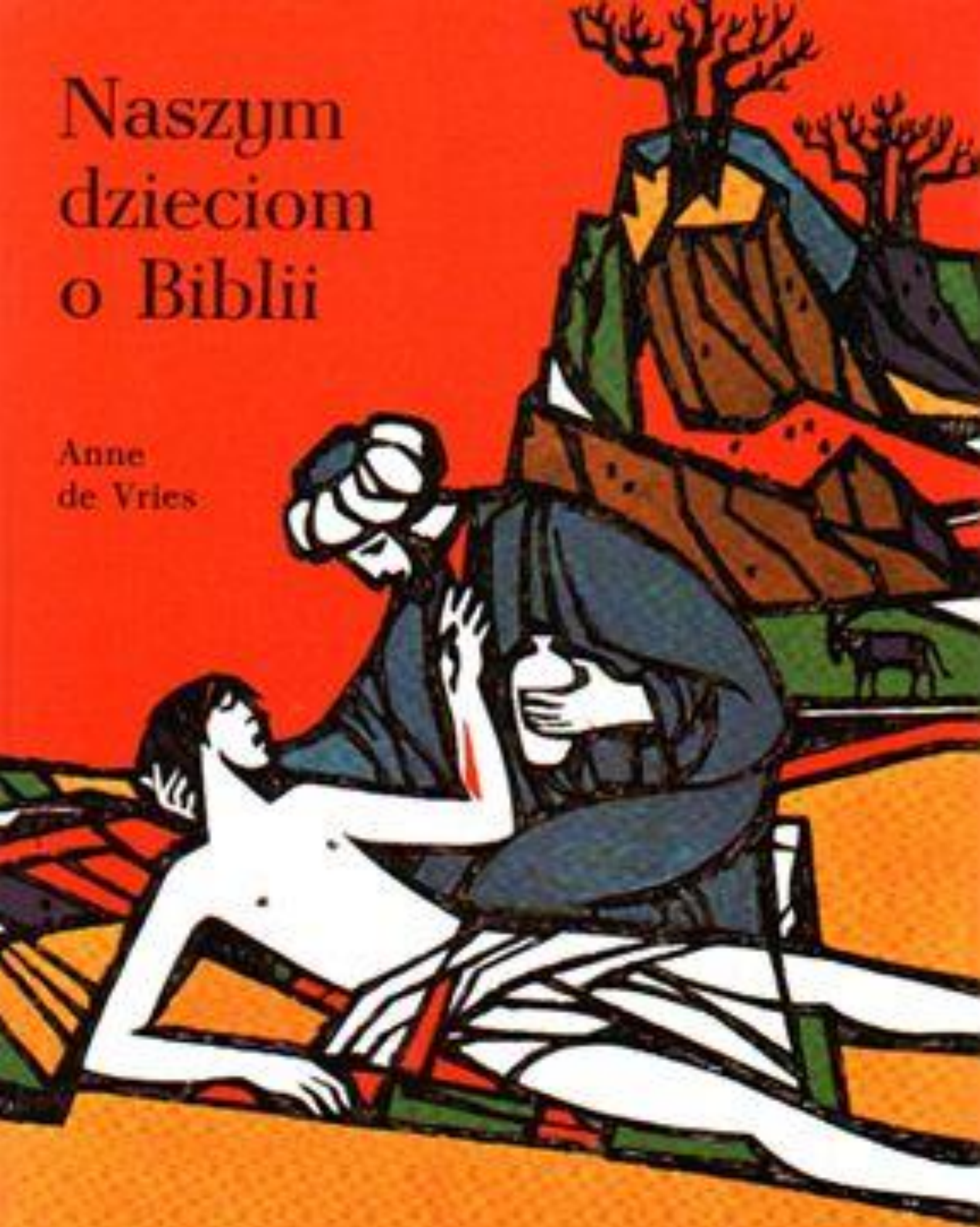


Naszym dzieciom o Biblii

Anne
de Vries



Instytut Wydawniczy CROSS

Naszym dzieciom o Biblii

Anne de Vries

HISTORIE BIBLIJNE

WSZYSTKO POCHODZI OD BOGA

Posłuchaj mnie uważnie.

Opowiem ci, skąd się wzięło wszystko na świecie.

Czy wiesz, skąd bierze się jedzenie? Na przykład ta kromka chleba z masłem, którą jesz?

Oczywiście, przygotowała ci ją mamusia. Chleb kupiła u piekarza, a piekarz upiekł chleb z mąki. Mąkę zaś wzięł od młynarza. Młynarz, aby mieć mąkę, musiał zemleć ziarno, które przywiózł do niego wieśniak. Wieśniak ziarno zebrał z pola.

Ale kto sprawił, że zboże wyrosło na polu?

Bóg, nasz Ojciec!

Gdyby On tego nie uczynił, wieśniak nie miałby zboża na polu. Młynarz nie miałby mąki. Piekarz nie miałby z czego upiec chleba, a twoja mamusia nie mogłaby dać ci go do jedzenia.

Tak jak chleb, wszystko, co jemy, pochodzi od Boga.

Dlatego każdego dnia rano wielu ludzi modli się: „Dzięki Ci, Panie, za pokarm. Amen”.

Nasz dom także zawdzięczamy Bogu. Oczywiście, dom został zbudowany z cegieł, drzewa, cementu i innych rzeczy.

Cegły zostały zrobione z gliny.

A skąd wzięło się drzewo do budowy domu? Zostało ścięte w lesie.

Kto jednak sprawia, że drzewa rosną? Kto stworzył ziemię, drzewa i wszystko, co nas otacza?

Bóg, nasz Ojciec!

Gdyby tego nie uczynił, nie mielibyśmy domu.

Tak samo jest ze wszystkim wokół nas, bo wszystko pochodzi od Boga.

Bóg stworzył wszystko: i ziemię, na której żyjemy, i niebo, w którym On mieszka, a także nas samych. Tak, ciebie również stworzył Bóg. Kiedy byłeś jeszcze całkiem małą, twoi rodzice otrzymali ciebie od Niego. Byłeś wtedy małym dzieckiem. Umiałeś jedynie wywijać rączkami i nóżkami oraz płakać. Ale Bóg czuwał nad tobą. Rosłeś, teraz jesteś już całkiem duży. Już wiele potrafisz. Nauczyłeś się już różnych rzeczy. Ale jeszcze bardziej urośniesz i jeszcze więcej się nauczysz. I Bóg ciągle będzie nad tobą czuwał.

To On daje ci dach nad głową, pożywienie, ubranie i dużo innych rzeczy. To On opiekuje się nami wszystkimi. To On jest naszym Ojcem, który mieszka w niebie.

STWORZENIE ŚWIATA

Posłuchaj mnie jeszcze.

Opowiem ci teraz, w jaki sposób Bóg wszystko stworzył.

Bardzo, bardzo dawno temu Bóg stworzył niebo i ziemię.

W niebie wszystko było piękne, jasne i radosne. Mieszkał w nim Bóg w otoczeniu aniołów, które przepięknie śpiewały.

Ale na ziemi nie było jeszcze niczego i wcale nie było tu ładnie — zimno, smutno i ciemno, straszliwie ciemno, a cała ziemia była zalana wodą. Ale Bóg postanowił:

— Chcę, aby i na ziemi było pięknie. I rzekł:

— Niech się stanie światłość!

I zaraz stało się jasno, tak jak Bóg rozkazał. Wszystko bowiem, cokolwiek Bóg powie, zawsze musi nastąpić.

Potem nadszedł wieczór i ziemia znowu pogrążyła się w ciemnościach. I tak jest zawsze od tamtej pory: co wieczór robi się ciemno.

A Bóg powiedział:

— Porę, kiedy jest jasno, nazwiemy dniem, a ciemność — nocą.

I tak upłynął dzień pierwszy.

Drugiego dnia Bóg kontynuował swe dzieło. Powiedział:

— Niechaj błękitne niebo rozciąga się nad ziemią!

A po błękitnym niebie płynęły białe obłoki. Było to bardzo piękne!

Potem znów zapadł wieczór i minął drugi dzień.

Cała ziemia była ciągle jeszcze zalana wodą. Więc dnia trzeciego Bóg osuszył jedną jej część: wody spłynęły i ziemia wyschła.

Wtedy rzekł Bóg:

Część suchą nazwiemy lądem, a wodę — morzem.

I rozkazał Bóg, by na lądzie wyrosły drzewa, kwiaty i trawa. Kwiaty mocno pachniały, trawa zieleńiła się, a drzewa szumiały poruszane podmuchem wiatru. Ziemia była teraz naprawdę piękna!

Ale czwartego dnia stała się rzecz jeszcze piękniejsza, o ile to w ogóle możliwe! Tego dnia Bóg stworzył Słońce. Od rana świeciło ono na niebie, wznosiło się coraz wyżej i wyżej, ogrzewając ziemię swym blaskiem. Kwiaty zwracały ku niemu główki i w jego promieniach rozchyłały kielichy, ukazując całą swą krasę. Wieczorem słońce schodziło coraz niżej i niżej, aż nikło za horyzontem. Wtedy jednak nie robiło się zupełnie ciemno, bo ukazywał się Księżyc, gdyż Bóg stworzył i Księżyc, i migocące gwiazdy.

Rzekł:

— Słońce ma świecić w dzień, księżyc zaś nocą.

I tak się stało.

Potem nadszedł dzień piąty.

Czy wiesz, co Bóg stworzył tego dnia?

Ryby i ptaki.

Ryby pluskały w wodzie, a ptaki śpiewały na drzewach. W ten sposób wyrażały Bogu swą radość.

Bóg nauczył je budować gniazda i powiedział do nich:

— Znoście i wysiadujcie jaja, aby wykluły się z nich małe pisklęta. Odtąd przybywać będzie na ziemi ptactwa.

I minął dzień piąty.

Szóstego dnia stworzył Bóg coś jeszcze wspanialszego.

Najpierw zwierzęta: konie, krowy, owce, króliki, a także ogromnego słonia i małą myszkę.

A co było potem?

Potem rzekł Bóg:

— Teraz stworzę człowieka, istotę, która będzie do mnie podobna.

I stworzył pierwszego mężczyznę, i dał mu na imię Adam.

Wtedy rzekł:

— Adamie, będziesz panem wszystkiego, co stworzyłem. Będziesz panował nad rybami, ptakami i wszystkimi zwierzętami. Wszystko ma być tobie podległe, ale ty musisz być mi posłuszny.

Adam zrozumiał dobrze, o co Bogu chodziło.
I tak minął dzień szósty.

Siódmego dnia Pan Bóg odpoczął po pracy, ponieważ ukończył dzieło tworzenia.

Na świecie nie istnieje więc nic, czego by Bóg nie stworzył.
Tak samo nie ma na ziemi takiego dziecka, nad którym by On nie czuwał.
Zawsze o tym pamiętaj!

ADAM I EWA

Adam spacerował po przepięknym ogrodzie. Barwne kwiaty kwitły pośród traw, ptaki śpiewały na drzewach. Tuż nad jego głową zwieszały się z gałęzi wspaniałe owoce: winogrona, jabłka i różne inne. W ogrodzie mieszkały też rozmaite zwierzęta, wszystkie miłe i łagodne. Żadne nie było drapieżne i nie wyrządzało krzywdy drugiemu. To był cudowny ogród!

Czy wiesz, jak się on nazywał?

Ogród Eden albo raj.

A czy wiesz, kto tam jeszcze przebywał?

Sam Pan Bóg.

To On stworzył ten ogród i dał go Adamowi, aby tu mieszkał. Bóg opiekował się Adamem troskliwie, jak ojciec swym dzieckiem, i chciał, by Adam był szczęśliwy.

Pewnego razu do Adama, spacerującego po raju, przybył Bóg i przemówił do niego. Człowiek ucieszył się bardzo usłyszawszy Boży głos, a świadomość bliskości Boga sprawiała mu największą radość.

Pan Bóg polecił Adamowi, by opiekował się tym pięknym ogrodem i jadł wszystkie owoce, na jakie tylko ma ochotę.

Ale z jednego drzewa nie wolno mu było zrywać owoców. Drzewo to, rosnące w samym środku raju, nazywało się drzewem znajomości złego i dobrego.

Pan Bóg powiedział:

— Możesz jeść bez obawy owoce ze wszystkich drzew, z wyjątkiem tego jednego. Jeżeli bowiem zjesz jego owoc — umrzesz.

Adam był posłuszny Bożemu nakazowi.

Nie chciał, żeby Bóg gniewał się na niego.

Pewnego dnia Bóg przyprowadził do Adama wszystkie zwierzęta, by nadał im imiona. Od tamtej pory noszą one te nazwy, które człowiek im nadał. Zwierzęta zbliżały się parami, samiec z samicą, tworząc długi, długi korowód. Na samym przedzie kroczyły dwa kolosy. Adam nazwał je słoniami. Potem przyfrunęły dwa ptaszki o czerwonych gardziołkach i zostały nazwane gilami. Dalej kroczył lew z lwicą, dwa węże, baran z owcą, a Adam każdemu nadawał imię. Kiedy jednak wszystkie zwierzęta odeszły, człowiek poczuł, że ogarnia go smutek. Zwierzęta bowiem podchodziły parami, samiec ze swoją samicą, każde ze swą towarzyszką, tylko Adam był sam.

Pan Bóg znał myśli Adama, bo On wie wszystko! Więc Adam nie musiał Mu niczego wyjaśniać.

Bóg rzekł:

— Niedobrze jest człowiekowi samemu.

I zaraz zesał na Adama głęboki sen. A po przebudzeniu Adam zobaczył koło siebie kobietę, Ewę. To Bóg mu ją dał. Adama ogarnęła radość. Odtąd już nie będzie sam! Zabrał Ewę do ogrodu i wszystko po kolei jej pokazywał, także to drzewo, z którego nie wolno im było jeść owoców. Dwojgu ludziom

było ze sobą dobrze i żyli szczęśliwi. Nie znali żadnego cierpienia. Nigdy nie chorowali. Nie mieli powodów do zmartwień czy obaw. Żyli blisko Boga. On był ich Ojcem, oni Jego dziećmi. Nigdy potem żaden człowiek na ziemi nie był tak szczęśliwy, jak oni wtedy!

Ale pewnego dnia wszystko się zmieniło, i to z ich własnej winy!

Ewa spacerując po ogrodzie podeszła do drzewa, z którego nie wolno im było jeść owoców. Wtedy usłyszała czyjś głos.

Kto to mógł do niej mówić?

Nie był to Adam...Nie był to także Pan Bóg...

Ewa przystanąła z ciekawością i nagle spostrzegła węża, który patrzył na nią błyszczącymi oczyma.

— Powiedz mi — zapytał wąż — czy to prawda, że nie wolno wam jeść owoców z żadnego drzewa? Czy Bóg naprawdę wam tego zakazał?

— Ależ skąd! — odpowiedziała Ewa. — Wolno nam jeść owoce z wszystkich drzew z wyjątkiem tego jednego. Gdybyśmy zjedli — umrzemy. Tak powiedział Pan Bóg.

Wtedy wąż przyklnął oczy i szepnął: — Skądże znowu, wcale nie umrzecie! Bóg tak powiedział, ale to nieprawda. Przeciwnie, staniecie się jeszcze szczęśliwsi. Będziecie tak mądrzy i potężni, jak On sam. Możesz mi wierzyć, gdyż wiem o tym lepiej od Boga. Zjedz ten owoc bez obawy, a zobaczysz, że nic ci się nie stanie.

Ewa spojrzała na owoce. Pachniały aromatycznie i wspaniale połyskiwały w słońcu. Na pewno są bardzo smaczne!

I Ewa posłuchała węża. Zerwała owoc z drzewa i jadła. Potem dała Adamowi i on jadł również. I choć Pan Bóg im tego surowo zabronił, oni nie posłuchali. Popętnili wielki grzech!

Natychmiast też przekonali się, że wąż kłamał, bo poczuli się nieszczęśliwi, smutni i wystraszeni. Zawstydzili się zauważywszy, że są nago. Dotąd nigdy nie zwracali na to uwagi, teraz nagle to spostrzegli. Zerwali więc wielkie liście i przysłonili nimi swą nagość.

Nieco później, w szumie wieczornego wiatru posłyszeli głos Boży. Ten głos, zawsze dotąd wywołujący radość, teraz tak ich przeraził, że spieszenie ukryli się w krzakach, mając nadzieję, że Bóg ich tam nie znajdzie. On jednak widzi wszystko, więc dojrzał ich wśród krzaków i zawołał:

— Adamie, gdzie jesteś? Przyjdź do mnie.

Musieli więc stanąć przed Nim, skoro ich odkrył. Podeszli trzęsąc się ze strachu i nie śmiejąc podnieść oczu. Bóg zapytał:

— Czy jedliście owoc z tego drzewa? Mówił gniewnym tonem, w którym brzmiał jednak smutek.

Adam odpowiedział:

— Tak, Panie, to wąż namówił nas, byśmy jedli.

Wówczas Pan Bóg rozgniewał się na węża, a jeszcze bardziej na nieprzyjaciela, który to spowodował. Naprawdę, ten był wszystkiemu winien! Tym nieprzyjacielem jest Szatan, który zazdrości Bogu i chce niszczyć Jego piękne dzieło. Tym razem mu się udało...

Adam i Ewa nie mogli już dłużej przebywać w pobliżu Boga, bo okazali się nieposłuszni. Musieli opuścić raj.

Pan Bóg, mimo wszystko, kochał swoje nieposłuszne dzieci. Obiecał im, że kiedyś wszystko się odmieni. Ewa będzie miała dzieci, a pewnego dnia zjawi się na świecie Dziecko, które okaże się silniejsze od Szatana. Zwycięży go i będzie czuwało, by nie mógł czynić zła.

Czy wiesz, o jakim dziecku mówię? O Panu Jezusie.

Kiedy On przyjdzie. Bóg nie będzie już dłużej gniewał się na ludzi. Zamieszkają wtedy blisko Niego, w niebie, gdzie jest o wiele piękniej niż w raju.

Tak, Bóg nie przestał kochać swych dzieci. Otaczał je nadal opieką, dał odzienie ze skór zwierzęcych, żeby mieli w co się ubrać i nie cierpieli zimna.

Musieli jednak opuścić raj bezpowrotnie, bo anioł stojący przy wejściu nikogo nie wpuszczał.

Biedny Adam! Biedna Ewa! Jakże smutny spotkał ich los!

Czuli się tacy nieszczęśliwi!

Kiedys jednak, gdy Dziecko przyjdzie na świat, wszystko się odmieni. Na myśl o tym robiło im się trochę lżej na sercu.

KAIN I ABEL

Adam i Ewa nie mieszkali już w raju. Przedtem ich życie było piękne i beztrudne, teraz stało się smutne i trudne. Tak zostali ukarani za nieposłuszeństwo.

Pewnego dnia spotkało ich jednak coś bardzo miłego. Bóg obdarzył ich dzieckiem, małym chłopcem. Cieszyli się z tego ogromnie! Ewa została matką! Swemu synowi dała na imię Kain.

Trochę później urodziło się drugie dziecko, też chłopczyk. Dali mu na imię Abel. Adam i Ewa mieli teraz dwoje dzieci.

Ewa nie miała dla nich kołyski ani ciepłej kołderki, która chroniłaby od zimna. Była tak biedna, że właściwie niczego nie miała.

Troszczyła się jednak o Kaina i Abela, jak tylko mogła najlepiej. Zrobiła im postania ze słomy i siana, nakryła skórami zwierząt, pod którymi było im ciepłutko.

Obaj chłopcy rośli i nabierali sił. Umieli już chodzić i mówić. Adam i Ewa nauczyli ich również modlić się. Opowiadali im o Panu Bogu, o raju, a także o Szatanie, który zawsze namawia ludzi do nieposłuszeństwa.

Adam i Ewa pytali swych synów: — Czy chcecie zawsze kochać Boga i być Mu posłuszni?

Kain i Abel wyrosli na mężnych chłopców. Wtedy zaczęli pracować tak samo jak ich ojciec.

Kain został rolnikiem. Uprawał rolę. Siał zboże, a gdy dojrzało, zbierał je. Z mąki piekł chleb.

Abel został pasterzem. Pasał owce na łąkach i troszczył się o to, by miały dość trawy. One dostarczały mu mleka i smacznego mięsa.

Kain siał coraz więcej zboża. Ablowi przybywało owiec, bo co roku rodziły się młode.

Kto jednak sprawiał, że Kainowi rośnie zboże?

Kto dawał Ablowi owce?

Pan Bóg.

Wszystko zawdzięczali Bogu. Kain i Abel wiedzieli o tym. Adam im to często powtarzał.

Dlatego pragnęli podziękować Panu za wszystkie Jego dary i coś pięknego Mu ofiarować.

Postanowili złożyć ofiarę.

Czy wiesz, jak to zrobili?

Posłuchaj uważnie!

Abel wybrał najpiękniejszą ze swych owiec i powiedział:

— Tę owieczkę przeznaczam dla Pana Boga.

Potem zbudował ołtarz z kamieni. Położył na nim stos suchych, dobrze palących się polan. Następnie złożył na nich zabitą owcę. Podłożył ogień i wszystko zaczęło się palić, a dym unosił się prosto w górę.

Wtedy Abel ukląkł i tak się modlił: — Panie Boże, kocham Cię bardzo. Wiem, że zawsze czuwasz nade mną, więc teraz składam Ci tę owieczkę, którą otrzymałem od Ciebie, aby wyrazić, jak bardzo Cię kocham.

Pan Bóg słyszał jego słowa, bo On słyszy modlitwy wszystkich ludzi. Wiedział też, że Abel Go kocha. I On kochał Abła. Przyjął jego ofiarę i Abel poczuł się szczęśliwy.

Kain także złożył Bogu ofiarę. Zbudował ołtarz z kamieni i położył na nim suche drewniane polana. Następnie złożył część swego zboża zebranego z pola. To Bóg sprawił, że zboże wyrosło. Na koniec Kain podłożył ogień.

Wtedy Kain zaczął się także modlić, chociaż nie odczuwał prawdziwej wdzięczności. Myślał sobie: Sam siałem, sam troszczyłem się, by zboże wyrosło, więc właściwie dlaczego mam dziękować Panu Bogu?

Bóg znał jego myśli. Wiedział, że Kain Go nie kocha. Dlatego nie przyjął od niego ofiary.

Kain od razu to zauważył. Rozgniewał się na Pana Boga, a także na Abła, szczególnie na Abła, gdyż mu zazdrościł.

Myślał sobie:

— Bóg zawsze wyróżnia mego brata, a nie mnie.

Ciągle nad tym rozmyślał i stawał się coraz gorszy, coraz bardziej zapięły w gniewie. Nie mógł sypiać, prawie nic nie jadł.

Bóg upominał go, mówiąc:

— Kainie, czemu jesteś taki zły i zazdrosny? Przecież sam jesteś sobie winien. Jeżeli pokochasz mnie naprawdę, ty również staniesz się szczęśliwy. Zastanów się nad tym, Kainie, i przestań zazdrościć.

Ale Kain nie słuchał. Nadal robił to, co mu się podobało.

Pewnego dnia rzekł do Abła:

— Chodźmy na pole!

Gdy znaleźli się sami, rzucił się na Abła i uderzył tak mocno, że go zabił. Abel padł na ziemię, a jego krew zrosiła trawę.

Przerażony Kain, bojąc się kary, natychmiast uciekł. Liczył na to, że Pan Bóg niczego nie widział. Lecz Bóg widział, bo On widzi wszystko, co się dzieje na ziemi.

Zapytał Bóg Kaina:

— Gdzie jest brat twój, Abel?

Kain bezczelnie skłamał, odpowiadając:

— Nie wiem gdzie jest Abel. Nie jestem przecież stróżem mego brata! Wtedy Bóg rzekł:

— Za to, coś uczynił, nie otrzymasz więcej zbiorów ode mnie i nie wolno ci tu zostać. Idź precz! Nie chcę cię znać!

I tak się stało.

Kain szedł ciągle naprzód, dalej i dalej, ale wszędzie, dokąd przyszedł, przypominał sobie brata Abła, którego zabił. Do końca życia był już nieszczęśliwy i zdjęty grozą.

Tak więc Adam i Ewa jednego dnia stracili obu synów. Żaden z nich nie powrócił tego wieczora do domu. Toteż rodzice udali się na poszukiwania. Znaleźli Abła leżącego na ziemi, który wyglądał tak, jak gdyby spał, ale nie przebudził się, bo był martwy. Więc Adam i Ewa pochowali go. Odtąd żyli oboje w wielkim smutku, ale Bóg zesłał im pociechę. Dał im znów dzieci, córki i synów. Jeden z chłopców, Set, był bardzo podobny do Abła i tak samo jak tamten kochał Pana Boga. Adam i Ewa spoglądając na niego wspominali Abła i wzdychali:

— Nasz biedny, drogi Abel!

Mylili się jednak. Abel bowiem nie był już wcale biedny ani nieszczęśliwy. Gdy Adam i Ewa składali go do ziemi, to nie był już Abel, tylko jego ciało. A on sam znajdował się w niebie, u Pana Boga, wśród aniołów. Tam nikt nie mógł wyrządzić mu krzywdy.

Tam jest jeszcze piękniej niż w raju.

NOE

Słysząc pukanie: Puk! puk! puk! Stuk! stuk! stuk!

To stary Noe i trzech jego synowie: Sem, Cham i Jafet wałają młotkami. Młodzi pomagają ojcu w pracy. Ścięli już ogromne drzewa, a ich pnie porznęli na belki i deski. Coś z nich budują.

Co to będzie?

Dom?

Nie, chociaż to „coś” jest jak dom wysokie i trochę do niego podobne. Oni budują ogromny statek, długi na przeszło sto metrów. Ten statek nazywa się arka. Budują go już od dawna i teraz jest prawie gotowy.

Kto będzie tą arką podróżował?

Ci czterej mężczyźni ze swymi żonami.

Zaledwie osiem osób, chociaż jest miejsce dla tysiąca. Inni ludzie mogliby im towarzyszyć, ale nie chcą. Przychodzą tylko, by popatrzeć na ogromny statek i pośmiać się. Szydzą z Noego:

— Gdzie ty będziesz pływał tym statkiem? Przecież on stoi w samym środku lądu! — śmieją się. — W jaki sposób przetransportujesz go nad morze?

— Woda przyjdzie tutaj — odpowiada Noe. — Bóg zapowiedział, że woda pokryje wszystko, całą ziemię, gdyż ludzie stali się bardzo źli i wcale nie słuchają Pana. Ocaleją tylko ci, którzy schronią się do arki.

Słowa Noego wywoływały tylko śmiech u słuchających.

— Nie śmieście się! — wołał Noe. — Lepiej usłuchajcie mnie i proście Boga, aby zechciał darować wam wasze winy. Wtedy będziecie mogli wejść do arki!

Ale oni krzyknęli:

— Wcale nie zamierzamy się modlić! Niech nas spotka kara, wcale się jej nie boimy! Ani nam w głowie wchodzić do tej głupiej arki!

Tak, ludzie zamieszkujący ziemię stawali się coraz gorsi, jeszcze gorsi od Kaina, który przynajmniej bał się kary, gdy zabił brata. Ci ludzie niczego się nie bali. Zachowywali się tak, jak gdyby Bóg nie istniał, a oni mogli robić, co im się żywnie podoba.

Pan Bóg stale ich ostrzegał, ale oni nie zwracali na to uwagi. Drwili sobie z Niego.

A Bóg nie pozwala się z siebie naśmiewać.

Długo okazywał cierpliwość złym ludziom, aż w końcu, gdy nie zamierzali wcale być Mu posłuszni, postanowił ich ukarać.

Poleciał Noemu zbudować arkę, bo Noe kochał Boga i nie zasługiwał na karę. Ani on, ani jego żona, ani dzieci.

Pan Bóg wskazał mu dokładnie, jak ma zbudować arkę: będą w niej tylko jedne drzwi, prowadzące do środka, i tylko jedno okno, a wewnątrz wiele pomieszczeń. Wszystko będzie pokryte dachem, a szczeliny zatkać smołą i dziegciem, tak aby nawet kropla wody nie przedostała się do środka.

Dlatego całymi dniami rozlegało się stukanie młotków.

Stuk! stuk! stuk!

Puk! puk! puk!

Ludzie słyszeli je wieczorem, gdy kładli się spać.

Ludzie słyszeli je rano, gdy budzili się ze snu.

Stuk! stuk!

Puk! puk! puk!

Słyszycie? Słyszycie?

Aż pewnego dnia młotki ucichły. Ogromny statek został ukończony.

I oto widać teraz tłum tych, co chcą dostać się do środka. Nie jest to jednak tłum ludzi.

To przybyły zwierzęta, które Bóg tu przywołał.

Zbliżają się parami, każdy samiec ze swoją samicą.

Jedne po drugich, duże i małe, wchodzą do środka, a Noe wskazuje każdemu miejsce. Jedzenie dla nich już zawczasu przygotował.

Żli ludzie widzieli, co się dzieje, a jednak nadal nie chcieli słuchać.

Już wkrótce będzie za późno!

Noe wszedł wraz z rodziną do arki, a wtedy Pan Bóg zamknął za nimi jedyne do niej drzwi.

Jeszcze przez tydzień arka stała nieruchomo.

Potem przyszło nieszczęście.

Ciężkie chmury zasnuły niebo. Zrobiło się ciemno. Słońce znikło i wydawało się, że zapadła noc.

Wówczas lunął taki deszcz, jakiego dotąd nigdy jeszcze nie było! Padało bez przerwy. Strumienie wody waliły z łoskotem o ziemię.

Ulewa ani na chwilę nie ustawała. Ogromny statek spokojnie stał w ciemnościach. Deszcz tłukł o dach arki, spływał wzdłuż ścian, oblewał ją ze wszystkich stron. Wszędzie wokół już stała woda i podnosiła się coraz wyżej.

Nagle arka drgnęła i uniosła się na wodzie, pchana przez wiatr do przodu.

Dokąd płynęła?

Tego Noe nie wiedział, ani nikt z ludzi, znajdujących się w arce, też tego nie wiedział.

Tylko Pan Bóg wiedział. To On nadawał bieg arce. A ponieważ to On nią kierował, nic złego jej nie groziło.

Ulewa nie ustawała. Woda zalewała ziemię.

Wkrótce najwyższe domy znalazły się pod wodą.

Potem najwyższe drzewa skryły się pod nią.

Dopiero wtedy Bóg wstrzymał ciemne chmury. Deszcz ustał. Słońce znów zaczęło świecić.

Ale ziemi nie było już widać. Wszędzie rozciągało się ogromne morze. Nie było już złych ludzi. Wszyscy potonęli.

Arka ciągle unosiła się na wodzie, a w niej osiem ocalonych osób i mnóstwo zwierząt, które wkrótce miały zapełnić ziemię. Nikt z nich nie musiał się lękać, bo Bóg czuwał nad nimi. Długo pływała arka po morzu, aż pewnego dnia usłyszano wielki łoskot. BUM!!! — arka uderzyła o coś dnem i stanęła. Poczekano jeszcze kilka dni, aż wody niżej opadną. Wtedy Noe stwierdził, że arka uderzyła o jakąś górę.

Trzeba było jeszcze długo, długo czekać, ale Noe już dłużej nie mógł wytrzymać. Pewnego dnia wszedł więc do pomieszczenia dla ptaków i wybrał czarnego, wielkiego kruka, a następnie wypuścił go przez okno. Uszczęśliwiony kruk poleciał bardzo daleko i już nie wrócił. To był silny ptak, zapewne więc znalazł sobie coś na wodzie do jedzenia...

Potem Noe wypuścił z arki gołębicę. Latała przez cały dzień to tu, to tam, szukając pożywienia, ale nic nie znalazła. Zmęczona, wieczorem wróciła do arki. Nie mogła jeszcze żyć na ziemi. Noe wystawił rękę, pochwycił gołębicę i wciągnął do środka.

Poczekał jeszcze tydzień i wypuścił ją ponownie. Tym razem wróciła wieczorem, niosąc w dziobku listek zerwany z drzewa. Zdawała się mówić: — To już nie potrwa długo, Noe, ponieważ drzewa zaczynają wyłaniać się z wody!

Co za radosna nowina! Gdy w tydzień później Noe wypuścił ją znowu, gołębicą nie wróciła. Znalazła sobie pożywienie.

Wtedy Noe uniósł dach arki i słuchał, co Bóg ma mu do powiedzenia. A Bóg rzekł:

— Możesz już wyjść z arki, ty i żona twoja, i dzieci, i wszystkie zwierzęta. Jakże byli szczęśliwi, że nareszcie mogą się stąd wydostać!

Wszędzie zieleniła się odrastająca trawa, a w powietrzu unosił się zapach kwiatów. Znowu na ziemi było pięknie!

Ptaki wiły gniazda, śpiewając przy tym swe najpiękniejsze pieśni. Zwierzęta radośnie rozbiegły się w różnych kierunkach, daleko od arki, i znikły szukając sobie dogodnych legowisk. Noe złożył Bogu ofiarę. Gdy dym wzbił się w górę, Noe, jego żona i dzieci — wszyscy padli na kolana i podziękowali Bogu za ocalenie.

Pan widział ich ofiarę. Widział także ich radość i wdzięczność. Obiecał wtedy, że nigdy więcej nie ześle na ziemię tak straszliwej powodzi. — W przyszłości nie obawiajcie się ulewy — powiedział. — Spójrzcie w niebo. Czy widzicie mój łuk na obłokach? Ja go też widzę. Jest to znak, że nigdy już świat nie zostanie zniszczony wodą.

Czy widziałeś kiedyś ten piękny, różnobarwny łuk na niebie?

To właśnie jest tęcza.

ABRAHAM

Pewien bogaty człowiek, Abraham, wyruszył w bardzo daleką podróż. Był właścicielem ogromnych stad owiec, bydła i osłów. Miał również wielbłądy — wielkie zwierzęta, jeszcze większe od koni. Można na nich wygodnie podróżować.

Abraham wyruszył w drogę, zabierając ze sobą wszystkie owce, bydło i osły. Towarzyszyło mu mnóstwo służących, którzy zajmowali się stadami. Oczywiście jechała z nim także żona, Sara.

Abraham podjął tę podróż dlatego, że Pan Bóg tak mu rozkazał.

Bóg powiedział:

— Abrahamie, idź do innego kraju, który ci wskażę. Idź bez obawy, bo ja będę czuwał nad tobą. Nagrodzę tych ludzi, którzy okażą się dobrzy dla ciebie, a ukarzę tych, którzy cię skrzywdzą. Twoje dzieci zamieszkają później w tym dalekim kraju, gdzie pewnego dnia, po upływie wielu, wielu lat, przyjdzie na świat Pan Jezus. Abraham kochał Pana i był mu posłuszny we wszystkim.

Teraz czekała go długa i ciężka droga. Odbynał ją na wielbłądzie, jadąc na czele całej karawany. Obok niego jechał Lot, jego bratanek, który także zgodził się wyruszyć do dalekiego kraju. Za obu mężczyznami podążały ich żony, Sara i żona Lota. Dalej postępowały owce z jagniętami, krowy z cielętami i wszystkie inne zwierzęta ze swymi małymi. Na końcu szli słudzy, opiekujący się zwierzętami. Wszyscy razem tworzyli ogromny orszak.

Posuwali się powoli, ponieważ jagnięta nie mogły iść szybko. Karawana wspinała się na wysokie góry i przemierzała wielkie lasy. Wędrowali przez pustynie, gdzie, jak okiem sięgnąć, nie było nic widać tylko piasek i piasek. Mijali różne obce kraje, które Abraham widział po raz pierwszy w życiu.

Gdy zapadał wieczór, karawana zatrzymywała się. Ludzie rozbijali namioty, by w nich ułożyć się na spoczynek, a zwierzęta — przytulone jedno do drugich — spały pod gołym niebem.

Nie wszyscy słudzy mogli iść spać. Niektórzy musieli pilnować zwierząt. Siadali więc blisko stada i rozpalali wielkie ognisko, aby żaden dziki zwierz nie ośmielił się podejść w ciemnościach i porwać któreś z jagniąt.

Ale jeszcze ktoś nie spał.

Czy wiesz, o Kim myślę?

Nie spał także Pan Bóg: spoglądał z nieba i czuwał nad wszystkimi.

Rankiem karawana ruszała dalej. Pan Bóg mówił do Abrahama: — Idź tam, gdzie wczoraj wieczorem zaszło słońce.

I Abraham szedł w tym kierunku, nie lękając się, że zbłądzi, gdyż to sam Bóg wskazywał mu drogę. Pewnego dnia Abraham stanął ze swymi stadami nad rzeką. Trzeba było przeprowić się na drugi brzeg... Nigdzie nie widział jednak ani mostu, ani łodzi. Wówczas poszukał brodu i skierował tam swego wielbłąda. Za nim weszli w wodę inni ludzie i stada. Słudzy nieśli na rękach jagnięta, za małe na to, by mogły samodzielnie przeprowić się na drugą stronę.

Gdy osiągnęli drugi brzeg, znaleźli się w kraju obiecany przez Boga. Była to piękna kraina, cała w kwiatach, nazywała się Kanaan.

Pan Bóg powiedział:

— Abrahamie, ten kraj dam twoim dzieciom.

Jego dzieciom?

Przecież Abraham nie miał dzieci! On i jego żona byli już starzy, a nigdy przedtem Bóg nie obdarzył ich dzieckiem.

Jednak Abraham nic nie odpowiedział.

— Skoro Pan Bóg tak mówi — pomyślał — to musi być prawda. Nie wiem, jak się to stanie, ale On wie. To, co Bóg mówi, zawsze się spełnia. Wierzę w to.

Ta ufność sprawiła, że Abraham czuł się szczęśliwy.

Złożył Bogu ofiarę, aby okazać swą wdzięczność i radość.

Teraz cierpliwie czekał, kiedy Bóg obdarzy jego i Sarę dzieckiem.

Abraham i Lot dobrze czuli się w nowym kraju. Mieli tylko jeden kłopot — nie mogli mieszkać razem. Obaj posiadali ogromne stada owiec, bydła, osłów, wielbłądów i stada te stale się powiększały. Co roku przychodziły na świat nowe jagnięta i inne małe. Gdy minęło kilka lat, stada stały się tak liczne, że nie starczało dla nich trawy. I słudzy Lota zaczęli się kłócić ze sługami Abrahama.

— Idźcie stąd! — krzyčeli. — To jest trawa dla naszych owiec!

— Nigdzie nie odejdzimy! — odpowiadali tamci. — To wy sobie idźcie. My zostaniemy tutaj!

Codziennie dochodziło do nowych kłótni.

Abraham postanowił:

— Tak dłużej być nie może. Źle się tu dzieje i Pan Bóg nie pochwała takich kłótni.

Zabrał więc swego bratanka Lota na wysoką górę, skąd widać było całą krainę, i powiedział:

— Niedobrze, Locie, że nasi słudzy ciągle się kłócą. Nie możemy zostać dłużej razem. Wybierz sobie miejsce, dokąd chciałbyś odejść. Jeżeli pójdiesz w prawo, ja udam się w lewo.

Jeżeli pójdiesz w lewo, ja udam się w prawo.

Lot rozejrzał się dokoła i na równinie zobaczył piękne miejsce, prawie tak piękne jak raj.

Oczy mu zabłyśły, gdy dostrzegł ten śliczny zakątek z bujną trawą, na której będzie mógł wypasać jeszcze więcej bydła niż dotąd. Stanie się jeszcze bogatszy, niż jest teraz! Niedaleko stamtąd leżały dwa miasta: Sodom i Gomora, a w nich mieszkali bardzo źli ludzie. Lot jednak tym się nie przejął, gdyż myślał tylko o tym, że wkrótce się wzbogaci.

Zdecydował, że wybiera tę część kraju i powędrował do Sodomy.

Wziął dla siebie lepszą część.

Pan Bóg powiedział jednak do Abrahama:

— Nie martw się. Później dam tę ziemię twoim dzieciom. Czy wiesz, ile ich będziesz miał i jak liczny lud zamieszka tu w przyszłości? Twój lud będzie tak liczny, jak ziarnka piasku! Usłyszawszy to, Abraham bardzo się ucieszył, bo ufał Bogu.

Upłynęło jednak wiele lat, a Abraham i Sara nadal nie mieli dzieci. Czekali i czekali na to bez końca.

Sara powiedziała:

— To już nigdy nie nastąpi, jestem zbyt stara.

I bardzo się martwiła.

Ale Abraham powtarzał:

— Stanie się to na pewno, skoro nam obiecał!

Jednak on martwił się, że tak długo trzeba czekać. Niekiedy nawet ta uporczywa myśl spędzała mu sen z powiek. Pewnej nocy Pan Bóg rzekł do niego:

— Nie smuć się. Czuwam nad tobą! I kazał mu wyjść z namiotu. Wówczas powiedział:

— Spójrz tylko w niebo! Dam ci tyle dzieci, ile widzisz na nim gwiazd. Lud, który tu zamieszka, będzie liczny jak te gwiazdy. Ja sam będę czuwał nad nim i nazwę go ludem Bożym.

Usłyszawszy to, Abraham odzyskał radość, ponieważ ufał Bogu.

A kiedy przychodziły trudne chwile i znów zdawało mu się, że czeka zbyt długo, wtedy spoglądał w gwiazdy i myślał:

— To musi nastąpić! Przecież Pan Bóg mi obiecał... Dziecko na pewno przyjdzie na świat! A kiedy urośnie, będzie miało swoje dzieci, a one znowu będą miały dzieci, i wreszcie lud stanie się tak liczny, jak gwiazdy na niebie!

Aż kiedyś, po latach, pewnego dnia narodzi się Pan Jezus. Abraham z utęsknieniem czekał na ten dzień.

ABRAHAM I LOT

Abraham i Lot mieszkali już oddzielnie: Abraham w namiocie wśród gór Kanaanu, a Lot w domu, w Sodomie.

Pewnego dnia Pan Bóg posłał wysłańców z wiadomościami do każdego z nich. Dla Abrahama nieśli radosną wieść, dla Lota smutną.

Dzień był gorący, ale namiot Abrahama stał w zacienionym miejscu, więc panował w nim przyjemny chłód. W pewnej chwili Abraham dojrzał trzech ludzi, biało ubranych, wędrujących drogą. I chociaż ich nie znał, zaraz wyszedł na spotkanie, uprzejmie zapraszając do siebie.

— Wstąpcie, proszę, na chwilę do mnie - rzekł. — Odpocznijcie nieco, napijcie się czegoś i coś zjedzcie.

Usadowił ich w zacienionym miejscu, a sam przyniósł wody do picia. Potem poczęstował gości smacznym mięsem i ciastem. Usługiwał im, jak umiał najlepiej, nie wiedząc jeszcze, kim są. Jeden z przybyszów wyglądał na wielkiego pana, podróżującego w towarzystwie dwóch służących.

W pewnej chwili ten Pan zapytał: — Gdzie jest twoja żona, Sara? — W namiocie — odparł Abraham. Wtedy usłyszał:

— Dowiedz się, Abrahamie, że gdy wrócę tu za rok, twoja żona, Sara, będzie miała syna.

Abraham bardzo się uradował i nagle zrozumiał, kto siedzi naprzeciwko niego: Sam Pan Bóg przybył tu w towarzystwie dwóch aniołów, by mu przynieść dobrą wiadomość!

Sara nie wiedziała, że to Bóg rozmawia z Abrahamem. Usłyszała, co przybysz powiedział, bo była blisko w namiocie i uważnie przysłuchiwała się rozmowie, ale od dawna już nie wierzyła, że będzie miała dziecko. Była za stara! Toteż teraz zaczęła się śmiać. Śmiała się z Pana Boga!

Przeraziła się jednak, usłyszawszy głos Boży:

— Dlaczego Sara się śmieje? Czy dla Boga istnieje coś niemożliwego? Wtedy Sara skłamała ze strachu:

— Ja się wcale nie śmiałam!

Bóg wie jednak wszystko i nigdy się nie myli. Odparł więc:

— Nie kłam, Saro. Śmiałaś się! A jednak to, co zapowiedziałem, spełni się.

Trzej przybysze wstali i skierowali się ku wyjściu. Abraham odprowadził ich jeszcze kawałek drogi.

Razem weszli na wzgórze, skąd widać było oba miasta: Sodomę i Gomorę. Pan powiedział:

— Ponieważ jesteś moim przyjacielem, powiem ci, co zamierzam uczynić. Udaję się do Sodomy i Gomory, aby sprawdzić, czy ich mieszkańcy nadal są tacy źli. Jeżeli się nie zmienili, spotka ich kara. Zniszczę ich miasta.

Abraham bardzo się zmartwił. Czyżby Bóg naprawdę chciał zniszczyć miasta? Zniszczyć zupełnie? To prawda, że zasługują na karę, ale przecież w jednym z nich mieszka Lot, który kocha Boga i nie jest niczemu winien. A może w Sodomie jest więcej ludzi podobnych do Lota?

Abraham padł na kolana przed Bogiem i zapytał pokornie:

— Panie, a jeżeli znajdzie się tam pięćdziesięciu ludzi kochających Ciebie...?

Bóg odparł:

— Jeżeli znajdę tam pięćdziesięciu sprawiedliwych — daruję miastu.

Pięćdziesięciu to dużo! Co będzie, jeżeli tyłu się nie znajdzie?

Abraham zapytał ponownie:

— A jeżeli będzie tylko czterdziestu pięciu?

— I w tym wypadku nie zniszczę miasta — odparł Pan.

— Być może, będzie ich tylko czterdziestu?

— Nawet wtedy nie ukarzę miasta. — A jeżeli nie będzie więcej niż trzydziestu. Panie?

— Wtedy także nic nie zrobię — odparł Bóg.

— O Panie! — zawołał Abraham. — Nie gniewaj się na mnie, ale może nie znajdzie się tam więcej niż dwudziestu takich, którzy Ciebie kochają?

Pan odparł:

— Nie zniszczę miasta, jeżeli znajdę tam chociaż dwudziestu ludzi, którzy mnie kochają.

Abraham nie śmiał pytać dalej. Wiedział jednak, jak dobry jest Bóg. Dlatego zdobył się na odwagę i raz jeszcze się odezwał. Cicho, ze spuszczaną głową wyszeptał:

— Panie, a jeżeli nie znajdzie się tam więcej niż dziesięciu sprawiedliwych? Usłyszał odpowiedź Boga:

— Jeżeli znajdę chociaż dziesięciu miłujących mnie, nie zniszczę Sodomy ze względu na nich.

Gdy Abraham podniósł oczy, okazało się, że jest sam. W oddali dostrzegł tylko dwóch wystąńców zmierzających w stronę Sodomy. Wracali smutny i cichy. Uporczywie myślał o Sodomie.

Gdy jednak znalazł się w domu i ujrzał żonę, odzyskał radość. Oboje wiedzieli, że dziecko, którego od tak dawna oczekiwali, niedługo się narodzi.

Tymczasem wystąńcy udali się do domu Lota, by mu zanieść smutną wiadomość. Byli to ci sami aniołowie, którzy poprzednio zjawili się u Abrahama.

Gdy dotarli do Sodomy, zapadł już wieczór. Do miasta wejść można było tylko przez bramę w wysokich murach, zewsząd otaczających gród. Jego mieszkańcy siedzieli przy bramie, a wśród nich Lot. Ujrawszy obu przybyszów, a nie wiedząc kim są, Lot pomyślał:

Muszę się nimi zaopiekować.

Mieszkańcy Sodomy są tak źli, że jeszcze mogliby ich skrzywdzić.

Zabrał więc obu do siebie, nakarmił ich, napoił, a potem rzekł:

— Możecie u mnie zanocować.

Lecz, o zgrozo! Cóż to się dzieje przed domem?

Co to za hałasy i krzyki?

Ktoś dobija się z wrzaskiem do drzwi:

— Locie! Locie! Gdzie są ci twoi cudzoziemcy? Otwieraj natychmiast! Teraz my się nimi zajmujemy!

Tak wołali mieszkańcy Sodomy. Otoczyli dom ze wszystkich stron, aby nikt nie mógł z niego uciec. Byli tak bardzo źli, że krzywdzili każdego cudzoziemca, który pojawił się w mieście.

zle Lot nie bał się. Wyszedł z domu i stanąwszy naprzeciw napastników zawołał:

— Nie krzywdźcie ich! Przecież nic wam złego nie zrobili!

Niestety, jego słowa nie odniosły żadnego skutku. Mieszkańcy Sodomy krzyczeli coraz głośniej:

— Nie mieszaj się do nie swoich spraw! Chodź bliżej, skoroś taki odważny, a i ciebie nauczymy rozumu!

Wydawało się, że zaraz się rzucą na niego, jednak aniołowie prędko wciągnęli go do środka i zatrzasnęli drzwi.

I wtedy stało się coś niezwykłego! Gdy źli ludzie chcieli wyłamać drzwi, zniknęły im one nagle sprzed oczu. Przestali je widzieć, jak gdyby nagle stracili wzrok. Bóg to sprawił! Szukali po omacku, ale nigdzie nie mogli odnaleźć wejścia.

W końcu, zmęczeni bezskutecznymi poszukiwaniami, rozeszli się do domów na spoczynek.

Wtedy aniołowie wyjaśnili Lotowi, po co przyszli. Powiedzieli, że źli mieszkańcy Sodomy i Gomory będą ukarani, miasta ich zniszczone, a oni wszyscy zginą.

Co za straszna wiadomość!

— Ty, Locie, nie zginiesz — dodali — ale musisz natychmiast uciekać stąd w góry wraz z żoną i twymi dwiema córkami...

Lot zawahał się. Czy naprawdę musi uchodzić? A co stanie się z jego domem? Też będzie zniszczony? A jego owce, krowy i reszta bydła? Czy ma wszystko porzucić? Tak ciężko pracował, żeby się tego dorobić! Tak pragnął się wzbogacić! A teraz ma stracić wszystko i stać się biedakiem? Lot był zdruzgotany! Nie chciał się stąd ruszać. Zbyt był przywiązany do swego domu i wszystkiego, co posiadał.

Na dworze rozwidniało się. Noc minęła i nadchodził dzień kary.

— Uchodź śpiesznie, Locie — usłyszał głos aniołów. — Pośpiesz się, bo zginiesz i ty!

Ale Lot nawet nie drgnął. Zachowywał się tak, jak gdyby nic do niego nie docierało.

Wówczas aniołowie ujęli go pod ręce i pociągnęli za sobą, a wraz z nim jego żonę i córki. Wyszli z domu, przeszli ulicami miasta, minęli bramę i znaleźli się poza murami.

— A teraz biegiem, naprzód! Tylko nie oglądajcie się za siebie, jeżeli chcecie ocaleć!

Lot, jego żona i córki uciekali w popłochu. Za nimi zaczynała się trząść ziemia. Z nieba walił ogień, domy stawały w płomieniach. W jednej chwili całe miasto rozsypało się jak budowla z klocków, potrącona nogą. Ziemia rozstąpiła się, miasto zapadło w otchłań, a na jego miejscu wystąpiło morze. Było to morze słone, dziś zwane Morzem Martwym.

Wszyscy źli ludzie zginęli.

Tak zostali przez Boga ukarani za swoje grzechy.

Lot jednak ocalał.

Jego córki również.

Tymczasem żona Lota...

Bóg i ją chciał ocalić, ona jednak myślała tylko o swym domu i pozostawionym złocie. Nie chciała wszystkiego porzucić. Zatrzymała się i obejrzała za siebie. To, co zobaczyła, było tak straszne, że skamieniała z przerażenia i umarła.

Nieposłuszna żona Lota...

Tego ranka Abraham wstał wcześniej. Wdrapał się na wysoką górę, by z niej spojrzeć na Sodomę. Gęsta chmura dymu unosiła się nad doliną, zakrywając obydwa miasta. Abraham zrozumiał, że nie znalazło się w nich nawet dziesięciu ludzi, którzy kochaliby Pana Boga.

Lot z córkami schronił się daleko w górach i zamieszkał w ciemnej pieczarze, jak biedak.

On, co tak zawsze pragnął bogactw, co tak kochał swe złoto, dom i zwierzęta — teraz stracił wszystko! A jednak nadal kochał Boga, Pan Bóg zaś go nie opuścił. Był przy nim i nie przestawał być jego przyjacielem.

Kiedy Bóg jest twoim przyjacielem, nigdy nie jesteś biedny.

HAGAR I ISMAEL

Czy pamiętasz, jaką dobrą nowinę otrzymali Abraham i Sara?

Dowiedzieli się od Boga, że będą mieli małego chłopczyka.

Czy to się spełni?

Oczywiście! Zawsze spełnia się to, co Bóg obiecuje.

Pod koniec roku długo oczekiwane dziecko przyszło na świat.

Był to chłopiec. Dano mu na imię Izaak.

Ogromnie cieszyli się starzy rodzice! Byli nieskończenie wdzięczni Bogu! Dziecko, które im obiecał, da w przyszłości początek wielkiemu rodowi! Skończyła się cisza w namiocie Sary. Teraz rozlegał się tam płacz dziecka, gdy było głodne.

Wtedy Sara podchodziła i karmiła je. Albo słysząc było wesołe krzyki — to Abraham przyszedł, by się z dzieckiem pobawić.

Mały Izaak rósł zdrowo. Nauczył się raczkować po namiocie, potem chodzić i mówić. Odkąd wyrosły mu zęby, jadł chleb i mięso jak dorośli. Już nie było mu potrzebne mleko matki.

Gdy Izaak podrósł, urządzono wielką uroczystość.

Ale podczas niej wydarzyło się coś przykrego.

Nie z winy Izaaka, lecz innego chłopca, któremu było na imię Ismael. Mieszkał on u Abrahama wraz ze swą matką, Hagar, która pracowała jako służąca Abrahama i Sary.

Ismael, choć dużo starszy od Izaaka, nie był dobry dla młodszego chłopca. Był o niego zazdrosny i myślał stale: — Wolałbym, żeby Izaak nigdy się nie urodził, bo przedtem Abraham zajmował się tylko mną, a w przyszłości Izaak zostanie tu panem. Otrzyma wszystko, bo jest dzieckiem obiecany przez Boga, a ja nie dostanę nic!

W czasie uroczystości duży Ismael podszedł do małego Izaaka i zaczął się z niego wyśmiewać i dokuczać. Gdy Sara to zobaczyła, powiedziała do Abrahama:

— Powinieneś odprawić stąd tego chłopca i jego matkę. Nie powinien dłużej przebywać blisko Izaaka, bo jest zazdrosny o niego i stale mu dokucza.

Abraham jednak nie chciał o tym słyszeć, bo bardzo kochał Ismaela i jego matkę. Odrzekł więc Sarze:

— Ja ich stąd nie wypędzę!

Wtedy Pan Bóg powiedział:

— Musisz to zrobić, Abrahamie. Sara ma rację. Ismael nie może tu dłużej zostać. Oddal ich bez obawy.

Ja sam zaopiekuję się Ismaelem.

Teraz Abraham musiał tak postąpić, chociaż było mu bardzo przykro.

Skoro jednak Pan Bóg rozkazał...

Odprawiono Hagar z Ismaelem. Na drogę dano im chleba i dzban wody do picia. Gdy matka z synem odchodzili w świat. Abraham stał przed namiotem i spoglądał za nimi z sercem ściśniętym bólem.

Hagar postanowiła powrócić do kraju, z którego pochodziła. Było do niego jednak bardzo daleko. Szła więc zamyślona i smutna, nie zwracając uwagi dokąd idą. W końcu zabłądzili i znaleźli się na pustyni, gdzie jak okiem sięgnąć był tylko piasek i piasek... Słońce prażyło nad ich głowami a rozpalony piach parzył stopy. Ani śladu drzewa, które dałoby trochę cienia.

Hagar i Ismael błądzili godzinami. Co jakiś czas przystawali, by napić się wody, bo upał dokuczał bardzo. Potem ruszali dalej. Byli bardzo smutni. Nie mieli już namiotu ani łóżka do spania, ani nikogo, kto by się nimi zaopiekował.

A Pan Bóg?

O Nim nie pomyśleli!

— Matko, jak mi się strasznie chce pić!

Ismael dostał mały łyk wody. Często gasili pragnienie, więc teraz została już tylko odrobinka. Dzban był prawie pusty.

Ismael, bardzo zmęczony i wyczerpany upałem, szedł z trudem.

— Matko, umieram z pragnienia! Hagar, przerażona, zaczęła rozglądać się wokół, ale nigdzie ani śladu wody: ani źródła, ani rowu z wodą, ani nawet kałuży. Nie było też nikogo, do kogo można by się zwrócić o łyk wody! Nic, tylko piasek i piasek bez końca, suchy i palący.

Ismaelowi strasznie chciało się pić. Czuł się chory z pragnienia i zmęczenia. Z trudem powrócił nogami. W pewnej chwili upadł. Dalej już nie miał sił iść. Leżał na piasku i jęczał. Na pewno umrze z pragnienia.

Co Hagar może zrobić dla swego syna?

Podniosła go i przesunęła trochę pod mały krzak, który dawał odrobinę cienia. Tam go ułożyła. To było wszystko, co mogła dla niego zrobić. Ismael, bardzo blady, leżał z zamkniętymi oczami i jęczał coraz ciszej. Hagar nie miała odwagi na niego spojrzeć. Nie mogła znieść widoku umierającego dziecka. Odeszła trochę dalej, siadła na piasku i zaczęła płakać.

— Mój synu! — zawodziła. — Mój kochany synu, umierasz z pragnienia, a twoja matka nic nie może ci pomóc!

Szlochała i lamentowała. Łzy spływały jej po policzkach i spadały na piasek, suchy i gorący.

Nagle Hagar podniosła oczy. Coś postyszała... Rozejrzała się wokół, ale nikogo nie zobaczyła. A jednak jakiś głos mówił:

— Czego ci potrzeba, Hagar? Nie bój się! Usłyszałem głos twego dziecka. Podnieś się, wróć do niego i zajmij się nim.

Hagar poznała ten głos. To był głos Boży. A więc zostaną uratowani! Otarła łzy i podbiegła do dziecka. Obok znalazła tryskające z głębi ziemi źródło o wspaniałej, przejrzystej wodzie. Podstawiła dzban i napełniła go świeżą źródlaną wodą i prędko podała swemu chłopcu. Uniosła mu głowę i przytknęła dzban do jego ust. Ismael pił łapczywie i długo. W końcu otworzył oczy, a na policzki wrócił mu rumieniec. Po jakimś czasie mógł wstać i iść dalej. Teraz wędrowali z dzbanem pełnym wody. Już ich nie dręczył smutek, bo czuli, że Ktoś się nimi zaopiekował. Nie było z nimi ojca Abrahama, ale czuwał Bóg Ojciec mieszkający w niebie. On doprowadził Hagar do dalekiego kraju.

Ismael i Hagar zamieszkali na stałe w dalekiej Arabii. Ismael wyrósł na silnego i rosnącego mężczyznę. Całe dni spędzał na polowaniach. Do końca życia nie zapomniał o tym, że Pan Bóg czuwał nad nim.

KOCHAĆ BOGA PONAD WSZYSTKO

Izaak wyrósł na dużego chłopca. Im był starszy, tym bardziej Abraham go kochał.

Bóg dał mu to dziecko, więc Abraham także bardzo kochał Boga.

Kogo jednak kochał więcej? Boga czy swoje dziecko?

Abraham składał zawsze Bogu ofiary, przynosił Mu różne dary.

Był gotów wszystko oddać Bogu. Wszystko?

Czy swoje dziecko też?

Czy oddałby Bogu swoje dziecko?

Pan Bóg pomyślał:

— Muszę sprawdzić, kogo Abraham kocha bardziej: swoje dziecko czy mnie? Powinien mnie kochać ponad wszystko.

I pewnej nocy Bóg zawołał:

— Abrahamie! Abrahamie!

Abraham natychmiast się obudził i zapytał:

— Słucham?

Wtedy usłyszał, jak Bóg mówi do niego:

— Abrahamie, oddaj mi swoje dziecko. Złóż mi je w ofierze na górze Moria.

Abraham zdrętwiał z przerażenia! Czyżby nie miał prawa zachować swego jedyne dziecko, które tak ukochał? Przecież sam Bóg mu je dał, dlaczego teraz chce je odebrać? Przecież On sam obiecywał, że Izaak zamieszka w tym kraju i stanie się ojcem wielkiego ludu! Abraham nie mógł nic z tego zrozumieć. Czyżby się przestyszał? Ale Pan Bóg powiedział wyraźnie:

— Musisz być mi posłuszny!

Abraham chciał krzyknąć z rozpacz! Już nie zasnął, tylko bez przerwy myślał o tym, co usłyszał.

Jak ma postąpić?

Jeżeli wykona Boży nakaz, straci dziecko!

Jeżeli nie zrobi tego, sam przestanie być dzieckiem Bożym!

Co robić? Sam nie wiedział, jak postąpić.

A właściwie to wiedział bardzo dobrze!

Gdy Bóg coś rozkazuje, trzeba to wykonać. Trzeba być Mu posłusznym nawet wtedy, gdy nie rozumie się Jego rozkazów. Nawet wtedy, gdy to nam sprawia przykrość.

Abraham wierzył w to i wiara sprawiła, że był posłuszny. Myślał:

— Nie wiem, czemu Bóg żąda tego ode mnie, ale uczynię, jak chce, ponieważ On mi tak rozkazał, i wiem, że On także zatroszczy się o to, aby wszystko było dobrze. Następnego dnia rano Abraham wstał wcześniej, przygotował swego osła i pobudził sługi. Potem wszedł do namiotu, w którym spał Izaak.

— Zbudź się synu — rzekł. — Udajemy się w podróż.

Izaak wstał chętnie.

Czekała ich piękna i długa droga. Trzy dni wędrowali, zanim dotarli na miejsce. To była najpiękniejsza z podróży, jakie Izaak dotąd odbył. Dla Abrahama zaś była to najstraszliwsza podróż w życiu. Nigdy żaden ojciec nie odbył gorszej!

Zatrzymali się wreszcie u stóp góry Moria. Abraham rozkazał sługom: — Zostańcie tu z osłem. My z Izaakiem pójdziemy na górę, a kiedy złożymy ofiarę, wrócimy.

Wrócimy!

Tak powiedział Abraham.

Tak też myślał. Wierzył głęboko, że Bóg coś uczyni.

Izaak niósł drzewo na ofiarę, Abraham zaś naczynie z żarzącym się ogniem. Szli tylko we dwóch.

Nagle Izaak odezwał się:

— Ojcze...

— Co powiesz, synu?

— Ojcze, ty niesiesz ogień, ja drzewo, a gdzie jest baranek, którego złożymy na ofiarę?

Abraham odrzekł:

— Bóg da nam baranka, mój chłopcze!

Szli znów dalej, aż w końcu dotarli na szczyt góry. Tam Abraham zbudował ołtarz z kamieni i ułożył na nim drzewo.

Teraz przyszła pora, by wszystko wyjaśnić synowi. Abraham powiedział Izaakowi, że to on właśnie będzie barankiem ofiarnym. Złożył chłopca na ołtarzu, ale w tym momencie Bóg zawołał:

— Abrahamie! Abrahamie!

Bóg już wiedział, że Abraham jest gotów oddać Mu wszystko.

Abraham odpowiedział:

— Oto jestem!

A Bóg na to:

— Abrahamie, wstrzymaj się! Nie rób nic złego chłopcu! Wiem teraz, że mnie kochasz ponad wszystko i że byłeś gotów oddać mi nawet własne dziecko.

Co za ulga! Co za wyzwolenie! Abraham błyskawicznie uwolnił Izaaka i pochwyciwszy go w ramiona zaczął tulić do siebie.

Nagle posłyszał za sobą jakiś szelest. Odwrócił się i zobaczył baranka, który stał zaplątany w ciernie. Sam Bóg musiał go tam postawić.

Abraham ułożył baranka na ołtarzu i złożył ofiarę. Nigdy dotąd nie czuł się tak szczęśliwy i pełen wdzięczności, jak w tej chwili!

Bóg to sprawił, że mogli teraz obaj powrócić do domu. Abraham odzyskał swe dziecko.

Bóg był mu nadal przyjacielem. Nigdy dotąd tak wyraźnie nie odczuwał, jak wielkim przyjacielem może być Bóg.

Izaak z pewnością stanie się ojcem wielkiego ludu.

Kiedys, kiedys, w wiele lat później, gdy Abraham będzie już od dawna w niebie, inny Ojciec złoży swego Syna w ofierze, lecz wtedy nikt nie zawoła:

— Wstrzymaj się!

I tym razem Syn będzie naprawdę barankiem ofiarnym.

Kto jest tym Ojcem?

Sam Bóg, który nas tak kocha, że oddał swego jedyne Syna.

Kim jest ten Syn?

To Pan Jezus, który cierpiał za nas i umarł na krzyżu.

On stał się barankiem ofiarnym dla nas.

JAKUB I EZAW

Abraham i Sara zestarzeni się i pomarli. Oboje poszli do nieba, prosto do Pana Boga.

Izaak stał się teraz ważną osobą. Zamieszkał w namiocie swego ojca i został panem wszystkiego. Nie był jednak sam, bo miał żonę Rebekę, a także dwoje dzieci — Jakuba i Ezawa. Jakub i Ezaw urodzili się tego samego dnia, ale Ezaw odrobinę wcześniej. Mimo że bliźniacy, to wcale nie byli do siebie podobni. Skórę Ezawa pokrywały włosy jak futerko zwierzątka, a skóra Jakuba była biała i gładka.

Ezaw, chłopiec hałaśliwy i niesforny, nie mógł usiedzieć w domu. Stałe hasał po polach i lasach, polując na jelenie i inną zwierzynę.

Jakub był spokojniejszy i miłszy. Przesiadywał w namiocie swej matki albo opiekował się owieczkami. Lubił ciszę. Dużo rozmyślał o Panu Bogu, kochał Go i chciał być Jego dzieckiem.

Ezaw prawie wcale nie myślał o Bogu, a mimo to Izaak wołał jego, bo był młodzieńcem silnym i przynosił do domu zwierzynę, którą smakowicie przyrządzał dla ojca.

Rebeka natomiast wołała Jakuba, bo przebywał często w jej namiocie i umiał mądrze rozmawiać.

Tak więc Jakub był ulubieńcem matki, a Ezaw ulubieńcem ojca.

Którego wołał Pan Bóg?

Kto zamieszka w przyszłości w namiocie Izaaka i stanie się panem wszystkiego? Który z nich otrzyma błogosławieństwo i zostanie spadkobiercą? Jakub czy Ezaw? Izaak i Rebeka dobrze wiedzieli, że Jakub. Pan Bóg im to kiedyś powiedział. Rebeka cieszyła się z tego, bo Jakub był jej ulubieńcem. Ale Izaak był innego zdania.

— Ezaw jest starszy — myślał — i to on powinien zostać w przyszłości panem wszystkiego. Jemu dam moje błogosławieństwo!

Izaak chciał być mądrzejszy od Pana Boga i koniecznie postawić na swoim, więc Rebeka stale się niepokoiła.

— Wprawdzie Bóg powiedział, że Jakub zostanie dziedzicem — myślała — ale mógł przecież o tym zapomnieć!

Nie zastanawiała się nad tym, że Pan Bóg zawsze o wszystkim pamięta.

Jakub także był niespokojny.

— Jaka szkoda — myślał — że Ezaw jest starszy! Wolałbym być na jego miejscu!

Pewnego dnia Jakub siedział przed namiotem i gotował na ogniu soczewice. Z garnka pełnego tej czerwonej potrawy rozchodził się smakowity zapach. Ezaw wrócił właśnie z dalekiej wyprawy. Był bardzo głodny i zmęczony. Gdy poczuł zapach pysznej soczewicy, zabłyśły mu oczy i zawołał:

— Oddaj mi swoją soczewicę! Pozwól mi ją zjeść!

Ale Jakub odpowiedział przebiegle: — Chętnie ci ją dam, jeżeli w zamian zrzekniesz się swego starszeństwa, a ja w przyszłości otrzymam błogosławieństwo od ojca.

Ezaw roześmiał się.

— Możesz je sobie wziąć — odrzekł. — Nie potrzeba mi tego błogosławieństwa!

Wtedy Ezaw dostał soczewicę, a na dokładkę jeszcze chleba.

Odtąd Jakub był bardzo miły dla brata. Jednak to, co uczynił, wcale nie było dobre.

Mijały lata.

Izaak starzał się. Pogarszał mu się wzrok, widział coraz słabiej, aż wreszcie zupełnie oślepl. Stał się niewidomy.

Tracił też siły. Całe dni spędzał w łóżku w swym namiocie.

— Niedługo umrę — rozmyślał. Kto wtedy zamieszka w moim namiocie i stanie się panem wszystkiego? Naturalnie Ezaw, a nie Jakub!

Pewnego dnia powiedział do Ezawa: — Synu mój, idź na polowanie, zabij jakieś zwierzę i upiecz je tak, jak lubię. Gdy zjem dam ci moje błogosławieństwo. Ezaw powinien być na to odpowiedzieć:

— Ojczy, to Jakubowi należy się błogosławieństwo, gdyż ja mu je oddałem.

Tymczasem pomyślał tak: — Nieważne, co wtedy powiedziałem. Teraz chcę otrzymać błogosławieństwo ojca i odziedziczyć wszystko.

I ruszył na polowanie.

Rebeka słyszała całą rozmowę i bardzo zaniepokojona pobiegła do Jakuba.

— Teraz musimy postępować przebiegle — powiedziała. — Trzeba oszukać ojca, bo inaczej nie otrzymasz błogosławieństwa. Przynieś mi prędko dwoje kozłat ze stada, upiekę je tak, jak ojciec lubi, a ty mu je zanieziesz. Potem będziesz zachowywał się tak, jak to ty byś był Ezawem. Twój ojciec nie widzi, więc niczego nie pozna.

Jakub jednak nie chciał oszukiwać: — Ojciec pozna, że to ja. Przecież Ezaw ma ręce owłosione, a moje są gładkie.

Matka miała już jednak swój plan, odrzekła więc krótko:

— Idź i rób, co ci powiedziałam!

Jakub posłuchał. Przyniósł dwoje kozłat, a matka je upiekła. Potem przebrała go w ubranie Ezawa, przesiąknięte zapachem pól i lasów, a ręce owinęła kozią skórą. Dopiero wtedy Jakub wszedł do namiotu ojca. — Ojczy! — odezwał się.

Izaak zapytał:

— Kim jesteś, synu?

Jakub skłamał:

— Jestem Ezaw, twój starszy syn. Powróciłem z polowania. Siądź i zjedz mięso, a potem udziel mi błogosławieństwa.

Izaak wyczuł jednak, że coś jest nie w porządku i zapytał:

— Czyżbyś rzeczywiście był Ezawem? Głos masz taki dziwny! Zbliź się, abym mógł poznać, kim jesteś. Wtedy Jakub podszedł do łóżka ojca, a ten dotknął jego ręk. Tak, były owłosione, ale ten głos?

— Głos jest Jakuba, ale ręce Ezawa rzekł starzec i raz jeszcze się upewnił:

Czy naprawdę jesteś Ezawem?

Jakub skłamał ponownie:

— Tak, to ja.

Mięso, stojące przy łóżku, pachniało apetycznie, więc Izaak zjadł je. Potem Jakub przyniósł mu wina i Izaak wypił. Wtedy rzekł:

— Pocałuj mnie, synu!

Jakub uczynił to. Właściwie i ten pocałunek był kłamstwem, ale Izaak czuł zapach odzieży Ezawa i był pewien, że to on klęczy przy jego łóżku.

Wyciągnął ręce i dotknął nimi głowy syna. Błogosławił mu i obiecywał, że stanie się panem wielkich stad, a Bóg będzie jego przyjacielem.

Jakub nie śmiał spojrzeć na ojca. Czuł, że postąpił podle. Oszukał starca i wyłudził błogosławieństwo, będące Bożą obietnicą! Bóg i tak zawsze dotrzymuje tego, co obieca!

Nieco później powrócił Ezaw. Upiekł upolowaną zwierzynę i przyniósł mięso do namiotu ojca.

— No, jestem wreszcie, ojczy! — zawołał.

Zdumiony Izaak zrozumiał wtedy, że go oszukano...

Kiedy Ezaw dowiedział się, co zaszło, wpadł w straszny gniew.

— Już ja mu pokażę! — krzyczał. — Zobaczycie, niech tylko ojca nie stanie, a zabiję tego oszusta!

Rebeka, usłyszawszy to, zawołała Jakuba i rzekła:

— Musisz natychmiast uciekać, mój chłopczy! Daleko stąd mieszka twój wuj. Udaj się do niego, a po pewnym czasie, gdy Ezawowi minie gniew, będziesz mógł wrócić. Dam ci znać, gdy przyjdzie pora.

Jakub posłuchał matki i uciekł w daleki świat, aby Ezaw nie mógł go znaleźć. Odtąd był biednym zbiegiem. Oto, do czego doprowadziło kłamstwo! Rebeka straciła ukochanego syna! Oto, na co przydała się jej zła rada! Izaak leżał zasmucony w łóżku, a Ezaw, miotany gniewem, błąkał się po bezdrożach.

Wszyscy czworo mogli być szczęśliwi, gdyby słuchali Boga; a tak — dotknęło ich nieszczęście.

Sami sobie są winni, bo źle postąpili. Jeżeli ty będziesz postępował jak oni, również będziesz nieszczęśliwy.

W DALEKIM ŚWIECIE

Jakub wędrował w świat, coraz bardziej oddalając się od domu. Jakże żal było mu stamtąd odchodzić! Musiał jednak uciekać, bo inaczej zagniewany Ezaw mógłby go zabić. Oto, do czego doprowadziły podstęp i oszustwo!

Zamiast teraz być z matką, samotnie uchodził w świat. Czekająca go daleka droga do kraju, gdzie mieszkał jego wuj. Jakubowi było bardzo smutno i ogromnie żałował, że oszukał swego starego, niewidomego ojca.

— Teraz już nikt się mną nie opiekuje — myślał. — Pan Bóg nie zechce mnie w ogóle znać, bo tak podle postąpiłem!

Najbardziej gnębiła go myśl, że Pan Bóg nie zechce być jego przyjacielem.

Nadszedł wreszcie wieczór. Słońce zaszło, zapadł zmrok, a Jakub znalazł się sam, bez dachu nad głową. Nie miał nawet gdzie spać.

Położył się na ziemi, a głowę wsparł o kamień.

Wokół niego w ciemnościach groźnie połyskiwały skały. Niebo nad głową zasnuły chmury. Na próżno szukał gwiazd. Bóg wydał mu się bardzo odległy. O tak, Pan Bóg na pewno nie chce patrzeć na podłego oszusta Jakuba!

— Jakże bym pragnął, żeby Bóg zechciał znowu stać się moim przyjacielem! Żeby zechciał się mną opiekować! Żałuję z całego serca, że byłem taki zły! — myślał Jakub.

W końcu oczy zaczęły mu się kleić i zasnął.

Przyśnił mu się bardzo piękny sen.

Ujrzał drabinę. Była tak wysoka, że jej wierzchołek sięgał nieba. Po niej zstępowali i wstępowali aniołowie, a na samym szczycie stał Bóg. Spoglądał z dobrocią na Jakuba i mówił: — Jestem Bogiem Abrahama i twego ojca, Izaaka. Idź w pokoju w świat. Będę z tobą i doprowadzę cię cało i zdrowo. Mimo wszystko możesz pozostać moim przyjacielem, a dzieci twoje otrzymają kiedyś tę ziemię, na której dzisiaj spałeś.

Jakub obudził się. Był już rano.

To, co śnił, wydarzyło się naprawdę. Bóg naprawdę rzekł, że będzie nad nim czuwał.

— Nigdy nie zapomnę tej okolicy — postanowił Jakub.

W widocznym miejscu ustawił kamień, na którym spał, i chciał złożyć na nim ofiarę. Pragnął coś dać Panu Bogu, aby w ten sposób wyrazić Mu swą wdzięczność. Nie miał jednak nic oprócz dzbana oliwy. Wylał więc oliwę z dzbana na kamień i to była cała jego ofiara.

— Panie, dziękuję Ci — modlił się — że jesteś taki dobry dla mnie. Kocham Cię gorąco! Jeśli tu kiedyś powrócę, w tym samym miejscu złożę Ci ofiarę.

Potem ruszył dalej w świat.

Nie czuł już niepokoju ani lęku. Nie był już przecież sam.

Pan Bóg towarzyszył mu i czuwał, aby cało i zdrowo dotarł do wuja.

POWRÓT JAKUBA

Jakub zamieszkał teraz w dalekim i obcym kraju, przyjęty przez wuja do grona domowników. Zajmował się owcami i bydłem.

Przebywał tam długo. Pracował z zapałem i wkrótce dorobił się własnych owiec, bydła i innych zwierząt. Stał się bogaty. Pan Bóg czuwał i opiekował się nim.

Jakub najpierw poślubił jedną córkę wuja — Lię, a później drugą jego córkę — Rachelę, a Pan Bóg dał im wiele dzieci.

Czy Jakub już na zawsze pozostanie w tym obcym kraju?

Wszakże matka obiecywała mu: — Zawiadomię cię, gdy Ezawowi minie gniew i będziesz mógł powrócić.

Od matki jednak nie nadchodziły żadne wiadomości.

Pewnego dnia Pan Bóg powiedział Jakubowi:

— Wracaj do swego kraju. Jedź bez obawy, bo ja będę z tobą. Nie przestanę otaczać cię swoją opieką.

Wówczas Jakub wyruszył w drogę wraz ze swymi żonami, dziećmi, sługami, owcami, bydłem i wielbłądami, z wszystkim, co posiadał.

Tworzyli wspaniały, ogromny orszak. Teraz Jakub wędrował w stronę Kanaanu, tak jak przed laty Abraham. Opuszczał kraj samotnie jako biedak i zbieg, a powracał jak bogacz, otoczony tłumem ludzi i zwierząt.

Pan Bóg czuwał nad nim.

Wuj nie był zadowolony z odjazdu Jakuba i chciał go koniecznie zatrzymać.

Jednak gdy Pan Bóg powiedział: — Biada ci, jeżeli nie pozwolisz Jakubowi stąd wyjechać! — wuj nie śmiał już dłużej go zatrzymywać.

Podróż była długa i bardzo męcząca. Na koniec dotarł Jakub do kraju, gdzie mieszkał kiedyś z rodzicami.

Wówczas ogarnął go znów strach. Zaczął zastanawiać się nad wszystkim, co się tu dawniej wydarzyło. Przypomniał sobie, jak bardzo Ezaw był zagniewany i czym mu groził. Uciekł stąd właśnie z obawy, że brat go zabije.

Co teraz myśli Ezaw? Czy nadal gniewa się na Jakuba?

Jakub miał nadzieję, że Ezaw zapomniał.

Gdyby doszło do walki, na pewno zostałby pobity, bo przecież Ezaw był tak gwałtowny!

— Wiem, co zrobię — pomyślał. — Poślę do Ezawa wysłańca z wiadomością, że pragnę z nim przyjaźni. Tak też uczynił, a ponadto posłał mu piękne prezenty: dorodne owce, kozy, wielbłądy i dużo innych zwierząt — całe wielkie stado. Kilku sługom rozkazał, by odprowadzili je do Ezawa.

Po powrocie słudzy rzekli do Jakuba: — Panie, strzeż się, bo Ezaw idzie za nami. Jest uzbrojony i prowadzi ze sobą około czterystu silnych mężczyzn z mieczami, którymi mogą walczyć, i włóczniami, którymi mogą rzucać w nieprzyjaciela.

Jakub przeraził się tak bardzo, że nie mógł zasnąć. Wszyscy już spali, a on samotnie siedział w ciemnościach i myślał:

— Zaraz nadejdzie Ezaw, aby mnie ukarać i pozabija nas wszystkich. Lecz nagle przypomniał sobie o Bogu. Przecież Bóg obiecał, że będzie się nim opiekował!

Zaczął się więc modlić:

— O Panie, pomóż mi! Przrzekłeś przecież! A ja tak strasznie boję się Ezawa.

Po tej modlitwie anioł zjawił się koło Jakuba i został z nim przez resztę nocy.

A kiedy nadszedł ranek, Jakub nie czuł już lęku. Wiedział, że skoro Pan Bóg jest z nim, Ezaw nie może wyrządzić mu żadnej krzywdy.

Rankiem zjawił się Ezaw. Przybył konno wraz z towarzyszącymi mu ludźmi. Ziemia drżała, wznosiły się tumany kurzu, a ogromne miecze lśniły w słońcu.

Groźnie to wyglądało, jednak Jakub nie czuł lęku. Spokojnie wyszedł na spotkanie brata.

A wówczas...

Wówczas Ezaw zbliżył się do Jakuba, wyciągnął ku niemu potężne ramiona i... chwycił go w objęcia. Już się nie gniewał! Cieszył się z powrotu brata! Co za szczęście!

Pan Bóg wygnał z serca Ezawa nienawiść. Teraz obaj bracia mogli zgodnie zasiąść obok siebie w namiocie. Mieli sobie tyle do opowiedzenia! Dzieciom pozwolono przyjść i uściskać wuja Ezawa. To była piękna chwila! Ezaw powiedział Jakubowi, że ich matka, Rebeka, umarła, ale Izaak, ich ojciec, jeszcze żyje.

Gdy zapadł wieczór, Ezaw odszedł, a Jakub pozostał w Kanaanie.

Nareszcie był znowu w domu!

Stary ojciec, Izaak, cieszył się bardzo powrotem Jakuba, a gdy później umarł, Jakub zamieszkał w jego namiocie.

Teraz on był przyjacielem Boga, tak jak poprzednio Abraham i Izaak.

JÓZEF

Czy wiesz, kim był Józef?

Józef był jednym z synów Jakuba i miał wielu braci — dziesięciu starszych i jednego całkiem małego. Ten najmłodszy nazywał się Beniamin i Jakub kochał go bardzo, ale mimo to wolał Józefa.

Tak, Jakub kochał Józefa bardziej niż pozostałych synów, a nawet go trochę rozpieszczał. Podarował mu piękną, kolorową szatę — ubranie godne księcia!

Mały Beniamin spędzał cały czas w domu z ojcem, a Józef często im towarzyszył. Natomiast dziesięciu starszych braci całe dni przebywało na pastwiskach, pilnując owiec i bydła.

Czasami i Józef pomagał im w pracy. Nie czuł się jednak z braćmi najlepiej, bo oni nie zawsze byli dla niego dobrzy.

A wiesz, dlaczego?

Gdyż to on, a nie oni — otrzymał tę piękną szatę, no i jeszcze dlatego, że zawsze powtarzał ojcu wszystko, co oni złego zrobili, i że miewał dziwne sny, które potem opowiadał.

Kiedys przyśniło mu się, że jest w polu razem z braćmi. Zboże już zżęte i można wiązać je w snopki. Józef związał snop i położył go na ziemi. Snop jednak powstał. Wtedy snopy jego braci otoczyły ten snop i zaczęły mu się nisko kłaniać.

Józef nie zapomniał swego snu i opowiedział go braciom. Oni jednak rozgniewali się na niego:

— Co ty sobie wyobrażasz, że my będziemy się tobie kłaniać!?

Chciałbyś być naszym panem, co? Ty zarozumiałcze!

Innym razem śniło się Józefowi jeszcze coś dziwniejszego. Słońce, księżyc i jedenaście gwiazd otoczyło go, bijąc pokłony.

Gdy opowiedział ten sen, nawet ojciec się rozgniewał i rzekł:

— Oj synu, synu, a cóż ty miewasz za sny! Czy wyobrażasz sobie, że my wszyscy naprawdę pokłonimy się tobie — ja, twoja matka i twoi bracia? Przecież to niemożliwe!

Józef wcale tak nie myślał, a jednak przyśnił mu się taki sen!

Jakub, jego ojciec, nie mógł zapomnieć tych snów. Ciągłe zastanawiał się nad nimi.

Bracia tak bardzo byli źli na Józefa i tak zagniewani, że mieli ochotę go zabić, a nawet zabić.

Nie ośmielili się jednak tego zrobić, bo ojciec, Jakub, był zawsze w pobliżu.

Pewnego dnia bracia tak oddalili się ze stadami, że na noc nie wracali do domu.

Wtedy Jakub, ich ojciec, rzekł do Józefa:

— Idź i zobacz, jak się powodzi twoim braciom, a jak wrócisz, wszystko mi opowiesz. Jestem o nich trochę niespokojny.

Józef wyruszył na poszukiwanie. Długo błądził po pastwiskach, szukając wszędzie braci, ale nigdzie nie mógł ich znaleźć. Dopiero trzeciego dnia spotkał człowieka, który wskazał mu drogę. Bracia dojrzeli go jeszcze z daleka.

Oj, niedobrzy to byli bracia!

— Patrzcie! — mówili jeden do drugiego. — Oto zbliża się ten specjalista od snów! Teraz go wreszcie mamy! Ojciec daleko, więc możemy zabić Józefa, a potem wrzucić do studni. Ojcu powiemy, że rozszarpał go dziki zwierz. Oto jak wypełnią się jego sny!

Ale Ruben, najstarszy brat, powiedział:

— Nie róbmy tego! Nie zabijajmy go. Lepiej wrzućmy go tylko do studni! Ruben był lepszy od pozostałych braci, ale bał się ich. Teraz chciał zyskać na czasie.

— Nocą, gdy będzie ciemno, po kryjomu uwolnię Józefa — postanowił.

Bracia związali Józefa, zerwali z niego piękną szatę i powlekli do studni. Józef płakał i jęczał, ale oni nie zwracali na to uwagi. Nie mieli dla niego litości.

— Dobrze ci tak! Siedź sobie w tej studni i śnij, że jesteś naszym panem! Potem rozsiedli się w pobliżu i spokojnie zabrali się do jedzenia. Byli tak okrutni, że mogli w najlepsze jeść, podczas gdy ich uwięziony brat płakał tuż obok.

Ruben nie był jednak taki podły. Odszedł daleko w pole, by nie słyszeć płaczu brata, i myślał:

— Trzeba czekać, aż zapadnie noc! Był pewien, że wszystko dobrze przemyślał...

Na szczęście studnia była pusta i Józef nie utonął. Nie mógł się jednak z niej wydostać, bo ściany były wysokie i strome.

Ojciec znajdował się daleko i nic nie wiedział, co tu się stało. Nie mógł więc przyjść synowi z pomocą. Józef bardzo się bał i płakał. Zaczął myśleć o Ojcu Niebieskim, o Bogu. Przecież Bóg go widzi! Przecież Bóg może go uratować!

Gdy Józef o tym pomyślał, nabrał otuchy.

Po pewnym czasie usłyszał czyjeś głosy. To powracali bracia. Czyż wydostaną go ze studni? Tak! Oto wyciągają go po sznurze.

Lecz kim są ci obcy ludzie wokół? Przy nich stoją objuczone wielbłądy. To pewnie kupcy z obcego kraju. Czemu jednak tak patrzą na Józefa i oglądają go ze wszystkich stron? Obcy przybysze dali braciom pieniądze, a potem skrępowali Józefa sznurem i przywiązali do jednego z wielbłądów. Teraz Józef rozumiał, co się stało: został przez braci sprzedany! Przywiązany mocno do wielbłąda, musiał jechać z kupcami...

Płakał i wołał z całych sił:

— Litości! Ratunku! Ja chcę do ojca! Bracia byli jednak bezlitośni. Rubena akurat wtedy nie było, a gdy nadbiegł, karawana uwożąca Józefa była już daleko. Za późno...

— Co za nieszczęście! — zawołał Ruben. — Kto powie o tym ojcu? Lecz pozostali bracia już mieli pewien plan i nie wahali się przed kłamstwem. Zabili kozę, a jej krwią poplamili piękną szatę Józefa. Potem odesłali ją ojcu przez służbę, któremu kazali powiedzieć:

-- Spójrz, co znaleźliśmy w polu! Czyż nie jest to szata Józefa?

Oczywiście oszukali swego ojca.

Gdy Jakub zobaczył szatę, uwierzył, że dzikie zwierzę rozszarpało mu syna. Biedny starzec wpadł w rozpacz.

— Już nigdy nie będę szczęśliwy — płakał — bo mój Józef nie żyje! Biedny Jakub! Wcale nie wiedział, że krew na szacie jest krwią kozy.

Ale... czy i on kiedyś nie oszukał swego ojca, posługując się skórką kozią i pożyczonym ubraniem?

JÓZEF W EGIPCIE

Jakub, ojciec dwunastu synów, myślał, że Józef nie żyje.

Ale to nie było prawdą.

Jego syn przebywał daleko, w obcym kraju, dokąd zawieźli go kupcy. Kraj ten nazywał się Egipt.

Tam kupcy udali się na targ niewolników i sprzedali Józefa bogatemu człowiekowi o imieniu Putyfar. Józef został jego sługą i nie mógł już powrócić do ojca, chociaż bardzo tego pragnął.

Jego obecny pan miał wielu służących. Wszyscy ciężko pracowali po całych dniach, a leniwych i narzekających bito różgami.

Józef nie był leniwy ani nie narzekał. Dobrze wykonywał swoją pracę, bo tak sobie myślał:

— Pan Bóg widzi mnie również tutaj, w tym dalekim kraju, a On chce, żebym postępował jak najlepiej. Wszystko dobrze się układało, bo Bóg czuwał nad nim, wspomagał w pracy i błogosławił.

Putyfar miał piękny ogród. Odkąd Józef zaczął w nim pracować, kwiaty stały się jeszcze piękniejsze. Posiadał również konie. Odkąd Józef zaczął o nie dbać, stały się silniejsze i zdrowsze.

Zauważył to Putyfar i rzekł:

— Józefie, odtąd będziesz zarządzał moimi sługami, zwierzętami i wszystkim, co posiadam.

Bardzo dobrze się stało, bo Józef nie musiał już tak ciężko pracować i mógł chodzić, dokąd chciał, nawet do pięknego domu Putyfara i do komnat swej pani, małżonki Putyfara.

Jednak żona Putyfara była fałszywą kobietą. Nic jej nie powstrzymywało przed robieniem złych rzeczy.

Pewnego dnia zaczęła namawiać Józefa do bardzo złych rzeczy.

— Przyjdź do mnie! — mówiła. — Nikt cię nie zobaczy, a Putyfar o niczym się nie dowie!

Józef jednak nie chciał się na to zgodzić i odpowiedział:

— Nie, pani. Nie mam prawa tego zrobić. Bóg wszystko widzi. Jakże więc mogę popełnić zło i zgrzeszyć przeciwko Niemu?

I wcale nie chciał jej słuchać.

Ona jednak coraz bardziej pragnęła zwrócić na siebie jego uwagę i nie dawała mu spokoju. Codziennie namawiała go, aby zrobił to, czego ona chce.

Pewnego dnia, pod nieobecność Putyfara, siłą zatrzymała Józefa i uchwyciła się jego płaszcza.

— Wysłuchaj mnie — wołała. — Zrób to, co ci mówię!

Ale Józef nie chciał popełnić wstrętnego czynu; wyrwał się jej i uciekł, ale jego płaszcz został w rękach kobiety.

Zaraz przekonasz się, jak podła była ta kobieta!

Zaczęła teraz krzyczeć i jęczeć: — Ratunku! Ratunku! Józef chciał mnie skrzywdzić!

Nadbiegli studzy i uwierzyli słowom swej pani: wprawdzie nie widać było nigdzie Józefa, ale nie ulegało wątpliwości, że to jego płaszcz trzymała w rękach żona Putyfara. Widocznie było tak, jak ona mówi.

Gdy Putyfar wrócił do domu, też uwierzył żonie i wpadł w straszny gniew.

— Schwytać mi zaraz tego nędznika i wrzucić do więzienia! — rozkazał. I tak zrobiono.

Biedny Józef siedział teraz w więzieniu razem ze złodziejami, mordercami i innymi przestępcami. Zamknięto go w ciemnicy, zupełnie samego w maleńkiej celi. Chociaż niczego złego nie zrobił, tak srogo został ukarany.

To było straszne!

Józef miał prawo być wściekły. Mógł krzyczeć, szaleć, kopać nogami w drzwi. Ale niczego takiego nie robił. Nie czuł się samotny. Przecież był z nim Pan Bóg, który wiedział, że Józef nie jest przestępcą.

Pocieszał go Bóg i mówił:

— Bądź spokojny, Józefie. Kocham cię i czuwam nad tobą także tutaj, w więzieniu...

Pan Bóg zawsze dotrzymuje obietnicy!

Codziennie drzwi celi Józefa otwierały się i wchodził człowiek z jedzeniem. Był to strażnik więzienny. Widząc, jak Józef siedzi spokojnie i cierpliwie, myślał:

— Ten więzień na pewno nie jest przestępcą.

Pewnego dnia powiedział:

— Chodź, Józefie, odtąd będziesz mi pomagał w roznoszeniu żywności innym więźniom.

Józef posłuchał. Teraz też starał się pracować jak najlepiej, a Bóg mu błogosławił. Wkrótce sam roznosił żywność wszystkim, jednakże nie przestał być więźniem: nie wolno mu było opuścić więzienia.

Pewnego dnia przybyło dwóch nowych więźniów. Obaj byli wielkimi dostojnikami. Przyprawiono ich tu wprost z królewskiego pałacu. Jeden spełniał funkcję podczaszego - przygotowywał wino dla

króla i nalewał mu je do kielicha, a drugi był królewskim piekarzem — piekł chleb i ciastka dla króla. Teraz obaj znaleźli się w więzieniu, bo faraon (król Egiptu) rozgniewał się na nich.

Codziennie rano Józef przynosił im jedzenie. Pewnego dnia zastał ich obu siedzących z bardzo smutnymi i przerażonymi minami.

— Co się stało? — zapytał. — Ach! — odrzekli. Obaj mieliśmy takie dziwne sny. Zastanawiamy się, co by one mogły znaczyć, ale nie możemy zrozumieć.

— A co wam się śniło? - zapytał Józef.

Pierwszy przemówił podczaszy.

— Śniło mi się — opowiadał — że jestem znowu na wolności. Widzę wspaniałe szczep winny z trzema latoroślami, obsypanymi winogronami. Biorę do ręki złoty kubek faraona i wyciskam do niego sok z winogron. Napełniam kubek do pełna i podaję królowi, a on pije.

Józef rozumiał znaczenie tego snu, bo Pan Bóg mu to objawił. Odpowiedział więc:

— To był bardzo dobry sen. Trzy gałązki oznaczają trzy dni: za trzy dni odzyskasz wolność i stanowisko podczaszego królewskiego.

Potem dodał:

— Gdy już będziesz w pałacu, zechciej poprosić faraona, żeby mnie uwolnił, bo nie popełniłem nic złego. Podczaszy obiecał. Gotów był obiecać wszystko, byle tylko odzyskać wolność.

Potem piekarz opowiedział swój sen: — Śniło mi się, że jestem znowu wolny. Idę drogą i niosę na głowie trzy kosze jeden na drugim. W tym, co znajduje się najwyżej, jest wspaniałe pieczywo dla króla. Ale oto odlatują ptaki i wydziobują je. Wysłuchawszy tego snu, Józef posmutniał i rzekł:

— Nie wróży on niczego dobrego. Za trzy dni faraon wyda wyrok — zostaniesz zabity, twoje ciało zawiśnie na drzewie, a ptaki zlecą się i będą krążyły wokół niego.

Wszystko potoczyło się tak, jak Józef przepowiedział. W trzy dni później podczaszy został uwolniony, a piekarz skazany na śmierć.

Kiedy podczaszy wyszedł na wolność, zapomniał zupełnie o obietnicy danej Józefowi. Wcale teraz o nim już nie myślał ani o więzieniu, w którym przebywał, tylko cieszył się, że znów jest wolny.

A Józef czekał, czekał i czekał, ale nikt nie przychodził uwolnić go z więzienia. Podczaszy o nim zapomniał.

Ale nie zapomniał o nim Pan Bóg! Józef był tego pewien i ufał Bogu. Jeszcze dwa lata spędził w więzieniu, a potem Bóg go uwolnił.

JÓZEF ZOSTAJE NAMIESTNIKIEM

Józef ciągle siedział w więzieniu. Podczaszy zapomniał o nim, ale Bóg pamiętał!

Posłuchaj w jaki sposób Pan Bóg uwolnił Józefa.

Działo się to nocą; było ciemno i wszyscy spali. Władca Egiptu spał także. I wtedy Bóg zesłał mu sen. Faraonowi śniło się, że stoi nad brzegiem ogromnej rzeki i widzi, jak z wody wychodzi siedem pięknych, tłustych krów, które zaczynają szczypać trawę rosnącą na brzegu. Następnie z wody wychodzi siedem brzydkich i chudych krów, które rzucają się na piękne krowy i pożerają je. Mimo to nadal są tak samo chude jak przedtem.

Prawda, że to dziwny sen?

Faraon zerwał się przerażony na równe nogi!

Z ulgą stwierdził, że to mu się tylko śniło, i znów spokojnie ułożył się do snu.

Lecz oto przyśniło mu się znowu coś dziwnego.

Zobaczył siedem kłosów pełnych i dorodnych, wyrastających z jednej łodygi. A za nimi siedem kłosów suchych i pustych, bez ziarna. Potem wydarzyło się to samo, co z krowami.

Siedem kłosów pustych rzuciło się na siedem pełnych i pożarło je.

Faraon jeszcze bardziej przeraził się. Tym razem już nie zasnął. Przywołał dworzan i opowiedział im swoje sny.

— One na pewno coś znaczą! — zawołał. — Na pewno! Proszę was, wytłumaczcie mi moje sny!

Słudzy nie mogli jednak nic z tego zrozumieć. Wśród nich znajdował się również podczaszy, który nagle przypomniał sobie o Józefie. Tak, Józef na pewno zrozumiałby sens tego snu! Podczaszy opowiedział faraonowi o Józefie.

— Natychmiast go tu przyrowadź! — rozkazał faraon.

W takich okolicznościach Józef nareszcie opuścił więzienie. Umyto go, ubrano w piękne szaty i zaprowadzono do faraona, który zapytał: — Czy umiesz tłumaczyć sny?

Józef odparł:

— Nie, panie, nie potrafię. Jedynie Bóg wie, co one znaczą.

Faraon jednak opowiedział mu swój sen — historię o krowach i kłosach: o siedmiu krowach tłustych i siedmiu chudych, o siedmiu kłosach pustych i siedmiu pełnych.

Wtedy Józef rzekł:

— Oba sny oznaczają to samo. Najpierw nadejdą dobre lata urodzaju, zboże obrodzi obficie. Potem nadejdzie siedem lat złych, i wtedy nic nie urośnie, a ludzie nie będą mieli co zbierać z pola.

— Ależ oni pomrą z głodu! — zawołał faraon.

— Nie, panie — odparł Józef — Czy wiesz, co należy uczynić? Trzeba wybudować wielkie spichlerze i napełnić je zbożem zebrany podczas siedmiu lat urodzaju. Kiedy przyjdą lata złe, będzie z czego dać jeść potrzebującym.

— Oczywiście — zawołał król. — Zrobimy, jak powiedziałaś. Ponieważ jesteś tak mądry i przewidujący, więc sam się tym zajmiesz. Od tej chwili staniesz się panem całego kraju i możesz robić wszystko, co uznasz za słuszne. Ja, faraon, jestem twym panem, lecz ty będziesz moim zastępcą.

Potem zdjął z palca piękny złoty pierścień i wsunął go na palec Józefa. Kazał też dać mu wspaniałe szaty i złoty łańcuch na szyję.

Józef jeździł teraz po mieście jednym z królewskich rydwanów, a napotkani ludzie kłaniali mu się nisko, jakby był samym faraonem. Dostał też pałac, w którym zamieszkał, i miał mnóstwo sług i wiele wspaniałych rzeczy. Niespodziewanie stał się bogatym i ważnym człowiekiem.

Jednak Józef nie zrobił się z tego powodu zarozumiałym, wiedział bowiem dobrze, komu to wszystko zawdzięcza.

Czuł się szczęśliwy i wdzięczny.

Często powtarzał:

— Panie Boże, dziękuję Ci za Twą cudowną opiekę!

BRACIA JÓZEFA WYRUSZAJĄ DO EGIPTU

Wszystko potoczyło się tak, jak Józef przepowiedział. Najpierw nadeszło siedem lat urodzaju. Na polach rośło tyle zboża, że ludzie nie byli w stanie wszystkiego zjeść, więc co im zbywało, znosili do Józefa, a on kazał budować spichlerze i napełniał je ziarnem. Zgromadził dużo zboża i przechowywał je starannie.

Potem nadeszły lata nieurodzaju. Słońce wypaliło ziemię i nic nie urosło! Wszędzie ludzie dokoła cierpieli głód. Ale w Egipcie zboża było pod dostatkiem. Spichrze były pełne!

Z różnych stron przybywali ludzie, by kupować ziarno w Egipcie.

Pewnego dnia zjawilo się w pałacu dziesięciu mężczyzn. Przybyli aż z Kanaanu, aby kupić zboże. Przyjechali na osłach, wioząc z sobą puste worki na ziarno.

Wyobraź sobie, że tymi ludźmi byli bracia Józefa! Ci sami, tak dla niego niedobrzy, bracia, którzy bez litości sprzedali go do Egiptu. O, tak, Józef poznał ich natychmiast, ale im nawet przez myśl nie przeszło, kim może być on. Pokłonili się przed nim nisko, bo był ważną osobą, zastępcą króla! Widzisz! Nisko i pięknie pokłonili się Józefowi, a więc jednak jego sen się sprawdził!

Miał teraz braci w swoich rękach! Mógł ich ukarać za podłość, mógł wtrącić do więzienia, mógł nawet skazać na śmierć, gdyby tylko zechciał.

Ale on wcale nie zamierzał tak zrobić. Mimo że bracia wyrządzili mu tyle zła, już się na nich nie gniewał. Chciał odplacić im dobrem za wyrządzone zło i wszystko przebaczyć.

Zastanawiał się:

— Powiedzieć im, że jestem Józefem, czy nie? Lepiej będzie na razie nic nie mówić. Przekonam się, czy ciągle są tacy niedobrzy jak dawniej. Ale... gdzie jest Benjamin? Może przypadkiem i jego sprzedali?

Przybrał surowy wyraz twarzy i zapytał:

— Skąd przybywacie?

— Z Kanaanu, panie! — odparli pokornie. I opowiedzieli, że w domu został stary ojciec i mały brat, że cierpią głód...

Józef przybrał zagniewany wyraz twarzy i odrzekł

— To, co opowiadacie, nie jest prawda! Jesteście naszymi nieprzyjaciółmi i przysłicie tu na przespłegi. Na razie zjawia się was kilku, aby rozpoznać teren, a potem przyjdzie cała gromada, żeby nas obrabować.

Bracia okropnie się przerazili!

— Ależ skąd, panie, nie jesteśmy żadnymi szpiegami! Jesteśmy uczciwymi ludźmi. Przysłiliśmy, aby kupić zboże!

Na nic zdały się ich zaklinania. Namiestnik nie chciał im uwierzyć. — Muszę sprawdzić, czy mówicie prawdę — rzekł. — Wracajcie teraz do siebie i przyprowadźcie najmłodszego brata. Wtedy wam uwierzę. Jednak jeden z was zostanie tutaj, abym miał pewność, że wrócicie. Tak też się stało. Symeona zatrzymano w pałacu Józefa, a pozostali bracia mogli wrócić do domu. Zabrali ze sobą zboże. Jeden tylko osioł szedł bez jeźdźcy. Był to osioł Symeona.

Zmartwieni bracia wrócili do domu. Mieli wprowadzić teraz co jeść, ale nie czuli się szczęśliwi. Symeona zatrzymano w dalekim kraju, a ojciec, dowiedziawszy się o wszystkim, nie chciał puścić od siebie Beniamina do tak srogiego władcy. Bał się, by nie spotkało go tam coś złego.

W końcu jednak musiał wyrazić zgodę. Kończył się zapas zboża i znowu nie było co jeść. Gdyby zaś bracia sami stawili się w Egipcie, zostaliby zatrzymani jako szpiegowie.

Juda rzekł do ojca:

— Puść z nami Beniamina bez obawy! Sam będę nad nim czuwał. — Skoro tak, niech jedzie. Będę prosił Boga, aby się wami opiekował — zgodził się Jakub.

Wszyscy razem wyruszyli więc w drogę i cało i zdrowo dotarli do Egiptu. Tam także wszystko układało się jak najlepiej. Zaprowadzono ich do pałacu, gdzie odnaleźli Symeona, a groźny namiestnik był tym razem bardzo uprzejmy.

Możesz sobie wyobrazić, jak Józef ucieszył się, ujrzawszy braci! Na widok Beniamina aż się rozplakał z radości! Wyszedł jednak prędko do drugiej komnaty, aby ukryć swe łzy.

Bracia zostali zaproszeni na ucztę do pałacu, Benjamin oczywiście także. Jemu nakładano największe i najlepsze porcje. Namiestnik siedział pośród nich i popijał wino ze swego srebrnego kubka.

Kiedy już bracia położyli się spać i posnęli, Józef kazał napełnić ich worki ziarnem, a swój srebrny kubek po kryjomu wsunął do worka Beniamina. Bracia nic o tym nie wiedzieli. Następnego dnia,

skoro świt ruszyli w drogę. Byli bardzo zadowoleni — wieźli zboże, a Symeon wracał z nimi do domu. Wszystko ułożyło się pomyślnie, również dla Beniamina. Z radości chciało się im śpiewać! Starali się posuwać jak najspieszniej, aby szybko znaleźć się w domu i podzielić z ojcem dobrymi nowinami. Nagle usłyszeli, że ktoś ich woła. Za nimi nadciągał oddział wojska. Żołnierz, jadący na przedzie, krzyczał: — Stać! Zatrzymać się! Jak śmieliście uczynić coś podobnego? Ukradliście srebrny kubek naszego namiestnika! W pierwszej chwili bracia wystraszyli się, ale zaraz potem poczuli gniew i odrzekli z godnością:

— Niczego nie ukradliśmy! Nie jesteśmy złodziejami! Co wy sobie wyobrażacie! Przejrzyjcie nasze worki, a jeżeli w którymkolwiek znajdziecie srebrny kubek, możecie nas srogo ukarać!

— Dobrze! Tego, u kogo znajdziemy kubek, zabierzemy ze sobą do namiestnika — odrzekli żołnierze i zabrali się do przetrząsania worków. Szukają i szukają, aż tu naraz coś znajdują w worku Beniamina! Kubek! Srebrny kubek namiestnika!

— Ja tego nie zrobiłem! — bronił się Beniamin. — Zapewniam was, że ja go nie ukradłem! Nie mam pojęcia, skąd ten kubek znalazł się w moim worku.

Żadne błagania nie zdały się na nic. Żołnierze zabrali z sobą Beniamina. Musiał udać się z nimi do namiestnika. Bracia poszli razem z nim, bo nie chcieli puścić go samego! Już nie byli tacy źli, jak kiedyś.

Wkrótce wszyscy stanęli przed namiestnikiem, który wyglądał znów tak srogo, jak za pierwszym razem. — Wracajcie do siebie! — rozkazał braciom. — Zatrzymuję tylko Beniamina!

Oni jednak nawet nie drgnęli. Nie odejdą! Wszyscy stanęli w obronie najmłodszego brata, a szczególnie Juda, który powiedział:

— Panie, pozwól Beniaminowi wrócić do domu, bo inaczej nasz stary ojciec umrze ze zmartwienia. Pozwól, abym ja został i mnie ukarasz zamiast niego. Daruj Beniaminowi! Obiecałem ojcu, że będę nad nim czuwał!

Teraz Józef nie mógł już dłużej opanować wzruszenia, bo przekonał się, jak bardzo jego bracia się zmienili. Zapłakał...

A po chwili zawołał:

— To ja, wasz brat, Józef! Powiedzcie mi, co się dzieje z ojcem?

Teraz dopiero bracia przerazili się jak jeszcze nigdy w życiu! Czyżby ten surowy władca naprawdę był Józefem? Tym Józefem, któremu oni zawsze dokuczali i którego sprzedali? Teraz ukarze ich!

Trzęśli się ze strachu...

Ale Józef powiedział:

— Nie bójcie się. Nic wam złego nie zrobię. Dawno już wszystko przebaczyłem. Wyście postąpili bardzo źle względem mnie, ale Bóg to odmienił w dobro. Gdybym nie znalazł się w Egipcie, wszyscy byśmy teraz pomarli z głodu!

Wyściskał Beniamina i po kolei wszystkich braci, a potem kazał im wrócić do Kanaanu, do ojca. Obsypał ich jeszcze wspaniałymi prezentami, a dla ojca posłał piękny rydwan, aby na nim przyjechał do Egiptu.

— Wracajcie tu z ojcem — powiedział. — Zamieszkacie w tej ziemi, a ja będę czuwał, żeby niczego wam nie brakło.

Radośnie bracia wracali do domu. Tym razem już się nie lękali, że żołnierze ich zatrzymają i zawrócą z drogi. Wszystko układało się tak pomyślnie!

JAKUB PRZENOSI SIĘ DO EGIPTU

W Kanaanie stary Jakub stał w drzwiach swego domu i wyglądał na drogę. Już z daleka ujrzał powracających synów: Rubena, Symeona, Lewiego, Judę...

Tak, wszyscy wracają cali i zdrowi! Także Beniamin jest z nimi — i on wraca szczęśliwie.

Pan Bóg wysłuchał modlitw Jakuba. Ale cóż to jego synowie opowiadają? Co wykrzykują? Coś mówią o Józefie...

— Ojczy! Józef żyje! — wołają. — Żyje i jest namiestnikiem w Egipcie! Stary Jakub czerwieniał i bladł ze zdumienia. Nie wierzył. Nie mógł uwierzyć, że jego ukochany Józef żyje i jest taką ważną osobą.

Kiedy jednak synowie wszystko po kolei opowiedzieli, kiedy zobaczył wspaniałe rydwan i masę prezentów od Józefa, wtedy uwierzył. Był tak szczęśliwy, jak nigdy dotąd! Płakał i śmiał się z radości.

— Jadę z wami — wołał. — Oczywiście, że jadę z wami! Skoro mój syn żyje, muszę go zobaczyć, zanim umrę! Gdy tylko wszystko zostało przygotowane do drogi - Jakub, jego dzieci i cała rodzina ruszyli do Egiptu. A Pan Bóg czuwał nad nimi:

— Jedź bez obawy. Jestem z tobą, Jakubie! — mówił.

Juda puścił się przodem, aby zawiadomić Józefa, że ojciec nadjeżdża.

Gdy Jakub wjechał do Egiptu, Józef pospieszył mu naprzeciw na swoim pięknym, królewskim rydwanie. Jechał bardzo prędko, ale gdy tylko ujrzał ojca, wyskoczył zręcznie z wozu, podbiegł do niego i chwycił w ramiona.

— Ojczy mój, ojczy! — powtarzał z radością.

— Józefie, Józefie! Synu mój kochany! — szeptał Jakub.

I obaj płakali z radości.

— Teraz, gdy cię zobaczyłem, mój chłopczy, mogę spokojnie umrzeć — rzekł w końcu Jakub.

Jakub zamieszkał wraz ze swymi dziećmi w Egipcie, gdzie Józef był namiestnikiem. Osiedli w prowincji Gossen. Józef opiekował się całą rodziną. Gdyby go tam nie było, wszyscy pomarliby z głodu. To on uratował ich od śmierci. Długi czas mieszkali razem szczęśliwie. A kiedy Jakub umierał, nie był wcale smutny. Wiedział, że odchodzi do Króla, który o wiele lepiej opiekuje się ludźmi niż Józef.

Kiedys, po latach, przybędzie na ziemię Ktoś, kogo spotka podobny do Józefa los. I On będzie męczony, znieważany, sprzedany złym ludziom i uwięziony. Będzie jednak jeszcze bardziej posłuszny od Józefa i jeszcze bardziej będzie kochał Boga.

I On także zostanie królem, lecz władcą nie tylko Egiptu, ale całego świata. Podobnie jak Józef, uratuje wielu ludzi od śmierci. A w swoim Królestwie da im szczęście i radość. W chwili śmierci Jakub myślał o tym Królu i dlatego wcale nie był smutny.

Czy wiesz, o jakim Królu mówię? O tym, który przyszedł już na ten świat i jeszcze raz powróci. To Pan Jezus, który nas także chce uczynić szczęśliwymi.

MOJŻESZ

W krainie Gossen, w niewielkim domku mieszkało pewne małżeństwo z trojgiem dzieci.

Najstarsza była córka Miriam.

Drugim z kolei był trzyletni synek Aaron.

Najmłodszym dzieckiem był nowo narodzony chłopczyk, który jeszcze nie miał imienia.

Rodzice bardzo cieszyli się z dwojga starszych dzieci, ale wcale nie ucieszyli się z narodzin najmłodszego. Dlaczego? Czy nie był miłym dzieckiem? Wręcz przeciwnie, był to przemiły, śliczny chłopaczek, istny skarb! Ale, wyobraź sobie, że rodzice nie mieli prawa zatrzymać go przy sobie. Powinni byli wrzucić go do wody, do pobliskiej ogromnej rzeki. Tak rozkazał panujący wówczas faraon, okrutny człowiek, który nie znał Boga. Ojciec i matka nie chcieli za nic wykonać rozkazu króla!

Nie mieli zamiaru go posłuchać, bo zbyt kochali swoje dziecko! Wiedzieli, że nie wolno zabijać dzieci. Bóg tego zabrania! Utopienie tego ślicznego chłopczyka, którym Bóg ich obdarzył, byłoby zbrodnią i szaleństwem!

Ojciec i matka nie byli posłuszni królowi lecz Panu Bogu. Ukryli dziecko w ciemnym kącie w domu, aby zły faraon go nie znalazł, a Miriam i Aaronowi zapowiedzieli:

— Nikomu nie mówcie, że macie małego braciszka. Gdyby bowiem dowiedział się o tym zły król, przysłałby tu swoich żołnierzy, a ci, znalazłszy dziecko, wrzuciliby je do wody. Obiecujcie, że nikomu nic nie powiecie! — Oczywiście, że nie powiemy! — obiecali oboje.

I dotrzykali słowa.

Bardzo pragnęli ocalić swego braciszka.

Codziennie wczesnym rankiem ojciec wychodził z domu do pracy. Ciężko pracował dla złego króla, podobnie jak i inni mieszkańcy ziemi Gossen, którzy wyrabiali cegły, a z nich budowali domy, mury i pałace. Mieli wybudować całe miasta. Tych ludzi, którzy za mało pracowali, bito różgami. Biedni ludzie narzekali, ale nie mogli nic zmienić, skoro panował nad nimi zły król. I on, i jego żołnierze byli Egipcjanami, zamieszkującymi zawsze ten kraj.

Tymczasem ani ojciec małego chłopczyka, ani jego sąsiedzi nie byli Egipcjanami.

Wiesz, kim oni byli?

Praprawnukami Jakuba.

Czy przypominasz sobie patriarchę Jakuba, który przybył do Egiptu, gdy rządził tutaj jego syn, Józef? Teraz jednak Jakub i Józef nie żyli już od dawna. Także Ruben, Symeon i inni bracia pomarli. Jednak ich dzieci zostały w ziemi Gossen.

Było ich bardzo dużo. Razem tworzyły cały naród — lud izraelski. Z początku nieliczny, z czasem stał się wielki. Codziennie rodziły się nowe dzieci, które rosły, stawały się dorosłymi osobami i miały swoje własne dzieci. I tak z roku na rok rozrastał się lud izraelski.

W tych czasach panował w Egipcie faraon, który nie pamiętał Józefa. Nawet o nim nigdy nie słyszał i nie wiedział, że to Józef uratował kraj od klęski głodu.

Ten władca obawiał się ludu izraelskiego.

— Lud ten staje się zbyt liczny — mówił. — Już wkrótce będzie większy od narodu egipskiego i zacznie nad nami panować, a do tego nie wolno nam dopuścić! My tu jesteśmy panami i nimi zostaniemy!

Dlatego faraon rozkazał topić wszystkich izraelskich chłopców, aby lud nie mógł się powiększać. Małe dziewczynki pozostawiał przy życiu, bo nie obawiał się ani kobiet, ani dziewcząt.

Nikt nie wiedział, że w małym domku żyje nowo narodzony chłopczyk. Matka ukrywała go tak przez trzy miesiące. Potem okazało się to niemożliwe, gdyż dziecko zbyt głośno płakało. Głosik jego stawał się coraz donośniejszy i można było usłyszeć go z ulicy! A przecież po ulicy chodzili żołnierze faraona. Gdyby usłyszeli, że jest tam małe dziecko, przysliby je zabrać i utopić. Matka lękała się, że straci dziecko.

Biedna matka, cóż miała począć? Nie mogła sypiać. Obawiała się dłużej ukrywać dziecko w domu, a nie wiedziała, dokąd się z nim udać. Czy nie ma już dla niego ratunku?

Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Poszła na brzeg ogromnej rzeki, płynącej w pobliżu. Tam nacięła wikliny i narwała sitowia, a w domu uplotła z nich nieduży koszyk. Otwory zalała smołą. Teraz kosz przypominał kotłuskę.

Gdy wszystko było gotowe, włożyła dziecko do środka, wzięła koszyk na ręce i wyszła z domu. Miriam pozwolono pójść z matką. Obie skierowały się ku ogromnej rzece, w której topiono małych chłopców. Oczywiście matka nie utopiła swego synka. Weszła do wody i ostrożnie umieściła koszyk wśród sitowia. W tym miejscu, blisko brzegu, woda nie była głęboka.

Koszyk unosił się na powierzchni jak mały statek, a dziecko leżało sobie i spało.

Co się z nim teraz stanie?

Matka wzniosła oczy ku niebu i zaczęła się modlić:

— Boże mój, zmiłuj się nad moim dzieckiem! Nie mogę już dłużej nim się opiekować. Boję się! Jeżeli jednak Ty otoczysz je opieką, nie spotka go nic złego!

Potem matka wróciła do domu, ale Miriam, ukryta w krzakach, z daleka obserwowała koszyk z dzieckiem. Chciała wiedzieć, co się dalej stanie z braciszkiem.

Było gorąco i zupełnie cicho. Kolebka kołysała się łagodnie na falach. Gdzieś śpiewał ptak. Poza tym nic się nie działo.

Lecz nagle coś się wydarzyło. Dały się słyszeć czyjeś kroki i zbliżające się głosy.

Miriam wyjrzała zza krzaka. Zobaczyła jakąś damę odbywającą spacer. Była to córka faraona ze swymi towarzyszkami. Chciała się wykąpać w rzece, bo było bardzo gorąco. Szła teraz wzdłuż brzegu, szukając najodpowiedniejszego miejsca do kąpieli. Nagle dojrzała koszyk.

— Spójrzcie no tam! — zawołała. — Co to takiego? Sprawdźcie zaraz, co to jest?

Jedna z towarzyszek weszła do wody i wyciągnęła koszyk. Dziecko przebudziło się i zaczęło płakać.

Ujrawszy płaczące niemowlę, córka faraona odczuła głębokie współczucie. Nie była bowiem tak zła, jak jej ojciec...

— Co za śliczne dziecko! — zawołała. — To pewnie izraelski chłopczyk. Nie można dopuścić, by go utopiono. Ja go znalazłam i ja się nim zaopiekuję. Dam mu na imię Mojżesz! To odpowiednie dla niego imię, bo oznacza: „Wyciągnięty z wody”!

Dziecko nie przestawało płakać. Pewnie było głodne. Ale takie maleństwo może pić wyłącznie mleko matki. Tu jednak nie ma jego matki. Więc kto nakarmi dziecko? Córka faraona?

Nie! Może jej towarzyszki? One też nie!

Nagle z krzaków wyszła jakaś dziewczynka. Była to Miriam, która słyszała wszystko i teraz się odezwała: — Poszukam kobiety, która zechce nakarmić dziecko.

— Doskonale — odrzekła księżniczka. — Przyrowadź prędko jakąś mamkę.

Miriam puściła się pędem i wkrótce, zasapana, już była z powrotem. Wiesz z kim?

Ze swoją matką!

— Czy zechcesz karmić to dziecko? — spytała córka faraona.

— Bardzo chętnie — odpowiedziała matka.

— A więc zabierz je ze sobą i niech zostanie u ciebie. Tylko opiekuj się nim troskliwie. Kiedy podrośnie i będzie mogło wszystko jeść, odbiorę je i będę wychowywała w pałacu.

— Dobrze, księżniczko — odpowiedziała uszczęśliwiona matka.

Z radością niosła dziecko do domu. Bóg wystuchał jej modlitwy i zmiłował się nad chłopcem, który żyje, a jego matka otrzyma jeszcze pieniądze na jego wychowanie.

Teraz nie musiała już ukrywać chłopca po kątach ani się obawiać egipskich żołnierzy. Gdyby przyszli, wystarczy że im powie:

— Idźcie stąd! To dziecko należy do córki faraona, pytajcie o nie w pałacu!

W małym domku nastał dzień radości.

MOJŻESZ ZOSTAJE KSIĘCIEM

Dość długo Mojżesz pozostawał pod opieką matki. Nauczył się chodzić i mówić. Całymi dniami bawił się z siostrą i bratem. Kiedy zaś matka opowiadała coś dwojgu starszym, on natychmiast wskakiwał jej na kolana i przysłuchiwał się temu, co mówiła. Matka umiała pięknie opowiadać. Kiedyś

powiedziała, że przyjdzie taki dzień, gdy naród izraelski powróci do swego kraju. I nie będzie już złego faraona, i nikt nie będzie ich prześladował. Pan Bóg obiecał to już dawno ich dziadowi, Jakubowi.

— Izrael jest ludem Bożym — mówiła — więc nie może na zawsze zostać w Egipcie. Przybyliśmy tu z kraju, który nazywa się Kanaan. Kiedyś mieszkał w nim nasz dziad, Jakub, zanim przeniósł się do Egiptu. Bóg na pewno nas stąd wyprowadzi i któregoś dnia znów wszyscy znajdziemy się w Kanaanie.

— I ja też! — zawołał mały Mojżesz. Nigdy nie zapomniał słów matki. Kiedy wreszcie nadejdzie ten wspaiały dzień, gdy będą mogli wyruszyć?

Najpierw jednak przyszedł dzień smutku: Mojżesz musiał przenieść się do pałacu. Odprowadziła go tam matka i zostawiła samego u córki faraona.

Mojżesz był teraz księciem. Dostał piękne ubranka i rozmaite zabawki, a księżniczka została jego matką. On jednak dobrze wiedział, kim jest jego prawdziwa matka: to ta biedna kobieta z małego domku, która brała go często na kolana i opowiadała przepiękne historie o niebie i Bogu. Mały książę Mojżesz nigdy jej nie zapomniał!

Mojżesz wyrósł na pięknego mężczyznę. Otrzymał własny pałac, licznych służących, konie, rydwany i wiele innych rzeczy. Gdy przejeżdżał ulicami miasta, ludzie pokazywali go sobie i nisko się kłaniając mówili:

— Patrzcie, to syn księżniczki!

A on, słysząc to, spuszczał głowę. Nie jestem synem księżniczki i wcale nim nie chcę być! — myślał.

— Jestem synem biednej kobiety izraelskiej.

Nie cieszył go widok bogactwa w pałacu. Żadne skarby Egiptu nie przedstawiały dla niego wartości.

— To nie mój kraj — myślał. — Nie chcę być Egipcjaninem. Wolę należeć do ludu izraelskiego, bo jest on ludem Bożym.

Mojżesz nigdy nie zapomniał o swoim ludzie ani o Bogu.

Często spacerował samotnie z dala od pałacu i eleganckich dzielnic miasta. Szedł ku małym domkom (takim jak ten, w którym sam przyszedł na świat), zamieszkanym przez Izraelitów.

Egipcjanie ciągle ich prześladowali. Zmuszali do pracy przy wyrabianiu cegieł i budowie domów. A tych, których pracę uznali za niewystarczającą, bili różgami.

Mojżesz martwił się i rozmyślał: — Dlaczego Bóg zwleka? Dlaczego nie przyjdzie z pomocą swemu ludowi i nie wyprowadzi go do ziemi kananejskiej?

Pewnego dnia podczas przechadzki Mojżesz usłyszał krzyk. To krzyczał jakiś Izraelita, bity przez Egipcjanina. Zapewne jego pracę uznano za niewystarczającą i teraz otrzymywał chłostę. Na próżno biedny człowiek płakał i błagał litości. Niewzruszony Egipcjanin bił go bez przerwy.

Mojżesz wpadł w straszny gniew i trzęsąc się cały ze złości pomyślał: — Skoro Bóg zwleka, ja sam przyjdę z pomocą memu ludowi.

Rozejrzał się wokoło, czy nie ma kogo w pobliżu, i rzucił się na Egipcjanina. Uderzył go tak mocno, że tamten padł martwy na ziemię. Teraz już nie skrzywdzi nikogo.

Nie można było jednak zostawić zabitego na ziemi. Nikt nie mógł się dowiedzieć, co Mojżesz zrobił.

Co by to było, gdyby faraon się dowiedział! Mojżesz prędko wykopał dół i złożył w nim ciało zabitego.

Potem zasypał dół ziemią. Wszystkie ślady zostały zatarte. Można by przypuszczać, że nic się nie stało.

— Nikt mnie nie widział — myślał Mojżesz — i nikt się nigdy o niczym nie dowie.

Do pałacu wracał powoli, ale serce biło mu bardzo mocno. Wiedział, że Pan Bóg o wszystkim wie. Wiedział też, że źle postąpił. Tak bardzo chciał przyjąć z pomocą ludowi izraelskiemu, a tymczasem stał się mordercą!

Następnego dnia, znów w czasie spaceru usłyszał nagle czyjś krzyk. Czyżby znowu Egipcjanin bił Izraelitę, jak to się często zdarzało?

Nie, tym razem nie był to Egipcjanin. Biło się z sobą dwóch Izraelitów.

Mojżesz pomyślał ze smutkiem:

— Zamiast zjednoczyć się przeciwko Egipcjanom, oni biją się między sobą! I rzekł do jednego z ludzi:

— Powiedz mi, dlaczego bijesz swego brata?

Lecz tamten spojrzął na niego z niechęcią i odparł:

— Nie wtrącaj się do nie swoich spraw. Nie rządz się tu!

A potem nagle dorzucił:

— Może i mnie chcesz zabić, tak jak wczoraj tamtego Egipcjanina?

Mojżesz okropnie się przeraził. Był Pewien, że nikt o niczym nie wie, a tymczasem... Może wszyscy już wiedzą?! Co będzie, jeżeli dowie się faraon?

Oczywiście faraon dowiedział się o wszystkim. Wysłał natychmiast żołnierzy po Mojżesza, aby go ukarać, ale żołnierze zjawili się za późno. Mojżesz zdążył już uciec daleko.

I oto nie jest już księciem, lecz nieszczęsnym zbiegiem.

Chciał pomóc swemu ludowi, ale mu się to nie udało.

Jedynie sam Bóg, zgodnie ze swą obietnicą, mógł tego dokonać.

Mojżesz powinien był cierpliwie czekać.

MOJŻESZ ZOSTAJE PASTERZEM

Odtąd Mojżesz nie był już księciem, lecz nieszczęsnym zbiegiem. Uciekał przed złym faraonem, bojąc się, że zostanie zabity. Dotarł w końcu do dalekiego kraju, gdzie wznosiły się wysokie góry. Był to kraj Midianitów.

Zapadał już wieczór, gdy Mojżesz znalazł się przy jakiejś studni i siadł, by trochę odpocząć.

W pewnej chwili zobaczył siedem dziewcząt, które szły ze swymi owcami, by je napoić. Zacerpywały dzbanami wodę ze studni, a potem przelewały ją do kamiennych koryt, z których piły zwierzęta.

Wtem pojawili się pasterze ze swymi owcami. Silni mężczyźni zaczęli odganiać dziewczęta od studni:

— Ustąpcie nam miejsca — wołali. — Nasze owce będą piły pierwsze, a wy poczekajcie, aż my skończymy!

Przestraszone dziewczęta już to chciały zrobić, gdy oto Mojżesz stanął w ich obronie! Nie bał się zuchwałych pasterzy. Podszedł do nich i powiedział:

— To wy sobie stąd idźcie! Dziewczęta były tu pierwsze, więc nie macie prawa ich wyganiać. Zostawcie je lepiej w spokoju!

Przywołał dziewczęta i pomógł im napoić owce. Dzięki niemu szybko uporały się z robotą i zadowolone wróciły do domu.

Tych siedem dziewcząt było siostrami, córkami kapłana — sługi Bożego. — Co się stało, że tak wcześniej wracacie dziś do domu? — zapytał ojciec.

Wtedy opowiedziały mu, jak obronił je uprzejmy nieznajomy.

— Gdzie jest teraz ten człowiek? — zapytał ojciec.

— Pewno nadal siedzi przy studni — odrzekły.

— Jak wam nie wstyd być tak niewdzięcznymi! — zganił je ojciec. — Wracajcie prędko i poszukajcie go. To na pewno jest szlachetny człowiek. Zatrzymamy go na kolacji.

W taki sposób Mojżesz trafił do domu starego kapłana. Spędził tu cały wieczór i noc, a potem został już na zawsze. Ożenił się z jedną z siedmiu siostr, Seforą.

Teraz przestał być zbiegiem. Znowu miał dom, a w nim troskliwą żonę.

Musiał jednak pracować na swoje utrzymanie. Całe dni spędzał z owcami na pastwiskach. Szukał dla nich miejsc, gdzie rosta bujna trawa, bronił je przed dzikimi zwierzętami, a wieczorem prowadził do studni i poił.

Mojżesz bardzo się zmienił. Kiedyś był bogatym księciem, teraz stał się biednym pasterzem.

Kiedyś prowadził wygodne życie, teraz ciężko pracował i codziennie pasał owce.

Kiedyś łatwo wpadał w gniew (sam chciał przecież wyzwolić lud izraelski!), teraz nauczył się cierpliwości i spokojnie czekał, kiedy Bóg przyjdzie ludowi izraelskiemu z pomocą.

Mijały lata i nic się nie działo. Mojżesz przez czterdzieści lat był pasterzem. Postarzał się i coraz rzadziej myślał o swym ludzie.

Prawie zupełnie o nim zapomniał. Bóg jednak pamiętał.

Każdego dnia Mojżesz wychodził z owcami na pastwisko. Aż kiedyś, gdy znajdował się na stoku wysokiej góry, zobaczył nagle dziwne zjawisko: z gór błyskał ogień. To ciernisty krzew stał w płomieniach.

Krzew ten, mimo iż płonął, nie spalał się. Jego liście i gałązki zostawały świeże.

— Istny cud! — pomyślał Mojżesz. — Muszę przyjrzeć się temu z bliska.

Gnany ciekawością przybliżył się i wtedy posłyszał wołanie:

— Mojżeszu! Mojżeszu!

Głos wydobywał się z ognia.

Zatrwożony Mojżesz odpowiedział:

— Jestem!

Wtedy usłyszał:

— Nie zbliżaj się, Mojżeszu! Oto przed tobą Jestem Ja — Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba.

Mojżesz pełen czci padł na kolana i nie śmiał podnieść oczu. Słyszał jednak wszystko, co Pan Bóg do niego mówił. A Bóg mówił, że chce uratować lud izraelski i wyprowadzi go do pięknego kraju — do Kanaanu. Mojżesz ma teraz pójść do złego faraona i kazać mu, aby wypuścił lud izraelski z niewoli.

Mojżesz wcale nie miał ochoty iść do złego faraona. Bał się! Tak bardzo zmienił się od dawnych czasów, gdy gotów był na wszystko...

Teraz wahał się. Chciał, aby Bóg posłał kogoś innego, bo on wolałby już zawsze być tylko pasterzem.

Bóg jednak nakazał mu posłuszeństwo i Mojżesz nie ośmielił się dłużej protestować. Bóg obiecał, że będzie nad nim czuwał, a brat Mojżesza, Aaron, uda się wraz z nim do faraona. Potem zaległa cisza.

Głos umilkł. Krzak przestał płonąć. Wszystko oglądało tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Jednak Mojżesz zaraz wrócił do domu i zagnał owce do zagrody. Teraz już nie mógł zajmować się nimi. Ktoś będzie musiał go w tym zastąpić, bo Pan Bóg wyznaczył mu inną pracę, ciężką lecz wspaniałą: poprowadzi lud izraelski do obiecanego kraju. Mojżesz zaraz wyruszył w drogę do Egiptu. Czekala go długa podróż. Już się nie bał powrotu ani spotkania ze złym faraonem, wiedział bowiem, że Bóg czuwa nad nim, więc nie może go spotkać nic złego.

MOJŻESZ U FARAONA

Mojżesz po długiej podróży przybywa wreszcie do Egiptu.

Lecz kto to czeka go na drodze? Kim jest ten stary człowiek, który wyszedł mu na spotkanie? Mojżesz poznał go od razu! To jego starszy brat, Aaron, któremu Bóg kazał wyjść Mojżeszowi naprzeciw. Mojżesz bardzo ucieszył się ujrzawszy brata. Uściskał go mocno i opowiedział o wszystkim, co usłyszał od Boga przy płonącym krzewie.

Potem razem weszli do Egiptu. Pierwsze kroki skierowali do Izraelitów, by powiedzieć im, że Bóg nadchodzi z pomocą. Już niedługo udadzą się do ziemi obiecanej? Uradowani ludzie zaczęli wołać: —Nareszcie skończy się nasza udręka! Nadchodzi kres naszej niewolniczej pracy i całej naszej niedoli! I zaczęli gorąco dziękować Bogu...

Mojżesz z Aaronem udali się następnie do faraona, który mieszkał w ogromnym pałacu. Dawny zły faraon już nie żył, ale obecny był jeszcze gorszy od tamtego. Siedział teraz we wspaniałej sali, otoczony przez dworzan.

Mojżesz z Aaronem podeszli do niego bez lęku. Wiedzieli, że Pan Bóg czuwa nad nimi. Stanęli przed faraonem i powiedzieli:

— Tak mówi Pan:

— Pozwól odejść memu ludowi z Egiptu!

Oblicze faraona zachmurzyło się.

— Nie zgadzam się! — odrzekł. — Lud izraelski ma tu pozostać i nadal mi służyć.

Wtedy Mojżesz i Aaron powiedzieli: — Panie, lud ten jest ludem Bożym i tylko Bóg może mu rozkazywać, ty zaś powinienes być posłuszny Bogu! Faraon wpadł w straszny gniew.

— Nie znam waszego Boga — krzyczał — i nie zamierzam wcale Go słuchać! Nie chcę mieć z Nim nic wspólnego! Jestem panem ludu izraelskiego i pozostanę nim na zawsze. Odtąd będziecie jeszcze ciężiej pracować niż dotychczas, a jeżeli swej roboty nie wykonacie, otrzymacie chłostę dotkliwszą niż kiedykolwiek. Dalej, Mojżeszu i Aaronie, i wy obaj bierzcie mi się zaraz do roboty!

Zrozpaczeni bracia opuścili pałac.

Pan Bóg doprowadzi jednak do tego, że zły i zarozumiały faraon stanie Mu się posłuszny. Zostanie ukarany za swą pychę i nieposłuszeństwo. Bóg ześle na niego i na złych Egipcjan dziesięć strasznych plag. Najpierw w rzece płynącej w Egipcie zamiast wody pojawiła się krew. Ludzie nie mieli co pić.

Potem pojawiły się miliony żab. Wchodziły one do domów, skacząc wszędzie — po pokojach, po jedzeniu, po łóżkach. W żaden sposób ludzie nie mogli ich przepędzić. Wtedy faraon przeraził się. Rozkazał zawołać Mojżesza i Aarona i rzekł do nich:

— Pozwolę odejść ludowi izraelskiemu, jeżeli usuniecie te żaby.

Mojżesz poprosił Pana Boga, i wszystkie żaby zniknęły.

Gdy plaga minęła, faraon, którego już strach opuścił, powiedział:

— Wprawdzie obiecałem, że wypuszczę was z niewoli, ale tego nie uczynię. Cały lud izraelski nadal tu pozostanie!

Wtedy spadły na Egipt nowe plagi. Pojawiło się mnóstwo much, całe miliony! Kąsały ludzi i faraona. Potem przyleciały niezliczone chmary komarów, które cięły jeszcze dotkliwiej niż muchy. Ludzie nie wiedzieli, gdzie ukryć się przed nimi.

Wtedy faraon znowu skłamał. Obiecał, że wypuści lud, ale gdy plaga minęła, nie dotrzymał słowa.

Odtąd z winy faraona działo się coraz gorzej w Egipcie. Wszystkie zwierzęta zaczęły chorować. Padały krowy i owce, ale zwierzęta Izraelitów były zdrowe.

Potem zaczęli chorować ludzie. Ciała ich pokryły się wrzodami. Wszyscy bardzo cierpieli.

Wreszcie spadł wielki grad. Nigdy dotąd nie widziano tak ogromnego! Grad zniszczył wszystko: powalił zboże, drzewa pozbawił liści, połamał kwiaty. A faraon ciągle nie chciał usłuchać Pana Boga.

Teraz przyszły jeszcze gorsze plagi. Naciągnęła szarańcza. Szarańcza — to owady pojawiające się gromadnie. Gdy patrzy się na nie z daleka, wydaje się, że płynie chmura. Niebo nad Egiptem aż pociemniało, tyle jej było w powietrzu! Szarańcza spadła na ziemię i pożarła wszystko, co się tylko dało: liście, kwiaty, trawę. Kraj został zupełnie spustoszony.

Wreszcie spadła na Egipt nowa plaga. Zniknęło słońce. Zapanowała noc i zrobiło się tak ciemno, że z odległości dwóch kroków nie można było nic dojrzeć. Nawet w południe, gdy słońce najjaśniej świeci, było ciemno jak nocą. Ciemności trwały przez trzy dni. Wystraszeni ludzie kryli się po domach, tuląc się do siebie i bojąc się wyjść na dwór. Przerażony faraon też nie opuszczał pałacu, a mimo to nadal uparcie nie chciał usłuchać Boga.

Już wkrótce jednak zostanie do tego zmuszony, bo Pan Bóg nie pozwala się z siebie naśmiewać.

Na koniec przyszła najstraszniejsza ze wszystkich plag. To, co nastąpiło, wydarzyło się nocą, gdy Egipcjanie, niczego się nie spodziewając, jak zwykle położyli się spać.

Tej nocy nikt spośród ludu izraelskiego nie spał. Wszyscy czuwali ubrani, przygotowawszy do drogi to, co chcieli ze sobą zabrać. Bóg przez Mojżesza rozkazał, aby byli gotowi do podróży, gdyż tej nocy wyruszą do ziemi kananejskiej.

Trzeba było jednak coś zjeść przed drogą. W każdym więc domu matka piekła chleb, a ojciec zabijał baranka. Potem przygotowano świąteczny posiłek — na stole leżał chleb i mięso baranka. Było to przecież prawdziwe święto! Tej nocy Izraelici mieli zostać nareszcie uwolnieni z niewoli egipskiej!

Czy wiesz, co jeszcze uczynił każdy ojciec?

Wziął z sobą krew baranka i wyszedł z domu, a potem pomazał nią futrynę drzwi — najpierw z prawej, potem z lewej strony i na górze, ponad drzwiami. Wszyscy ojcowie tak postąpili.

Potem drzwi zamknięto.

Zapadła noc.

Ostatnia noc ich udręki. Tej nocy przyszła na Egipt ostatnia plaga. Wydarzyło się coś strasznego!

Z nieba zstąpił anioł śmierci i szedł ulicami wstępując kolejno do wszystkich domów. Wszędzie, gdzie się zjawił, umierał we śnie najstarszy syn. Anioł wszedł do pałacu faraona, nie omijał bowiem żadnego domu egipskiego. Dotarł w końcu także do domków zamieszkałych przez Izraelitów. Były to małe, skromne domy, do których łatwo mógł się dostać, a jednak do nich nie wstąpił. Gdy zobaczył drzwi pomazane krwią baranka, mijał je i szedł dalej. Bóg zakazał mu przekraczać progi domów, gdzie na drzwiach zrobiono znak krwią baranka. Krew baranka ocaliła lud izraelski! Wykonawszy swe dzieło, anioł powrócił do nieba. Tej samej nocy lud izraelski spożył ostatni posiłek na ziemi egipskiej. Obchodził święto wyzwolenia!

A Egipcjanie?

Oni nie świętowali, lecz gorzko płakali w swych domach. Zrozumieli nareszcie, że ponoszą karę za swe winy i za winy złego faraona.

Na wszystkich padł wielki strach. Na faraona również, bo i jego najstarszy syn umarł tej nocy. Wtedy faraon zawołał:

— Powiedzcie ludowi izraelskiemu, że pozwalam mu odejść!

Egipcjanie natychmiast pobiegli do Izraelitów, znosząc im różne piękne rzeczy ze srebra i złota.

— Weźcie sobie to wszystko — wołali — tylko wynoście się stąd czym prędzej!

Rankiem cały lud — dorośli i dzieci — ruszył w drogę. Zabrali ze sobą krowy, owce i wszystkie drogocenne przedmioty, wzięte od Egipcjan.

Byli bardzo, a bardzo szczęśliwi! Wreszcie odchodzili do swego wymarzonego kraju, do Kanaanu!

PRZEJŚCIE PRZEZ MORZE

Izraelici wyruszyli do Kanaanu.

Czekała ich długa droga, którą mieli przebyć pieszo. Posuwali się wolno, bo szły z nimi dzieci, owce i jagnięta, które przecież nie mogą prędko chodzić.

Skąd wiedzieli, którędy mają iść? Przecież nigdy jeszcze nie byli w tym dalekim kraju.

Wszyscy maszerowali za Mojżeszem — kroczącym na przedzie z długą laską w ręku — który też nie znał drogi. Ale to w ogóle nie było potrzebne, bo wcale nie Mojżesz prowadził lud.

Czy wiesz, kto to robił?

Sam Pan Bóg.

Na błękitnym niebie, ponad głowami idących unosił się stale biały obłok. Był to obłok Boży, który wskazywał drogę.

Pan Bóg towarzyszył swemu ludowi również na pustyni, bez przerwy nad nimi czuwając. Gdy słońce zbyt mocno prażyło, obłok przysłaniał je i zaraz robił się miły chłód. Gdy dzieci bardzo się zmęczyły, obłok zatrzymywał się i wszyscy mogli odpocząć. Wieczorem, po zachodzie słońca nie zapadała ciemność, bowiem ognisty obłok świecił przez całą noc.

Bóg sam czuwał nad swoim ludem. Ludzie mogli być spokojni, bo nic złego nie mogło ich spotkać! Po trzech dniach wędrówki Izraelici zatrzymali się nad samym brzegiem morza. W pewnej chwili posłyszeli za sobą tętent koni. Co to może być? Obejrzeni się i z przerażeniem ujrzeli pędzące konie i rydwany.

To nadciągało wojsko prowadzone przez samego faraona, który wściekły, że zezwolił Izraelitom opuścić Egipt, teraz chciał ich dogonić i zawrócić z drogi.

Izraelici strasznie się przerażili. Przed nimi morze, więc nie mogą tędy uciekać, za nimi wojsko, więc nie ma dokąd się cofnąć!

Co tu począć? W trwodze zaczęli krzyczeć i płakać.

— Uspokójcie się! — zawołał Mojżesz. — Jesteśmy przecież pod Bożą opieką! Nie będziemy wcale walczyli z tymi wojskami. Spójrzcie tylko, jaką drogę wskazuje nam Pan! Idźcie za mną!

Wszyscy spojrzeli na Mojżesza, a on skierował się ku morzu. Było głębokie, a fale z hukiem waliły o brzeg. Mojżesz wznosił swą laskę. Wtedy zerwał się gwałtowny wiatr i w jego podmuchach wody morza rozstąpiły się. Powstało przejście pośród spiętrzonych wody podtrzymywanej przez wiatr.

Mojżesz szedł przez morze między zwałami wody, a za nim podążał lud izraelski. Obłok posuwał się za nimi. Naraz stanął między ludem izraelskim a wojskiem i zdawał się mówić: — Nie bójcie się, czuwam nad wami! Od strony ludu obłok jaśniał, nad wojskiem był całkiem ciemny.

Faraon, dopadłszy ze swymi żołnierzami brzegu, począł rozglądać się na wszystkie strony i pytać: — Gdzie się podział ten lud? — gdy nieoczekiwanie ujrzął go w samym środku morza, w przejściu między spiętrzonymi ścianami wody. Pyszniemu faraonowi i jego żołnierzom nie przyszło nawet do głowy, że to przecież cud!

— Naprzód! Gońmy ich! — krzyknął faraon. — Dostaną nauczkę za to, że nam uciekli! Pobjemy ich! I ruszył naprzód na swym wspaniałym rydwaniu. Za nim wstąpiło w morze jego wojsko. Pędzili ile sił, by dogonić Izraelitów.

Nie mogli ich jednak dopędzić, bo zrobiło się całkiem ciemno. Zapadła noc. Wielki obłok ponad nimi zasłaniał drogę.

Gdy wstał ranek, lud izraelski był już na drugim brzegu morza, a Egipcjanie dopiero w środku drogi. Wówczas zły faraon i nielitościwi żołnierze ponieśli karę. Bóg rozkazał Mojżeszowi:

— Wyciągnij rękę ponad morzem! Mojżesz uczynił tak, a wtedy wody zstąpiły się. Zalały przejście, zalały i zatopiły rydwany, konie, faraona i jego żołnierzy. Wkrótce już dojrzec można było tylko gładką powierzchnię wody. Wszyscy źli ludzie potonęli. Żołnierze, którzy tylekroć topili małe dzieci izraelskie, ponieśli teraz zasłużoną karę. A zły faraon, który wyrządził tyle krzywdy ludowi, ani teraz, ani nigdy nie będzie szkodził nikomu!

Lud izraelski został ocalony! Był wolny i szczęśliwy!

Ludzie świętowali na brzegu morza i śpiewali ku czci Boga pieśń ułożoną przez Mojżesza:

— Chwalcie Pana, albowiem jest dobry, albowiem wyrwał nas z rąk prześladowców naszych!

DROGA PRZEZ PUSTYNIĘ

Lud izraelski przeszedł przez morze. Zły faraon zatonął wraz z całym wojskiem.

Teraz lud jest wolny! Może spokojnie wędrować dalej do ziemi obiecanej, do Kanaanu.

Czy nie zbłądzi w drodze?

Nie, ponieważ Bóg go poprowadzi. Czy nikt nie skrzywdzi go w drodze? Nie, ponieważ Pan Bóg czuwa nad nim.

Czy nie będzie mu brak czegokolwiek? Czy nie umrze z głodu lub z pragnienia?

Oczywiście, że nie. Przecież Pan Bóg opiekuje się nim.

Bóg czuwał nad ludem, jak ojciec nad swym dzieckiem.

Gdyby tylko lud wierzył w to głęboko, nigdy nie zaznałby strachu.

Niestety, lud izraelski nie wierzył niezachwianie w Boga. To był taki dziwny lud! Nigdy nie czuł się zadowolony. Zawsze gotów był do narzekania i lęku. Ciągłe zapominał, że Bóg czuwa nad nim.

Lud musiał wędrować przez pustynię. Jak okiem sięgnąć był tam tylko piasek, piasek i kamienie.

Panował upał. Od wysiłku, spowodowanego wędrowką po gorącym piasku, Izraelitom chciało się strasznie pić. Nigdzie nie było jednak ani studni, ani źródła. Nigdzie śladu wody na tej palącej pustyni!

Ta, którą zabrali ze sobą z Egiptu, już się skończyła.

W końcu jednak coś znaleźli! Ujrzeni źródło i rzucili się do niego. Natychmiast jednak musieli wypluć tę wodę. Fu! Jakże była niesmaczna! Jaka gorzka! Nie nadawała się do picia. Zaczęli więc narzekać, płakać i oskarżać Mojżesza:

— Co mamy pić? — krzyčeli.

Mojżesz wziął kawałek drzewa i wrzucił do wody (to Pan Bóg kazał mu tak zrobić).

— Pijcie — rzekł — to dobra woda! Rzeczywiście! Gorycz zniknęła. Woda stała się smaczna i odświeżająca. Wszyscy rzucili się do picia.

Czy to ten kawałek drzewa sprawił taką zmianę?

Uczynił to Bóg, aby pokazać, jak jest potężny i aby wszyscy zrozumieli, że On stale czuwa nad nimi.

Czy jednak zapamiętają to na zawsze?

Po pewnym czasie skończyły się zabrane z Egiptu zapasy mięsa i chleba. Nie było co jeść i znów zaczęły się narzekania.

— W Egipcie mieliśmy przynajmniej chleba i mięsa pod dostatkiem. Lepiej by było, gdybyś nas tam zostawił! — mówili do Mojżesza. — Dlaczego kazałeś nam wyjść stamtąd? Czy po to, abyśmy poumierali z głodu na pustyni?

To bardzo brzydko z ich strony, że ośmielali się mówić w ten sposób! Pan Bóg okazał im jednak dużo cierpliwości i nie ukarał za to.

Mojżesz rzekł:

— Nie narzekajcie! Bóg czuwa nad wami. Wieczorem da wam mięso, a rano otrzymacie chleb z nieba. Czy wierzycie w Jego opiekę?

Wieczorem rzeczywiście ukazały się wielkie stada dużych, szarych ptaków, które nazywają się przepiórki. Były tak zmęczone lotem, że spadały na ziemię, między namioty, w których mieszkali Izraelici, a ludzie łapali je, zabijali i piekli na ogniu. Mieli teraz mięsa pod dostatkiem.

A rano, gdy wyszli z namiotów, ujrzeli, że ziemia jest biała, jakby pokrył ją śnieg. Wszędzie leżały małe, okrągłe ziarenka.

— Co to jest? — pytali Izraelici. Mojżesz wiedział i wyjaśnił im: — To manna, chleb, który Pan Bóg daje wam do jedzenia.

Wszyscy pośpiesznie zaczęli zbierać mannę. Brali pełnymi garściami, napełniali nią dzbany, zbierali tyle, ile chcieli. Można było jeść mannę na surowo, można było ją gotować lub piec z niej chleb. Miała smak bułki z miodem. Codziennie rano lud otrzymywał mannę na pożywienie.

Izraelici zrozumieli wreszcie, że nie grozi im głód na pustyni, bo Bóg opiekuje się nimi.

Jak długo będą o tym pamiętać?

Czy nigdy nie utracą swej wiary?

Ich wiara była słaba.

Pewnego dnia znów zabrakło wody. Teraz, gdy mieli dość chleba, nie było co pić. Więc zaczęły się narzekania, jeszcze gorsze niż za pierwszym razem. Znowu winili Mojżesza, wyładowując na nim swą złość.

Mojżesz bardzo się zasmucił. Modlił się do Boga i pytał:

— Panie, co mam począć?

— Zbliź się do skały — odpowiedział Pan — i uderz w nią swoją laską. Wtedy ukaże się woda.

W pobliżu wznosiło się wiele skał, istny mur z kamienia. Mojżesz skierował się ku nim, a za nim cały lud, krzycząc i narzekając. Mojżesz uderzył laską w skałę: skała pękła i wytrysnęło źródło! Wtedy lud się uspokoił. Wszyscy mogli pić do woli! Ach, ten niemądry i niedowierzający lud! Może teraz nie ośmieli się już więcej narzekać? Chyba wreszcie zrozumie, że Bóg stale nad nim czuwa.

Jednak wydarzyło się coś nowego. Zobaczycie zaraz, w jaki sposób Pan Bóg znowu przyjdzie z pomocą ludowi, który pod Jego opieką jest zawsze bezpieczny.

Oto pojawiła się banda rozbójników. Byli to silni, brodaci wojownicy, mieszkający na pustyni. Napadali na wędrujących pustynią ludzi i rabowali ich dobytek.

Mojżesz rzekł:

— Tak być nie może! Musimy się im przeciwstawić. Trzeba ich rozgromić, żeby nigdy nie ośmielili się tu wrócić. Zawołał do siebie Jozuego, młodego, dzielnego wojownika, który kochał Boga, i powiedział do niego:

— Wybierz sobie najdzielniejszych spośród naszych ludzi i idźcie walczyć z rozbójnikami!

Jozue uczynił tak, jak mu Mojżesz polecił.

Tymczasem Mojżesz wszedł na wzgórze i stamtąd obserwował przebieg bitwy. Nie brał wprawdzie zbrojnego udziału w walce, ale pomagał w inny sposób: modlił się za lud. Wzniósłszy obie ręce ku niebu, wołał:

— Panie, pomóż nam!

I Pan Bóg ich wspomagał.

Gdy Mojżesz trzymał ręce w górze, Izraelici zwyciężali, a rozbójnicy nie mogli im sprostać. Kiedy jednak opuszczał ręce, rozbójnicy stawali się zaraz silniejsi i brali górę nad Izraelitami.

Gdy Mojżesz to zauważył, starał się nie opuszczać rąk, ale bardzo trudno jest utrzymać wyciągnięte ramiona przez dłuższy czas. Omdlałe ręce opadały. Wtedy dwóch ludzi przyszło z pomocą Mojżeszowi, silnie podtrzymując mu ręce. Dzięki temu cały czas miał je wyciągnięte ku niebu, ku Bogu.

Izraelici okazali się silniejsi. Walczyli przez cały dzień bez przerwy i zmusili rozbójników do ucieczki.

Lecz to zwycięstwo nie było ich zasługą!

To Bóg im je dał!

On czuwał nad swym ludem.

Gdyby tylko lud chciał szczerze w to wierzyć, nie miałby nigdy powodów do narzekania czy lęku.

Wiara mogła uczynić ludzi radosnymi i szczęśliwymi!

ZŁOTY CIELEC

Izraelici posuwali się wciąż dalej po pustyni, prowadzeni przez obłok Boży. Dotarli teraz do krainy, w której Mojżesz mieszkał przez wiele lat, gdy był pasterzem.

Wznosiła się tu wysoka góra: Synaj. Obłok zatrzymał się nad jej szczytem, a ludzie rozłożyli się u jej stóp na odpoczynek. Mieli tu obozować przez dłuższy czas. W tej okolicy, na tej górze miało się wydarzyć coś wspaniałego! Tu będą obchodzić wielkie święta.

Tak im powiedział Bóg, gdyż chciał zawrzeć przymierze ze swym ludem. On, potężny Stwórca nieba i ziemi, chciał zostać przyjacielem ludu izraelskiego, tego ludu, który ciągle na Niego narzekał.

Bóg chciał, aby ten lud stał się najszczęśliwszym ludem na ziemi. Czy to nie wspaniałe?

Bóg chciał rozmawiać ze swym ludem. Każdy miał usłyszeć Jego głos, toteż należało się przygotować jak najlepiej do tego święta. Wszyscy umyli się i wdziali najlepsze ubrania. Nikt się z nikim nie kłócił, aby w niczym nie zakłócać święta.

Wyznaczonego dnia, wcześniej rano, wszyscy zbliżyli się do stóp góry i zaczęli nasłuchiwać. Na szczycie zawisł obłok. W pewnej chwili rozległ się grzmot. Z lęku i grozy ludzie zadrżeli. A potem zapadła na górze cisza.

Wtedy wszyscy — mężczyźni, kobiety i dzieci — posłyszeli głos Boży, który mówił, że zawsze mają być Mu posłuszni, kochać Go ponad wszystko, i siebie kochać wzajemnie. Wtedy będą żyli w szczęściu i pokoju.

Potem znów zapanowała cisza. Głos Boży zamilkł. Ponownie rozległ się grzmot. Wtedy ludzie rozbiegli się do namiotów. Bali się zostać dłużej u stóp góry, lękali się Boga.

Tylko Mojżesz sam został na górze Synaj i spisywał wszystko, co Pan Bóg powiedział, aby lud nigdy nie zapomniał o tym, co usłyszał!

Bóg miał jeszcze wiele innych rzeczy do powiedzenia ludowi.

Mojżesz wszedł na górę, aby to spisać. Zbliżał się do Boga z radością, bez lęku.

Ludzie widzieli, jak wspina się coraz wyżej. Widzieli, jak dochodzi do obłoku. Potem zniknął im z oczu. Wieczorem zebrali się, aby patrzeć, czy nie wraca. On jednak został z Bogiem przez noc.

Następnego dnia nie ujrzeli go również, ani po dwóch dniach, ani żadnego z dni następnych.

Ludzi ogarnął lęk. Mówili między sobą:

— Mojżesz pewnie nie wróci już nigdy. Na pewno coś tam na górze się stało. Może już nie żyje? Kto nas zaprowadzi do Kanaanu? Teraz nie mamy już nikogo, kto by się nami opiekował!

Co za niemądrzy ludzie!

Przecież był Pan Bóg, który przez cały czas czuwał nad nimi!

Oni zaś mówili jeszcze bardziej głupie i brzydkie rzeczy.

— Nie możemy zobaczyć Pana Boga i nic o Nim nie wiemy. Inne ludy mają różne figury i dzięki temu widzą swoich bogów. Kłaniają się im, oddają cześć, mogą ich zobaczyć. My też chcemy mieć bożka ze złota. Będziemy go czcili. Będziemy go nieśli przed sobą w czasie wędrówki do Kanaanu.

Poszli więc do Aarona, który był ich przywódcą w czasie nieobecności Mojżesza, i powiedzieli:

— Zrób nam złotego cielca, zrób nam bożka, którego będziemy widzieli i którego będziemy mogli nieść przed nami w czasie podróży do Kanaanu.

Aaron przeraził się. Co za bezmyślni ludzie! Dopiero co Bóg im powiedział, że nie mają kłaniać się figurom, a oni natychmiast chcą to zrobić. Jaki straszny grzech chcą popełnić!

Jednak nie ośmielił się tego powiedzieć głośno i tylko pomyślał:

— Nie będę im się sprzeciwiał, bo jeszcze mnie zabiją. Muszę działać chytrze.

Powiedział więc:

— Na zrobienie cielca potrzeba dużo złota. Macie złote pierścienie, oddajcie mi je.

— Na pewno się na to nie zgodzą — pomyślał.

A tymczasem ludzie wcale nie odmówili, lecz zaczęli znosić złoto całymi garściami.

Teraz Aaron nie śmiał już nic powiedzieć. Zbyt bał się, że gniew ludu skieruje się przeciwko niemu. Wiedział że nie wolno czynić żadnych bożków, a jednak z całego otrzymanego złota zrobił takiego samego byka, jakiego czcili Egipcjanie.

W samym środku obozowiska ustawiono złotego cielca.

Ludzie klękali przed nim i oddawali mu cześć. Byli bardzo z niego zadowoleni, ci niewdzięcznicy. Tańczyli wokół figury, skakali, wydawali okrzyki radości i śpiewali tak głośno że można ich było słyszeć na samym wierzchołku góry.

Obchodzili nowe święto!

Tym razem nie było to piękne święto. lecz bardzo brzydkie święto!

Gdy zabawa była w pełni, nagle wśród tłumu zjawił się ktoś, kogo już nie oczekiwano. Kto to był?

To nareszcie powrócił Mojżesz!

On nie bał się ludu, tak jak Aaron. Miał zawsze odwagę powiedzieć, gdy działo się coś złego.

Mojżesz rzucił się na złotego cielca, rozbił go w kawałki i wrzucił je do ognia, aby nie został żaden ślad. Wtedy ludzie przestraszyli się. Zrozumieli, że rozgniewali Pana Boga. Cicho pochowali się w namiotach. Uciekali, aby Mojżesz ich nie zobaczył.

Nie mogli jednak ukryć się przed Bogiem, a Bóg był na nich strasznie zagniewany!

Na pewno nie zechce więcej być ich przyjacielem.

Następnego dnia rano zrozpaczony i przerażony Mojżesz wstąpił znowu na górę. Na szczycie padł na kolana przed Bogiem i modlił się:

— O Panie, lud popełnił straszny grzech i zasłużył na ciężką karę. Zechciej mimo to zostać jego przyjacielem! Pozwól mi ponieść karę za mój lud. Mnie ukarż zamiast nich, błagam Cię, Panie!

Mojżesz pragnął tego naprawdę, bo kochał swój lud, mimo iż ten okazał się tak nieposłuszny.

Jednak nie mógł ponieść kary za lud.

Ktoś inny to kiedyś uczyni: Pan Jezus przyjmie na siebie karę za lud izraelski i za wszystkich innych ludzi. Bóg jednak wysłuchał Mojżesza i wybaczył ludowi jego straszny grzech. Nie przestał być jego przyjacielem i towarzyszył mu w dalszej wędrówce do Kanaanu, bo bardzo kochał swój lud.

Boża miłość przewyższała miłość Mojżesza.

W POBLIŻU ZIEMI OBIECANEJ

Lud izraelski długo, bo około roku, przebywał u stóp góry Synaj. W końcu jednak ruszył dalej, musiał przecież iść do ziemi obiecanej, do Kanaanu.

Obłok posuwał się znowu po niebie, prowadząc ludzi przez pustynię. Codziennie szli coraz dalej, aż wreszcie dotarli prawie na miejsce. Z wysokiej góry można już było dojrzeć Kanaan. Wtedy obłok zatrzymał się. Ludzie stanęli również. Rozbili namioty, jedli, pili i odpoczywali przez kilka dni. Ciągłe jednak spoglądali w stronę gór. Za nimi leżał Kanaan. Już wkrótce tam dotrą i nareszcie odpoczną po długiej wędrówce!

Tak, ale jeszcze tam nie mieszkają! Obecni mieszkańcami tego kraju są bardzo źli ludzie. Trzeba ich stamtąd wypędzić. Czy jednak nie okażą się zbyt silni? Może będą bardzo liczni? Jaka trawa rośnie w ziemi kananejskiej? Czy są tam drzewa owocowe? Czy ten kraj okaże się rzeczywiście tak piękny, jak ludzie go sobie wyobrażają?

Lud izraelski pragnął się dowiedzieć tego wszystkiego.

Dlatego Mojżesz wybrał dwunastu silnych i dzielnych mężczyzn, wśród nich Jozuego, i powiedział do nich: — Przekroczcie góry i wejdźcie do Kanaanu. Rozejrzyjcie się, jak tam jest i wróćcie do nas z wiadomościami. Bądźcie ostrożni, aby mieszkańcy Kanaanu nie zauważyli was i nie wtrącili do więzienia.

Dwunastu wybranych chętnie się zgodziło i nazajutrz ruszyło w drogę. Odtąd codziennie lud izraelski wyglądał ich powrotu. Czekano długo. W końcu zwiadowcy wrócili dźwigając wspaniałe owoce — jabłka, figi, a także winogrona niezwyklej wielkości. Jeden człowiek nie mógł unieść winnej gałęzi. Zawieszono ją na kiju, który niosło dwóch ludzi. Cóż to musi być za piękny kraj, skoro rosną tam takie owoce!

Dwunastu wysłańców opowiadało o tym, co widzieli w Kanaanie.

Spośród nich tylko dwóch kochało Pana Boga, a dziesięciu wcale o Nim nie myślało.

Jedynie Jozue i Kaleb wierzyli we wszystko, co im Bóg obiecał. Pozostali nie wierzyli Jego obietnicom. Dziesięciu ludzi powiedziało tak: — O, to wspaniały kraj! Wszędzie w nim pełno kwiatów i bujnej trawy. Nie cieszymy się jednak zbyt, bo i tak tam nie wejdziemy! Mieszkańcy Kanaanu są o wiele silniejsi od nas!

Widzieliśmy nawet olbrzymów. Są tak wielcy, że w porównaniu z nimi my wydajemy się małymi ludzikami. Nie wiercie w to, że dadzą się nam wypędzić!

Usłyszawszy to. Izraelici przerazili się. Ogarnął ich lęk przed olbrzymami. Zapomnieli znowu, że Pan Bóg opiekuje się nimi.

Jedynie Jozue i Kaleb pamiętali o tym. Rzekli więc:

— Nie bójcie się. Pan Bóg obiecał, że nam pomoże! Powiedział, że da nam ten kraj. On zawsze dotrzymuje obietnic. Wiercie Mu!

Ludzie jednak nie chcieli wierzyć. Zaczęli krzyżeć, jęczeć i płakać ze strachu. I znowu oskarżali Mojżesza i Pana Boga. Uważali, że Bóg wprowadził ich w błąd.

To oburzające, że mogli myśleć coś podobnego!

— Dlaczego nie zostaliśmy w Egipcie? — krzyczeli. — Dlaczego Bóg nas tutaj przyprowadził? Pewnie po to, aby nas zabili olbrzymi, a my wcale nie chcemy ginąć. O, nie, za nic nie wejdziemy do Kanaanu! Nie chcemy tego. Wolimy wrócić do Egiptu!

Oburzeni Jozue i Kaleb wołali: — Nie wolno wam tak mówić!

Nikt jednak ich nie słuchał. Ludzie wpadli w gniew. Chwycili za kamienie i zaczęli nimi ciskać w Jozuego i Kaleba.

Lecz naraz... stanęli przerażeni. Silne, białe światło, idące z nieba, niespodzianie ich poraziło. Niezwykły blask bił od Bożego obłoku: to sam Bóg stanął w obronie Jozuego i Kaleba. Żli i nieposłuszni ludzie musieli zakryć oczy przed oślepiającym światłem i cofnąć się w popłochu. Gdyby Mojżesz nie wstawił się za nimi w modlitwie do Boga, źle by się to skończyło.

Lud izraelski został jednak tym razem ukarany za to, że nie chciał uwierzyć słowu Pana Boga.

Mojżesz przemówił do ludu:

— Tak mówi Pan: Nie chcecie wejść do ziemi kananejskiej? — Dobrze, nie wejdziecie do niej. Chcecie wracać? — Dobrze, wracajcie na pustynię. Będziecie błądzili po niej do czasu, aż dzieci wasze dorosną i tylko one wejdą do ziemi obiecanej. Wy wszyscy pomrzecie na pustyni, z wyjątkiem Jozuego i Kaleba, którzy uwierzyli słowom Bożym.

Lud izraelski poniósł surową karę. Sam był sobie winien!

Kilku Izraelitów chciało jednak wejść do Kanaanu. Nazajutrz, spotkawszy Mojżesza, powiedzieli mu: — Wczoraj baliśmy się i nie byliśmy posłuszni. Dziś pragniemy spróbować. Wejdziemy do Kanaanu i będziemy dzielnie walczyć z mieszkającymi tam złymi ludźmi!

Mojżesz ze smutkiem potrząsnął głową i powiedział:

— Nie czyńcie tego, czego Bóg sobie nie życzy. Jest już za późno!

Oni jednak spróbowali. Walczyli dzielnie, ale Bóg im nie pomógł, więc zostali pokonani przez złych mieszkańców Kanaanu i wszyscy zginęli.

Wtedy lud izraelski ruszył w drogę. Obłok prowadził ich, a oni szli za nim. Ze spuszczoneymi głowami, ze zbolałymi sercami wracali na pustynię, postępując za obłokiem. Znowu oddalali się od ziemi obiecanej.

Nie mieli prawa tam wejść, bo nie zaufali Bogu i zwątpili w Jego słowa.

DROGA PRZEZ PUSTYNIĘ

Izrael znalazł się znowu na pustyni. Obłok Boży prowadził, a ludzie postępowali za nim. Szli jednak ze spuszczoneymi głowami, smutni, że ciągle oddalają się od obiecanej im ziemi. Nie wolno im było do niej wejść, bo nie zaufali Bogu. Narzekali, zamiast okazać Mu wdzięczność i radość.

Dopiero ich dzieci, gdy dorosną, wejdą do Kanaanu.

Długa i smutna była droga przez pustynię. A najbardziej przykre było to, że ludzie nie przestawali narzekać!

Pewnego razu, gdy zabrakło wody, znowu powiedzieli, że to wina Mojżesza:

— Po co nas tu przyprowadziłeś? — narzekali. — To twoja wina, że umieramy z pragnienia!

Wtedy Bóg rzekł do Mojżesza: — Podejdz do skały i zrób tak, aby wytrysnęła woda i żeby ludzie mieli co pić!

Mojżesz z Aaronem podeszli do skały, a lud postępował za nimi krzyżąc i narzekając.

Wtedy Mojżesz rozgniewał się. Zawsze okazywał tyle cierpliwości, teraz jednak miał już tego dość.
— Czego znowu chcą ci głupi ludzie? Przecież jesteśmy tu obaj, Aaron i ja, i opiekujemy się nimi bez przerwy — myślał.

Zagniewany krzyknął podniesionym głosem:

— Uspokójcie się wreszcie! Znowu wam trzeba wody? Oto ją macie! Z całej siły uderzył dwukrotnie laską w skałę i natychmiast wytrysnęła woda.

Ludzie mieli co pić i znowu byli zadowoleni.

Jednak Mojżesz nie był zadowolony. Czuł smutek, bo okazał nieposłuszeństwo, tak samo jak Aaron. Obaj wpadli w złość i zapomnieli o Bogu. Mówili do ludzi:

— To myśmy dali wam wodę. To my stale opiekujemy się wami!

A przecież ten wielki cud nie był ich zasługą!

Bóg go uczynił.

Rzekł Pan Bóg do obu braci:

— Ponieważ i wy zapomnieliście o mnie, nie wejdziecie do ziemi obiecanej!

Biedny Mojżesz, biedny Aaron! Jakie to było przykre dla nich!

Wkrótce wydarzyło się jednak coś jeszcze gorszego.

Każdego ranka spadała z nieba manna i codziennie lud znajdował ten wspaniały chleb z nieba.

Lecz ludzie okazali się niewdzięczni. Zaczęli grymasić i narzekać na ten pokarm:

— Oj, znowu ta manna! Codziennie to samo!

Wyrzucali ją w piasek i deptali.

To, co robili, było wstrętne! Popełniali wielki grzech i zostali za to surowo ukarani.

Pojawiły się węże i zaczęły atakować. Były to węże jadowite; ich jad zabijał. Kto został ukąszony, umierał! Nie było dla niego żadnego ratunku! Na piasek padało codziennie coraz więcej ludzi zmarłych od jadowitego ukąszenia.

Teraz lud przeraził się i bardzo żałował, że pogardził chlebem z nieba. Ludzie otoczyli Mojżesza i wołali: — Ratuj nas! Módl się, aby Pan Bóg nam przebaczył! Niech oddali od nas te węże!

Mojżesz błagał Pana Boga i został wysłuchany. Pan Bóg nie oddalił wprawdzie węży, lecz zrobił taki cud, że nikt się już węży nie lękał.

Mojżesz stanął pośrodku ludu, trzymając w ręku swą długą laskę, do której przybity był wąż. Ale nie wąż prawdziwy, tylko miedziany. Na rozkaz Boży Mojżesz zrobił takiego węża.

Ukąszeni ludzie musieli teraz patrzeć na węża miedzianego. Wtedy jad nie wyrządzał im żadnej krzywdy i nie umierali zatruci. Tak rozkazał Pan Bóg i tak się stało.

Ci ludzie, którzy nie uwierzyli w to, co Pan Bóg powiedział, i nie chcieli patrzeć na węża miedzianego, poumierali.

Ci zaś, którzy uwierzyli i czynili, co im Pan Bóg polecił, ocaleli.

W ten sposób Pan Bóg chciał nauczyć ludzi zaufania do siebie i pokazać im, że jeżeli będą w Niego wierzyć, nie muszą niczego się lękać.

Wędrówka przez pustynię dobiegała końca. Lud izraelski znowu znalazł się w pobliżu ziemi obiecanej. Przez ten czas dzieci wyrosły. Wkrótce wejdą do Kanaanu.

Czy tym razem lud izraelski już nie będzie się wahał?

Czy zaufa Bogu?

MOJŻESZ WZIĘTY DO NIEBA

Lud izraelski rozłożył obozowiska w pobliżu ziemi obiecanej, którą widać już było w oddali. Jeszcze tylko parę dni, a znajdą się tam.

Mojżesz jednak nie może dalej towarzyszyć ludowi. Nie wejdzie do ziemi obiecanej. Aaron już umarł, teraz on umrze. Mojżesz był bardzo smutny. — Raz jeszcze poproszę, abym mógł wejść wraz z ludem do Kanaanu — pomyślał, i zaczął się modlić z całego serca:

— O Panie, wprawdzie już tego nie oczekuję, ale tak bardzo pragnąłbym wstąpić do ziemi obiecanej! Tak bardzo chciałbym zobaczyć kraj, w którym zamieszka mój lud!

Pan Bóg odrzekł jednak:

— Nie ma mowy, Mojżeszu. Daj temu spokój!

Czyżby Pan Bóg nie miał litości? Czyżby już nie kochał swego starego sługi?

O nie, Mojżesz dobrze wiedział, że Pan Bóg go kocha.

Bóg kochał go zawsze i przez całe życie czuwał nad nim.

Gdy Mojżesz był małym dzieckiem, Bóg ocalił go przed utopieniem w rzece.

Kiedy leżał w koszu z wikliny. Bóg przysłał córkę faraona, aby się nim zaopiekowała.

Później, gdy Mojżesz zabił Egipcjanina. Bóg uchronił go przed złym faraonem.

I wtedy, gdy był pasterzem, i po powrocie do Egiptu, i w czasie przejścia z ludem przez morze, i podczas długiej wędrówki przez pustynię — Bóg zawsze troszczył się o niego jak ojciec o swoje dziecko. Jakże mądry i dobry jest Bóg!

To, czego On chce, jest zawsze najlepsze.

Gdy Mojżesz przypomniał sobie to wszystko, znowu odzyskał radość. Nie martwił się już, że nie wejdzie do ziemi obiecanej. Teraz pójdzie do Boga, będzie blisko Niego, jeszcze bliżej niż kiedyś na szczycie góry. A to przecież jest najcudowniejsze!

Mojżesz zgromadził więc cały lud i raz jeszcze przemówił do niego. Poleciał mu, aby zawsze był posłuszny Bogu, jeśli chce żyć szczęśliwie w ziemi obiecanej, bo gdy zapomni o Bogu, nie będzie mógł w niej pozostać.

Mojżesz mówił jeszcze wiele innych rzeczy. Bardzo kochał swój lud i dlatego tak mu zależało, żeby był on posłuszny Bogu. Wiedział też, że teraz może odejść spokojnie. Bóg będzie czuwał nad swoim ludem. Wreszcie Mojżesz pożegnał się z zebranymi i odszedł. Samotnie udał się na pobliską górę i wspiął się na szczyt.

Izraelici patrzyli za nim tak długo, aż zniknął im z oczu. Bardzo kochali Mojżesza i żal im było się z nim rozstać.

Wzdychali więc:

— Biedny Mojżesz!

On jednak wcale nie był „biedny”. Kiedy bowiem dotarł na szczyt góry, Bóg wyszedł mu na spotkanie. Z wysokiej góry wzrok sięgał daleko. Mojżesz zobaczył piękny kraj, gdzie już wkrótce zamieszka lud izraelski. Bóg pokazał mu bujne łąki Kanaanu, potoki w dolinach, potężne góry, drzewa, a nawet morze w oddali. Ujrawszy całą krainę, Mojżesz zrozumiał, że jego lud będzie tutaj szczęśliwy.

Wtedy Bóg rzekł:

— Pójdź, dziecię moje, już czas!

I zabrał Mojżesza do kraju stokroć piękniejszego, do kraju, który można nie tylko oglądać, ale zamieszkać w nim na zawsze.

Ten kraj nazywamy niebem.

Mojżesz poszedł do nieba.
Tam nie ma zła ani cierpienia.
Tam nikt nie narzeka.
Tam wszyscy są radośni i szczęśliwi.

RACHAB

Mojżesz umarł.
Aaron nie żył od dawna.
Kto wprowadzi teraz lud do ziemi kananejskiej?
Kto zastąpi Mojżesza?
— Jozue! On wstąpi wraz z ludem do Kanaanu!
Jozue musi być jednak bardzo ostrożny, bo krainę tę zamieszkują źli ludzie. Bóg nie chce ich tam widzieć, więc trzeba ich wypędzić.

Tuż przy granicy Kanaanu leżało otoczone wysokimi murami miasto — Jerycho. Należało je więc zdobyć. Jak grube są te mury i czy bardzo mocne? Ilu żołnierzy może przebywać w mieście? Jozue chciał to wszystko wiedzieć, więc wezwał do siebie dwóch ludzi i powiedział do nich:
— Wejdźcie po kryjomu do Kanaanu. Udajcie się do Jerycha i wszystkiemu się bacznie przyjrzyjcie. Potem wróćcie i opowiedzcie dokładnie o wszystkim, coście widzieli. Czy nie boicie się iść?
— Bóg czuwa nad nami — pomyśleli obaj mężczyźni i zaraz wyrazili zgodę.

Szybko ruszyli w drogę i wkrótce stanęli pod Jerychem. Mury wielkiego miasta były bardzo grube i wysokie. Nikt nie mógł się przez nie przedostać. W murach znajdowała się jednak brama, otwarta w ciągu dnia, przez którą wchodzili i wychodzili ludzie. Obaj wysłańcy przeszli bramę. Nikt nie zwrócił na nich uwagi. Przechadzali się ulicami i uważnie przyglądali wszystkiemu. Wreszcie zapadł wieczór. Gdzie będą nocować? Weszli w miejskie mury i skierowali się do stojącego na nich domu. Mury były tak grube, że stawiano na nich domy. Obaj mężczyźni weszli do domu. Mieszkała tu pewna kobieta, na imię miała Rachab, która pozwoliła im zatrzymać się na noc. Jednak mieszkańcy miasta zauważyli, dokąd weszli obcy przybysze, i powiadomili króla Jerycha, że dwóch cudzoziemców przebywa w mieście. Wówczas król wysłał żołnierzy, by ich zatrzymali. Żołnierze z krzykiem zaczęli dobijać się do drzwi:
— Otwieraj, Rachabo! Pokaż, gdzie są ci cudzoziemcy! Mamy ich aresztować, bo to wrogowie, którzy przyszli na przeszpiegi.

Co zrobi Rachab?
Czy wpuści żołnierzy?
Czy powie:
— Bierzcie sobie tych ludzi, którzy są u mnie!

Nie, Rachab zrobiła coś zupełnie innego. Już wcześniej ukryła obu wysłańców na dachu, płaskim jak taras, pod stertą słomy, a teraz — będąc sprytną kobietą — tak powiedziała do żołnierzy:
— Szukacie cudzoziemców? Ależ oni już dawno sobie poszli! Pospieszcie się, jeżeli chcecie ich jeszcze dogonić! Gdy uspokojeni żołnierze odeszli, Rachab wdrapała się na dach i pozwoliła obu mężczyznom wyjść spod słomy. Dobrze wiedziała, kim są, bo słyszała już o ludzie izraelskim, że jest on ludem Bożym. Dlatego ukryła obu zwiadowców i była dla nich taka dobra.

— Bóg wkrótce odda w wasze ręce to miasto i kraj — powiedziała.

Słyszeliśmy tutaj, że On wszystko może, że przeprowadził was przez morze i przez pustynię. Dlatego wszyscy źli ludzie w tym kraju boją się ludu izraelskiego. Byłam dla was dobra, obiecacie mi więc, że i wy okażecie mi dobroć. Wkrótce wasz lud zdobędzie to miasto. Oszczędźcie wtedy mnie, a także moją matkę, ojca, siostry i braci.

Mężczyźni przyrzekli spełnić jej prośbę. Teraz jednak musieli spieszenie uciekać, bo bali się, że żołnierze powrócą.

Rachab weszła do domu i otworzyła okno wychodzące na pola. Potem wzięła grubego, czerwonego sznur i jeden jego koniec przywiązała do okna, drugi koniec zwiślał swobodnie poza linię murów i nie był widoczny w ciemnościach. Obaj zwiadowcy spuścili się po sznurze w dół i znaleźli się poza obrębem miasta. Domek Rachaby stał przecież na miejskich murach.

— Pamiętaj, żeby zawiesić ten czerwony sznur w oknie, gdy zobaczysz, że nadciągamy — powiedzieli na odchodnym. — Po tym nasi ludzie poznają, że tu mieszkasz. Pilnuj jednak, by twoi rodzice, bracia i siostry byli w tym domu. Zapowiemy bowiem naszemu ludowi: — Uważajcie na okno, z którego zwiśla czerwony sznur. Nikomu w tym domu nie może się stać nic złego!

Obaj mężczyźni ześlizgnęli się po sznurze na ziemię i wkrótce zniknęli w górach. W kilka dni później cali i zdrowi stanęli przed Jozuem.

Bóg ich ocalił.

To On sprawił, że obca kobieta przyszła im z pomocą.

JERYCHO

Czy pamiętasz tych dwóch zwiadowców, którzy potajemnie weszli do Jerycha i wszystkiemu się przyglądali? Czy przypominasz sobie, jak żołnierze chcieli ich zaaresztować, ale pewna miła kobieta przyszła im z pomocą?

Ta kobieta miała na imię Rachab. To ona uwiązała u swego okna czerwony sznur, po którym obaj zwiadowcy spuścili się na dół. Ten sam czerwony sznur miała zawiesić w oknie, gdy lud izraelski będzie odbierał Jerycho jego złym mieszkańcom.

Lud izraelski nadciągnął pod Jerycho. Mieszkańcy miasta widząc, że nadchodzi, pozamykali bramy i weszli na mury, gotowi do walki.

Co teraz uczyni lud izraelski? Czy spróbuje rozwalić mury młotami? Czy grubymi drągami będzie usiłował wyważyć bramę?

Nie, to niemożliwe! Mury są zbyt grube, a brama zbyt solidna.

Izraelici uczynią coś całkiem innego.

Całym tłumem obeszlili miasto dookoła. Nic więcej, tylko tyle! Potem odeszli.

Następnego dnia powrócili i znów obeszlili miasto dookoła. Trzeciego dnia — to samo, czwartego i piątego także. Szóstego dnia znów zrobili to samo. Źli mieszkańcy Jerycha, nie mając pojęcia, co to wszystko może znaczyć, szydzili:

— Co ci głupi Izraelici sobie myślą? Czy wyobrażają sobie, że w ten sposób zdobędą miasto? Zabawne metody! Taką drogą na pewno tu się nie dostaną!

Jozue czynił jednak tak, jak mu Pan Bóg rozkazał.

A gdy nadszedł dzień siódmy, cały lud izraelski ruszył znowu. Tego dnia nie ograniczył się do jednego okrążenia, lecz obchodził miasto kilkakrotnie — raz, drugi, trzeci, i znowu od nowa. W ten sposób okrążył miasto aż siedem razy z rzędu!

Potem Izraelici stanęli.

I wtedy, wszyscy razem, zaczęli śpiewać i wydawać okrzyki radości, jak gdyby miasto już zostało zdobyte.

Tak też w istocie było!

Wyobraź sobie, że grube mury zachwiały się i zarysowały, aż nagle runęły!!!

Lud izraelski bez trudu wkroczył do miasta, gdzie nie ocalał ani jeden ze złych mieszkańców.

Kawałek murów jednak przetrwał.

Bóg to sprawił.

Na tej części murów stał pewien domek.

Czy wiesz, co zwisało z jego okna? — Gruby, czerwony sznur

To był dom Rachaby. Obaj zwiadowcy, którym ona kiedyś pomogła, weszli teraz do jej domu i zabrali ją wraz z rodzicami, braćmi i siostrami w miejsce bezpieczne.

Od tej pory Rachab należała do ludu izraelskiego.

Potem Izraelici ruszyli dalej. Wypędzali złych ludzi i zdobywali następne miasta.

W końcu opanowali cały ten piękny kraj.

Zaczęli tu budować domy, uprawiać pola, wypasać bydło i owce na bujnych łąkach.

Teraz niczego im nie brakowało. Już nie cierpieli pragnienia, bo mieli wody i mleka pod dostatkiem.

Nie musieli jeść manny, bo zamiast niej mieli chleb z mąki i wspaniałe owoce tej ziemi. Mieli również dużo miodu. O, jak dobrze im było w tej ziemi obiecanej!

Jozue rzekł do ludu:

— Zawsze pamiętajcie, że to Bóg dał wam ten kraj. Żli ludzie, mieszkający przed nami w Kanaanie, czcili bożki. Wam nie wolno tego czynić! Wy macie się modlić tylko do Boga, Jego słuchać i kochać z całego serca! Czy obiecujecie, że będziecie tak postępowali?

— Oczywiście, że chcemy tak postępować! Pan Bóg jest naszym jedynym Bogiem! — odrzekł lud. Oby nigdy o tym nie zapomnieli! Wtedy będziecie szczęśliwi.

GEDEON

Było lato.

Zboże dojrzało.

Wszędzie na polach, w całej ziemi kananejskiej widać było ludzi pracujących przy żniwach. Gdy zbiorą zboże, wymłóć ją, a z otrzymanego ziarna zrobią mąkę. Potem upieką z niej chleb, smaczny chleb z własnych pól.

Ludzie jednak nie cieszyli się, że mają tyle zboża. Okazywali niepokój i spoglądali z lękiem. Martwili się, że pewnie znowu nie uda im się zemleć ziarna na mąkę, że znowu zabraknie chleba! Co roku bowiem w czasie żniw, gdy tylko zboże dojrzało, zaraz zjawiali się złodzieje i wszystko zabierali. A ludzie cierpieli głód. Dlatego z takim niepokojem rozglądali się i pytali:

— Czy ich aby już nie widać? Na pewno znowu przyjdą? Ci rabusie nachodzą nas już od siedmiu lat! Są silniejsi, więc nie możemy się przed nimi obronić. Komu uda się wreszcie przegonić raz na zawsze tych wstrętnych złodziei?

Pośród tych ludzi żył pewien młody człowiek.

Nazywał się Gedeon.

I on też pracował przy żniwach.

Teraz był sam, pod drzewem, tuż obok wielkiego klepiska. Na klepisku układał zżęte zboże, potem tłukł je wielkim kijem, tak aby ziarno wypadło z kłosów. Pracował w pośpiechu. Wymłócone ziarno chował zaraz do worka, aby ukryć je w skalnej pieczarze, gdzie złodzieje go nie znajdą. Dzięki temu ocali trochę zboża na mąkę, z której zimą upieczą się chleb.

Gedeon również był bardzo smutny.

— Jakże nieszczęśliwy jest mój lud — rozmyślał. — Sam wprawdzie zawinił, bo nie chciał kochać Pana Boga, oddalił się od Niego i zaczął czcić bożki, tak jak ci źli ludzie, którzy tu przedtem mieszkali... Teraz co roku napadają na nas ci wstrętnei złodzieje! Pewno Bóg ich zsyła za karę. Lud żałuje teraz za swoje grzechy, znów modli się i błaga Boga: — Panie, ratuj nas! Przepędź tych rabusiów! Bóg jednak nie słucha. Pewnie już nigdy nie zechce wysłuchać ludu izraelskiego, pewnie już wcale nie chce go znać! Tak rozmyślał Gedeon, będąc zupełnie sam pod drzewem.

W pewnej jednak chwili przestraszył się wyczuwając czyjąś obecność. Ktoś tu był oprócz niego, chociaż nikogo nadchodzącego nie widział. Pod drzewem, na kamieniu siedział jakiś człowiek. Spoglądał z uśmiechem na Gedeona i pozdrowił go.

Kto to?

To anioł wysłany przez Boga z wiadomością, że błagania ludu zostały wysłuchane.

Anioł odezwał się:

— Gedeonie, gdy znów przybędą złodzieje, ty ich stąd przepędzisz! Gedeon przeląkł się tych słów i zawołał:

— Ja? Ależ ja nie potrafię! Jestem za młody, a oni są tacy silni!

Anioł odpowiedział jednak:

— Dasz radę, Gedeonie, ponieważ Pan Bóg ci pomoże!

Usłyszawszy taką odpowiedź, Gedeon bardzo się ucieszył. Skoro Pan Bóg chce mu dopomóc, może się niczego nie lękać. Zwycięży na pewno! Wówczas anioł opuścił go.

Niedługo potem zjawili się złodzieje. Przybyli na wielkich, szybko mknących wielbłądach i uzbrojeni byli w długie lance, którymi atakowali. Wystraszeni ludzie spieszenie ukryli się w górach. Pozostał tylko Gedeon. Chwycił za trąbę i zadął. Głos trąby rozległ się w całej krainie i zaraz przybywać zaczęli mężczyźni na pomoc. Zebrała się ich wielka gromada, cała armia ludzi.

Nie była to jednak armia zdolna przepędzić rabusiów. Gedeon dobrze o tym wiedział.

Jedynie Pan Bóg mógł ich usunąć!

— Czy Pan Bóg na pewno zechce mi pomóc? Chciałbym wiedzieć to z całą pewnością. Chciałbym się upewnić — myślał Gedeon.

Wziął owczą skórę, pod którą sypiał, położył ją na trawie i rzekł:

— Panie Boże, każdego ranka trawa jest mokra od rosy. Jeżeli jednak jutro rano trawa będzie sucha, a ta skóra mokra, będę uważał to za znak, że mi dopomożesz!

Zrobiwszy to Gedeon poszedł spać. Następnego rana stało się tak, jak prosił: trawa była sucha, a skóra owcza zupełnie mokra. Gedeon wycisnął z niej pełne naczynie wody. Wówczas zrozumiał, że Bóg dał mu odpowiedź. Chciał jednak upewnić się raz jeszcze. Położył skórę na trawie i rzekł:

— Tym razem, proszę Cię, Panie, uczyn tak, aby jutro rano trawa była mokra, a skóra pozostała sucha. Zrobiwszy to poszedł spać.

Następnego dnia rano trawa była mokra od rosy, skóra zaś zupełnie sucha.

Wtedy Gedeon poczuł w sobie moc, bo zrozumiał, że Bóg naprawdę postanowił mu dopomóc. Zebrał więc liczną armię, z którą miał stanąć do walki z rabusiami.

Po co mu tak liczna armia, skoro sam Bóg chce mu pomagać?

— Gedeonie — rozkazał Bóg. — Odpraw część ludzi, bo jest ich zbyt wielu.

Posłuszny Gedeon zatrzymał przy sobie tylko spory oddział, spokojny, że to wystarczy.

Pan Bóg rzekł jednak:

— Jeszcze zbyt wielu ludzi zatrzymałeś.

Wtedy Gedeon został tylko z nielicznym oddziałem.

Czy uda im się wypędzić groźnych rabusiów?

Oczywiście!

Przecież Pan Bóg ma ich wspomagać.

Zapadła noc.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Wokół panowała cisza.

Włódzieje spali w swych namiotach. Wtedy Gedeon i jego ludzie bezszelestnie otoczyli obozowisko wroga. Każdy z ludzi Gedeona miał ze sobą trąbkę. Wszyscy równocześnie zatrąbili. W ciszy nocnej trąbienie rozniosło się potężnym echem!

Każdy z nich miał też ze sobą pusty dzban na wodę. Wszyscy równocześnie rozbili swe dzbany. W ciszy nocnej rozległ się przerażający łoskot. Każdy z ludzi potrząsał zapaloną pochodnią. Z płonących pochodni iskry sypały się na wszystkie strony. W ciemnościach nocy wyglądało to groźnie.

Naraz wszyscy krzyknęli równocześnie:

— Za Boga i za Gedeona! — i z wielkim impetem rzucili się na wrogów.

Rabusie wpadli w popłoch. Usłyszeli łoskot, krzyki i ujrzeli ogień w ciemnościach. Wydawało im się, że są w ognistym kręgu! Zawładnął nimi tak wielki strach, bo byli przekonani, że napastnicy są o wiele od nich liczniejsi.

W popłochu rozbiegli się na wszystkie strony, wpadali jedni na drugich i — w ciemnościach biorąc swoich za wrogów — zabijali się wzajemnie. Wkrótce ogarnęła ich taka panika, że zaczęli ratować się ucieczką. Gedeon ze swymi ludźmi ścigał ich dotąd, aż przegonił wszystkich z kraju.

O, teraz już wstrętni rabusie nie wrócą tu nigdy!

Lud izraelski miał powód do wielkiej radości?

Wszyscy przyszli dziękować Gedeonowi, lecz on powiedział:

— Dziękować należy nie mnie, lecz Panu Bogu. To On dał nam wolność i szczęście!

RUT

Żyła wśród ludu izraelskiego pewna kobieta, której na imię było Noemi. Wraz ze swym mężem i dwoma synami mieszkała w Betlejem, małym miasteczku w ziemi kananejskiej.

Mąż Noemi pracował całymi dniami w polu. Siał zboże, a gdy dojrzało, kosił je, potem młócił i przynosił żonie dorodne ziarno. Noemi męła je na mąkę i piekła chleb dla męża i swych chłopców.

Aż nadszedł taki rok, gdy zabrakło zboża. Mąż Noemi zasiał je jak zwykle, ono jednak z powodu suszy nie wzrosło. Teraz Noemi nie miała z czego robić mąki ani piec chleba.

Nie było co jeść!

Co tu robić? Sąsiedzi nie mogli jej pomóc, bo wszyscy ludzie w całym kraju cierpieli głód.

Wtedy Noemi, jej mąż i dwaj synowie udali się do kraju Moabitów, gdzie było dość chleba i nie dokuczał głód.

Długo Noemi mieszkała na obczyźnie. Nie była tam jednak szczęśliwa. Spotkały ją wielkie nieszczęścia. Najpierw zmarł jej mąż. Została sama z dwoma synami.

Synowie ożenili się z dziewczętami z obcego kraju. Jedna z nich nazywała się Rut, druga Orfa.

Niedługo potem obaj synowie zachorowali i pomarli.

Teraz Noemi nie miała już nikogo — ani męża, ani synów! Stała się biedną, samotną kobietą.

Biedna Noemi! Z rozpaczki postarzała się i całkiem osiwiiała.

— Dłużej tu nie zostanę — postanowiła. — Wróć do mego kraju. Tam znajdzie się dla mnie kawałek chleba.

I ruszyła Noemi w drogę do Betlejem. Odprowadzały ją obie synowe, Rut i Orfa.

Obie bardzo kochały Noemi, która była dla nich dobrą, kochającą matką i opowiadała im o Panu Bogu. Żal było młodym kobietom rozstawać się z nią, toteż wielki szmat drogi przebyły razem.

W końcu jednak Noemi zatrzymała się.

— Zawróćcie, moje córki! — rzekła.

— Byłyście bardzo dobre dla mnie. Niech wam Bóg błogosławi!

Orfa uściskała Noemi i z płaczem zawróciła.

Rut płakała także, ale została. Nie chciała wracać do ziemi moabskiej. Pokochała bowiem Noemi, a także pokochała Pana Boga i dlatego nie chciała żyć w kraju, gdzie nikt Go nie czcił. Wolała należeć do ludu Noemi, bo był on ludem Bożym.

Rut rzekła do Noemi:

— Nie opuszczę cię! Teraz twój lud będzie moim ludem, a Twój Bóg będzie moim Bogiem. Chcę już na zawsze pozostać z tobą. Nigdy cię, matko, nie opuszczę!

Noemi bardzo się ucieszyła, że Rut chce jej towarzyszyć.

Po długiej podróży przybyły do Betlejem.

Noemi odchodziła stąd jako młoda, szczęśliwa kobieta. Teraz wracała stara i smutna.

— Czyżby to była Noemi? — dziwili się ludzie. Tak się zestarzała, tak zbielały jej włosy, że nie można jej poznać.

Wszyscy rozmawiali o starej kobiecie, która po latach wróciła do kraju, i o młodej synowej, która nie chciała porzucić swej teściowej, Noemi.

Dawny dom Noemi stał jeszcze w Betlejem, więc w nim zamieszkały.

Było lato. Zboże dojrzywało i ludzie pracowali przy żniwach. Noemi nie miała zboża, bo nikt go dla niej nie zasiał.

Co miała począć? Potrzebowała ziarna na mąkę, żeby mieć z czego upiec chleb.

Wtedy Rut zapytała:

— Matko, czy pozwolisz, abym wyszła w pole i zbierała kłosa pozostawione przez żniwiarzy?

— To dobra myśl, córko! — zgodziła się Noemi.

Więc Rut poszła do żniwiarzy i zapytała:

— Czy mogę zbierać pozostawione przez was kłosa?

Chętnie jej na to pozwolono. Biedni ludzie zawsze tak robili. Rut zbierała kłosa przez cały ranek i zebrała bardzo dużo.

Żniwiarze pracowali u bogatego właściciela, który nazywał się Boaz.

W pewnej chwili właściciel przyszedł na pole, by dojrzeć roboty, i zobaczył młodą kobietę zbierającą kłosa.

— Kto to jest? — zapytał.

— To ta kobieta, która przywędrowała z ziemi moabskiej razem z Noemi — odpowiedzieli słudzy.

Boaz był rad, że Rut wybrała jego pole, bo słyszał o niej wiele dobrego. Podszedł do niej i powiedział:

— Możesz u mnie zbierać kłosa, jak długo zechcesz. Przychodź bez obawy. Moi słudzy będą dla ciebie dobrzy. Dadzą ci pić, ilekroć będziesz miała pragnienie. Nie chodź już na inne pola!

Rut bardzo się ucieszyła. Nisko skłoniła się przed człowiekiem, który okazał jej tyle dobroci, i zapytała:

— Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry?

— Dlatego, że ty byłaś dobra dla Noemi — odpowiedział Boaz.

Gdy nadeszło południe i żniwiarze zasiedli do jedzenia, Boaz rzekł do Rut:

— Chodź jeść z nami!

Poczęstował ją smacznym chlebem i winem gaszącym pragnienie.

Po posiłku Rut wróciła do pracy, a Boaz szepnął sługom:

— Starajcie się zostawiać dla niej jak najwięcej kłosów...

Rut miała teraz mnóstwo kłosów do zbierania. Pod wieczór wymłóciła je i z workiem pełnym ziarna wróciła do Noemi.

Stara kobieta powitała ją ogromnie ucieszona i zaskoczona.

— Gdzieżeś ty była, moje dziecko? — zapytała.

Rut wszystko jej opowiedziała. Następnego dnia rano udała się znowu na pole tamtego człowieka, który okazał jej tyle dobroci. Chodziła już tam codziennie, do końca żniw.

Kiedy zaś żniwa się skończyły, w Betlejem odbyła się wielka uroczystość: bogaty Boaz poślubił biedną Rut.

Po jakimś czasie Bóg obdarzył ich dzieckiem — ślicznym, maleńkim chłopczykiem.

Jakże Noemi była teraz szczęśliwa!

Wzięła dziecko na kolana, aby wszystkie sąsiadki mogły je podziwiać. Sąsiadki pytały:

— Czy już ci nie smutno?

— O, nie! — odpowiedziała Noemi.

— Zaznałam wprawdzie wiele smutku w moim życiu, ale teraz Bóg dał mi wiele radości!

SAMUEL

W pięknej ziemi kananejskiej mieszkała pewna kobieta, której było na imię Anna. Anna była zawsze bardzo smutna, bo chciała mieć dziecko, ale niestety, nie miała go.

W tym samym domu co Anna mieszkała inna kobieta. Ta stale jej dokuczała i powtarzała:

— Ty nie masz dziecka, a ja mam! Pan Bóg na pewno o tobie zapomniał. Nie kocha ciebie i dlatego nie masz dzieci!

To sprawiało Annie wielką przykrość. Myślała ciągle o tym, dlaczego Pan Bóg gniewa się na nią, i płakała ze zmartwienia.

Od swego męża dostawała wiele prezentów, ponieważ mąż bardzo ją kochał. Nie mógł jednak sprawić, aby czuła się szczęśliwa. To mógł uczynić tylko Pan Bóg.

Co roku Anna udawała się z mężem w podróż do świątyni w Sylo. Świątynia to taki kościół — dom Boży, gdzie ludzie składali Bogu ofiary i modlili się.

Tego roku Anna jak zwykle wybierała się z mężem do świątyni. Tamta druga kobieta bez przerwy jej dokuczała i Anna tak była załamana, że nie mogła nawet jeść.

— Opowiem Panu Bogu o wszystkich moich zmartwieniach! — postanowiła.

Kiedy znalazła się w świątyni, padła na kolana.

— O dobry Boże, wysłuchaj mnie! — prosiła. — Nie zapominaj o mnie! Spraw, abym miała dziecko, małego synka! Będę troszczyła się o niego, będę mu codziennie opowiadała o Tobie, a gdy urośnie, zostanie Twoim sługą. Obiecuję Ci to, Panie! Mówiła jeszcze wiele innych rzeczy i długo modliła się cichutko. Nie słyszał jej nikt poza Panem Bogiem. Przy drzwiach świątyni siedział pewien starzec, odziany w błękitną szatę. Był to stary kapłan. Nazywał się Heli. Był zwierzchnikiem wszystkich kapłanów i zajmował się świątynią. Gdy zobaczył Annę, pomyślał:

— Dziwnie zachowuje się ta kobieta. Padła na ziemię, porusza wargami, ale głosu nie wydaje. Czyżby była szalona? A może jest pijana?

Podszedł do Anny i zapytał surowo:

— Jak ci nie wstyd przychodzić w takim stanie do domu Bożego!

Anna spojrzała na niego i łzy napłynęły jej do oczu.

— Ja wcale nie jestem pijana! — odrzekła. — Mam wielkie zmartwienie i chciałam wypowiedzieć moje smutki przed Bogiem. Modliłam się do Niego!

Wtedy Heli pożałował, że tak surowo odniósł się do niej, i powiedział:

— Odejdź w pokoju, Bóg wysłucha twej modlitwy.

I rzeczywiście Pan Bóg jej wysłuchał. W rok później Annie urodziło się dziecko. Dała mu na imię Samuel, co znaczy: „wyproszony u Boga”.

Tego roku nie poszła do świątyni w Sylo. Została w domu, aby zajmować się synkiem.

W kilka lat później wybrała się tam znowu, razem z mężem. Czy domyślasz się, kto jeszcze wędrował obok nich, ubrany w piękną białą szatę? Mały Samuel!

Był już sporym chłopczykiem i nie musiał przebywać stale z matką. Szedł teraz do świątyni, aby zostać sługą Bożym. Wszyscy troje szli do Heliego.

Heli, jak przed laty, siedział u wrót świątyni. Postarzał się jeszcze bardziej i włosy mu całkiem posiwiały. Nie poznał Anny. Dopiero ona rzekła:

— Jestem tą kobietą, która modliła się o dziecko. Oto syn, którym Pan Bóg mnie obdarzył. Obiecałam Bogu, że chłopiec zostanie Jego sługą. Czy może teraz tu zostać i pomagać ci w służbie?

Heli bardzo chętnie na to przystał.

Anna wróciła do domu. Nie była jednak smutna. Wręcz przeciwnie — bardzo szczęśliwa, że jej chłopiec przebywa w domu Bożym. Z radości śpiewała pieśni.

Co roku Anna i jej mąż szli do świątyni i tam spotykali swego kochanego Samuela. Za każdym razem przynosili mu nową, piękną szatę, co roku większą.

Samuel, szczęśliwy, że może służyć Bogu, pomagał, jak tylko umiał, Heliemu. Sypiał w małym pokoiku, przylegającym do pokoju Heliego.

Stary kapłan miał dwóch synów. Nazywali się Hofni i Finez i też byli kapłanami. Składali w świątyni ofiary. Powinni byli być dobrymi sługami Boga, lecz byli źli: kradli, kłamali i robili wiele innych brzydkich rzeczy.

Heli wiedział o tym, ale nie umiał być dla nich surowy. Powtarzał tylko:

— Chłopcy, chłopcy, tak nie wolno postępować!

Przez to i on nie był takim jak trzeba sługą Bożym.

Samuel, choć wzrastał wśród tych niedobrych ludzi, nie tylko nie przestał kochać Pana Boga, ale kochał Go coraz mocniej. Był prawdziwym sługą Bożym.

Pewnej nocy obudził się i usłyszał, że ktoś go woła:

— Samuelu! Samuelu!

Wstał więc i poszedł do pokoju Heliego.

— Wołałeś mnie, więc przychodzę — rzekł.

Lecz Heli odparł:

— Wcale cię nie wołałem. Idź spać.

— Widocznie się pomyliłem — pomyślał Samuel i wrócił do łóżka.

Lecz oto znowu usłyszał głos:

— Samuelu! Samuelu!

Tym razem był pewny, że się nie myli. Poszedł do Heliego i rzekł:

— Oto jestem!

— Ależ skąd, mój chłopcze — odparł Heli — wcale cię nie wołałem. Wracaj do łóżka!

Samuel nic z tego nie rozumiał, ale posłusznie się położył. I wtedy znowu usłyszał ten głos:

— Samuelu! Samuelu!

Pobiegł więc do Helięgo i rzekł:

— Tym razem jestem pewien, że to ty mnie wołałaś.

Wówczas Heli zrozumiał, skąd pochodzi głos.

— To Bóg cię woła — rzekł. — Wracaj do siebie, a gdy znowu postyszysz Jego głos, powiedz: — Mów, Panie, Twój sługa słuca.

Samuel wrócił do swego pokoiku i położył się.

Leżał bez ruchu i nasłuchiwał. Serce waliło mu jak młotem. Czyżby Bóg naprawdę zechciał do niego przemówić? To coś cudownego! To najwspanialsza rzecz, jaka mogła go spotkać! Wtem postyszał:

— Samuelu! Samuelu!

Był to głos Boży.

Samuel wyszeptał:

— Mów, Panie, Twój sługa słuca.

Wtedy Pan Bóg przemówił do młodego Samuela. Jakże cudownie było słucać Jego głosu, chociaż to, co mówił, było smutne. Bóg rzekł, że widzi postępowanie synów Helięgo. Obydwu już upominał, a mimo to ani oni, ani Heli nie poprawili się. Zostaną więc ukarani za nieposłuszeństwo. Hofni i Finez zginą w jednym dniu, a Heli poniesie karę, na jaką zasłużył.

Potem wszystko ucichło. Głos Boży umilkł.

Jednak Samuel już nie zasnął tej nocy.

Rano wstał, by otworzyć drzwi świątyni. To należało do jego obowiązków. Wtedy Heli przywołał go do siebie i zapytał:

— Co ci powiedział Bóg?

Czy Samuel musi mu to powtórzyć?

Tak, chociaż to takie smutne.

Heli westchnął i rzekł:

— Niech się dzieje wola Boża.

Mijały lata. Gdy nadszedł czas kary, Samuel był już dorosły. W kraju wybuchła wojna i lud izraelski stanął do walki. Również synowie Helięgo musieli wziąć udział w wojnie i obaj zginęli z ręki Filistynów. Na wieść o tym Heli tak bardzo się przejął, że spadł ze stołka, na którym siedział, i umarł.

Wszyscy trzej źle służyli Bogu: ponieśli karę za swoje grzechy.

Kto został teraz kapłanem, sługą Bożym?

Samuel!

On był dobrym sługą i prawdziwie kochał Pana Boga. Bóg często do niego przemawiał, a on zawsze wiernie wypełniał wszystkie Boże rozkazy.

DAWID

Dawid był młodym pasterzem. Całymi dniami pasał owce swego ojca. Rankiem, gdy tylko słońce wstało, otwierał drzwi od zagrody, gdzie spały owce, i wołał:

— Wstawajcie! Pójdziemy na pastwisko. Tam najecie się do syta soczystej trawy!

Wyprowadzał owce na łąki i przez dzień z nimi przebywał. One szczypały trawę, a on siedział sobie i pilnował ich. Był pasterzem, więc czuwał, by miały pod dostatkiem trawy, a gdy chciało im się pić, prowadził je do wodopoju. Pod jego opieką owcom niczego nie brakowało. Strzegł je także przed dzikimi zwierzętami, żeby żadna hiena, wąż lub inna bestia na nie nie napadła. Gdy zauważył zbliżającego się napastnika, odganiał go kamieniami lub grubym kijem.

Dawid spędzał całe dni samotnie, tylko z owcami. W oddali widział zabudowania Betlejem. Tam mieszkali ojciec i bracia. Tu, na rozległych pastwiskach, był zupełnie sam. Jednak wcale się z tego powodu nie martwił. Był nawet zadowolony. Często przygrywał sobie na harfie, instrumencie zrobionym z wygiętego kija i wielu strun. Grał bardzo pięknie i śpiewał, a śpiew jego rozchodził się daleko po górach Judei.

Czy wiesz, dlaczego Dawid był szczęśliwy?

Dlatego, że nigdy nie czuł się zupełnie sam wśród łąk. Ktoś zawsze był blisko niego, w dzień i w nocy. Czy wiesz kto?

Pan Bóg.

Pan Bóg jest wszędzie — i w mieście, i na wsi. Opiekuje się wszystkimi ludźmi, widzi nas zawsze i wszędzie. Dawid wiedział o tym.

— Ja opiekuję się owcami — myślał — a mną opiekuje się Pan Bóg. On jest moim pasterzem, a ja jestem jego owieczką.

Kiedy tak rozmyślał, czuł, jak napętnia go wielka radość. I śpiewał piękną pieśń, psalm, który sam ułożył: „Pan jest pasterzem moim. Niczego mi nie braknie...”

Tu, wśród łąk, śpiewu tego słuchały tylko owce, lecz w niebie słyszał go sam Bóg.

Pewnego dnia wydarzyło się coś okropnego. Gdy Dawid był sam z owcami w górach Judei, nagle pojawił się straszny lew — ogromne zwierzę o ostrych zębach i pazurach. Zaczaił się cicho, a potem z przeraźliwym rykiem zaatakował owce. Pochwycił jedną z nich i już włókł ją za sobą, żeby pożreć.

Ale Dawid skoczył w jego stronę. Znajdował się w pobliżu i wcale nie zastanawiając się nad groźącym mu niebezpieczeństwem pospieszył owieczce na pomoc. Nie myślał o strasznych pazurach ani o ostrych lwich zębach.

Myślał tylko:

— Jestem pasterzem i muszę ratować moją owcę!

I jeszcze tak myślał:

— Pan Bóg jest moim pasterzem, więc mi dopomoże!

Dlatego nie czuł lęku.

Dopadł lwa i zaczął go okładać kijem tak długo, aż ten puścił owcę. Lew chciał teraz rozszarpać Dawida, lecz chłopiec rzucił się na straszne zwierzę i zabił je. Martwy lew padł na ziemię. Już nie skrzywdzi nikogo! Dawid wziął na ręce owieczkę i odniósł ją do stada. Była bardzo poraniona, więc obmył ją z krwi i opatrzył rany. Pielęgnował ją tak długo, aż rany całkowicie się wygoiły i owieczka wyzdrowiała.

Dawid był dobrym pasterzem. A jego dobrym pasterzem był Pan Bóg. Dawid troszczył się o owce, Bóg troszczył się o niego.

Aż kiedyś przybył do Dawida sługa jego ojca Isaja z poleceniem, aby zaraz wracał do domu. Ktoś bowiem przyszedł do nich w odwiedziny. Wszyscy bracia Dawida już się zebrali, a było ich siedmiu. Dawid był najmłodszy w rodzinie.

Czy domyślasz się, kto do nich przybył?

Samuel!

Teraz był już starcem i nosił długą, siwą brodę. Do Isaja wysłał go Pan Bóg, jako swego wiernego sługę.

Samuel przyniósł dziwną i jednocześnie dobrą wiadomość!

Bóg kazał mu powiedzieć, że jeden z synów Isaja zostanie królem ludu izraelskiego. Nie nastąpi to jednak natychmiast, lecz dopiero po pewnym czasie.

Teraz panuje inny król, Saul, który nie jest dobrym królem. Nie chce być posłuszny Bogu. Dlatego ktoś musi zająć jego miejsce. Tym przyszłym zostanie jeden z synów Isaja.

Który?

Tego Samuel nie wiedział.
Bóg sam go wskaże.

Dlatego wszyscy synowie Isaja musieli kolejno pokazać się Samuelowi. Najpierw zjawił się najstarszy.
Był wysoki i silny.

Samuel pomyślał:

— To z pewnością ten. Będzie wspaniałym królem!

Pan Bóg rzekł jednak:

— Nie, Samuelu, to nie on. Nie szukam rosnącego i silnego króla. Patrze na jego serce.

Wtedy Samuel spuścił głowę i rzekł:

— Nie, to nie jego Bóg wybrał.

Potem przyszedł następny syn, lecz Samuel znowu powiedział:

— Nie jego wybrał Bóg.

Wszyscy synowie, którzy byli w domu, stawali kolejno przed Samuelem, lecz za każdym razem starzec powtarzał:

— To nie o niego chodzi.

Gdy już odszedł ostatni, Samuel zapytał Isaja:

— Czy to już wszyscy twoi synowie?

— Brak tu najmłodszego — odrzekł Isaj. — Pasie teraz owce na pastwisku!

— Poślij zaraz po niego — polecił Samuel.

Oto dlaczego wezwano Dawida do domu, gdzie czekał na niego Samuel. Kiedy ojciec wprowadził Dawida, Pan Bóg rzekł do Samuela:

— Wstań, Samuelu, oto ten, którego wybrałem. On zostanie królem mego ludu, bo kocha mnie z całego serca. Wówczas Samuel wyjął zza poły płaszcz róg. Był to róg specjalny, napełniony pięknie pachnącą oliwą. Samuel wylał tę oliwę na głowę Dawida, jak to czyniono zawsze, gdy namaszczano kogoś na króla. Potem rzekł:

— To mówi Pan: — Oto wyznaczam króla Izraelowi. Nie nastąpi to od razu, lecz przyjdzie taki dzień, gdy Dawid zacznie panowanie, gdyż serce jego pełne jest miłości do Boga.

Co za dziwna nowina! Jednak Dawid, chociaż był tylko biednym pasterzem, od razu uwierzył słowom Samuela. Zawierały one bowiem Bożą obietnicę, a Bóg swych obietnic zawsze dotrzymuje.

Dawid bardzo się cieszył. Jego ojciec również.

Nie opowiadali jednak o tym, co się stało.

Nikomu nic nie powiedzieli.

Gdyby bowiem dowiedział się o tym król Saul, wpadłby w straszliwy gniew.

DAWID UDAJE SIĘ NA DWÓR KRÓLEWSKI

Król Saul mieszkał w pałacu.

Siedział na wspaniałym, złoconym fotelu. To był jego tron.

Ubrany był w piękne szaty, a na jego głowie lśniła złota korona. Otaczał go tłum sług, którym mógł rozkazywać. Król Saul był bardzo bogaty i potężny. Mógł robić wszystko co zechciał. A mimo to był zły i ciągle wpadał w gniew.

Samuel, stary sługa Boży, powiedział mu już, że ktoś inny zostanie królem, gdyż Saul nie jest dobrym władcą. Nie kocha Boga i nie jest Mu posłuszny.

— Ktoś inny zajmie twoje miejsce — powiedział Samuel. — Wybrał go Bóg. Będzie to człowiek kochający Boga z całego serca. Zamieszka w pałacu, zasiądzie na tronie i zajmie twoje miejsce, ponieważ ty nie chciałeś być Bogu posłuszny.

Samuel nie powiedział jednak, kim będzie nowy król.

Tego Saul się nie dowiedział.

Król wiedział jednak, że wszystko musi się potoczyć zgodnie ze słowami Samuela, bo co Pan Bóg zapowiada, zawsze się spełnia.

Saul myślał teraz bez przerwy o tym, że nie będzie już królem. I stawał się z dnia na dzień gorszy, i coraz częściej wpadał w gniew.

— Nie chcę, by ktoś inny zajął moje miejsce! Na zawsze pozostanę królem, a po mnie tron obejmie mój syn, Jonatan. Nie dopuszczę, żeby panował tu ktoś inny! — powtarzał sobie w myślach.

Równocześnie jednak zastanawiał się, kim może być tamten wybrany...

Saul pałał nienawiścią do swego następcy i pragnął go zabić. Im dłużej o tym myślał, tym stawał się gorszy. Często wpadał w taką furię, że słudzy drżeli ze strachu. Miewał istne napady wściekłości. Krzyczał wtedy, tupał nogami i chciał wszystko tłuc i niszczyć.

Dworzanom zrobiło się żal króla:

— Nasz król jest chory — mówili. — Dusza jego jest chora, ponieważ Bóg go opuścił. Teraz złość mieszka w jego sercu.

Bardzo się tym martwili.

— Jak byśmy mogli pomóc naszemu królowi? — zaczęli się zastanawiać.

— Co by tu zrobić, aby poczuł się lepiej?

Długo nad tym rozmyślali.

W końcu przyszli do niego i rzekli:

— Panie, każ przywołać do siebie jakiegoś człowieka, który umie pięknie grać. Muzyka cię uspokoi i na pewno uleczy.

— Dobrze — zgodził się Saul. — Przywołajcie takiego człowieka.

Wtedy jeden ze sług odezwał się:

— Znam pasterza, który pięknie gra na harfie. To syn Isaja z Betlejem. Jego muzyki słucha się z rozkoszą!

— Dobrze — powtórzył król — przyprowadźcie go tutaj!

Słudzy natychmiast udali się do Betlejem po Dawida i sprowadzili go do pałacu.

Gdy zjawił się Dawid, król akurat był w bardzo złym nastroju.

Miał straszny atak — biegał po komnacie tupiąc nogami i wydając okrzyki wściekłości.

Dawid bezszelestnie wśliznął się z harfą do komnaty. Usiadł w kącie i zaczął grać jedną ze swych przepięknych pieśni, które śpiewał w górach Judei, gdy pasał owce.

Była to cudowna muzyka. Można rzec, że rozbrzmiewały w niej złote tony. Brzmiała jak najpiękniejsze złote dzwoneczki.

Nikt nie mógł pozostać na nią nieczuły.

Wszelki smutek i złość opuszczały słuchaczy.

Król Saul postyszał muzykę. Uspokoił się. Przestał krzyżeć i tupać nogami. W skupieniu przysłuchiwał się kojącym dźwiękom. Zapomniał o swym smutku i złości. Zapomniał o człowieku, który ma zostać królem, i od razu poczuł się lepiej. Piękna muzyka go uleczyła.

— Dobry chłopiec z tego Dawida — myślał patrząc na niego. — Cieszę się, że jest tutaj. Zostanie już ze mną na zawsze.

Król pokochał Dawida, nie przypuszczając wcale, że to on właśnie będzie jego następcą.

Co by to było, gdyby znał prawdę...

DAWID I OLBRZYM GOLIAT

W kraju wybuchła wojna.

Napadli wrogowie, aby zrabować Izraelitom owce i zboże.

Byli to Filistyni.

Król Saul zebrał wojsko i ruszył na wojnę z Filistynami.

Zatrzymał się blisko nich, na wzgórzu. Stali teraz jedni naprzeciw drugim. Po jednej stronie Saul ze swoim wojskiem, po drugiej Filistyni.

Jak sądzisz, czy uda się Saulowi i jego ludziom zwyciężyć Filistynów? Nie!

Izraelici bali się ruszyć do walki, ponieważ nieprzyjaciel był o wiele liczniejszy, silny i sam jego widok napawał przerażeniem.

Wśród Filistynów znajdował się jeden człowiek o wiele silniejszy od innych. Był prawie taki wielki jak drzewo.

Był olbrzymem. Nazywał się Goliat. Miał przerażające uzbrojenie. W ręku trzymał kij zakończony żelaznym szpikulcem. To była jego lanca. U pasa zwisał mu wielki nóż, przywiązany mocnym rzemieniem. To był jego miecz! Ubrany był w pancerz łuskowy, na głowie miał hełm ze spiżu, wspaniale błyszczący w słońcu. Zaraz pierwszego dnia olbrzym wystąpił z szeregów i krzyknął do Izraelitów:

— Dalej, stawajcie do walki! Niech wystąpi ten, kto ośmieli się walczyć ze mną! Jestem od was wszystkich silniejszy! No, który tam odważy się stawić mi czoła?

Goliat śmiał się głośno i bluźnił. obrażał Saula i jego wojsko. Drwił sobie z nich, drwił nawet z Pana Boga.

Codziennie Goliat powtarzał swe wyzwanie, nikt jednak nie miał odwagi z nim walczyć: ani król Saul, ani jego syn, książę Jonatan.

Byli tam również trzej bracia Dawida, silni i odważni żołnierze. Lecz i oni się bali.

Wszyscy drżeli ze strachu na sam widok olbrzyma!

A Dawid?

Dawida tam nie było. Przebywał znowu w domu swego ojca. Nie grał teraz na harfie królowi, bo nie miał on czasu na słuchanie muzyki. Dawid wrócił do dawnych pasterskich zajęć. Znów pasał owce na pastwiskach betlejemskich.

Pewnego wieczoru ojciec kazał go przywołać i tak rzekł:

— Dawidzie, udaj się do swych braci, którzy są żołnierzami w armii Saula. Zobacz, co się z nimi dzieje, zanieś im żywność — trochę chleba i sera. Dawid chętnie się zgodził. Miał wielką ochotę zobaczyć bitwę.

Nazajutrz o świcie wyruszył w drogę. Po długiej wędrówce dotarł wreszcie do obozowiska króla Saula. Zjawił się właśnie w tej samej chwili, gdy olbrzym ukazał się na wzgórzu po drugiej stronie doliny. Goliat zatrzymał się i zaczął krzyżeć jak zwykle. Drwił z Izraelitów i bluźnił. Usłyszawszy to Dawid bardzo się oburzył. Jakże taki poganin ośmiela się obrażać samego króla! Jak śmie obrażać Boga, którego Dawid kocha!

W Dawidzie zawrzała gniew. Czy nie znajdzie się nikt, kto by ukarał tego niegodziwca?

Nie było chętnego. Nikt nie śmiał stanąć do walki z olbrzymem.

— A więc ja będę z nim walczył — postanowił Dawid.

— Ty byś się ośmielił ukarać Goliata? — pytali z niedowierzaniem żołnierze.

— Gotów byłbyś stanąć do walki z olbrzymem? Szczęśliwy będziesz, jeżeli zwyciężysz! Król obiecał zwycięzcy nagrodę i swoją córkę za żonę! Zaprowadzono Dawida przed króla. — Ty miałbyś walczyć

z Goliatem? Przecież to niemożliwe! Jesteś zaledwie chłopcem, pasterzem, a to wytrawny i doświadczony wojownik, znacznie od ciebie silniejszy. Nie mogę się na to zgodzić — rzekł król.

Lecz Dawid zaczął go przekonywać:

— Pozwól mi, panie, wiem bowiem, że Bóg mi pomoże! Kiedyś w górach walczyłem z lwem, który napadł na moje owce. Zabiłem go! Tak samo teraz zwyciężę tego niegodziwca. Bóg, który mnie wyrwał z paszczy lwa, ocali mnie teraz przed olbrzymem!

Wtedy król wyraził zgodę.

Kazał przynieść swój pancerz i wdziąć go na Dawida. Potem dał mu swój hełm i miecz. Chciał uzbroić Dawida jak żołnierza.

Lecz królewska zbroja i hełm okazały się zbyt ciężkie dla chłopca. Dawid zwrócił je królowi, także miecz, z którym nie wiedział, co począć. To wszystko było mu niepotrzebne. Bóg czuwał nad nim!

Dawid wziął ze sobą tylko kij pasterski i procę, z której strzelało się kamieniami. Wyszukał pięć gładkich kamieni i schował je do torby. Potem ruszył prosto przed siebie, wprost na olbrzyma.

Gdy tylko Goliat go dojrzał, wybuchnął gromkim śmiechem i zaczął głośno drwić:

— Patrzcie, patrzcie! A któż to idzie? To ci rycerz dopiero! Nawet miecza nie ma, tylko idzie na mnie z kijem, jak na psa! Co ty sobie wyobrażasz, że kim ja jestem? Zbliź no się tylko, a zabiję cię i rzucę dzikim bestiom na pożarcie!

Mówił tak, bo był bardzo zły. Słuchając jego słów, wszyscy drżeli. Lecz Dawid nie czuł lęku, wiedział, że Bóg jest przy nim. Toteż powiedział do Goliata:

— Ty idziesz na mnie z mieczem, oszczepem i tarczą, ja idę w imieniu Pana Boga, któremu urągałeś. I On da mi zwycięstwo nad tobą!

Założył kamień do procy i wystrzelił, zanim Goliat zdążył wyciągnąć miecz z pochwy. Kamień ze świstem przeciął powietrze i ugodził olbrzyma prosto w czoło.

Goliat, ten olbrzym potężny i silny, zachwiał się i upadł twarzą ku ziemi. Leży teraz wyciągnięty, nieruchomy. Dawid podbiega do niego, wyciąga mu miecz z pochwy i ucina olbrzymowi głowę jego własnym mieczem. Goliat zginął. Już nie może drwić z Pana Boga!

Filistyni, towarzysze Goliata, wpadli w trwogę, a żołnierze Saula tryumfowali i wznosili okrzyki radości. Strach ich opuścił, przepętniała ich teraz odwaga, gdyż widzieli, jak Bóg dopomógł Dawidowi. Stanęli natychmiast do walki z wrogami.

Wojna się skończyła.

Dawid wrócił do króla, który rzekł do niego:

— Zostań ze mną na zawsze. Nie będziesz więcej pasał owiec. Ponieważ okazałeś się tak dzielny, mianuję cię wodzem całej armii. Gdyby nieprzyjaciel wrócił, ty go odpędzisz.

Księżę Jonatan, syn Saula, był tam także. Pokochał on Dawida i ofiarował mu piękne prezenty: swój cenny płaszcz, miecz i wspaniały pas.

Jonatan rzekł do Dawida:

— Czy chcesz, abyśmy na zawsze zostali przyjaciółmi?

Dawid chciał tego bardzo, bo i on pokochał Jonatana.

To był wspaniały dzień!

Dawid został dowódcą armii i przyjacielem księcia Jonatana.

Przed wszystkim jednak był przyjacielem Boga.

I to było najważniejsze.

DAWID MUSI SIĘ KRYĆ

Tak oto Dawid przestał być pasterzem.

Został dowódcą i stał teraz na czele całej armii żołnierzy. Kiedy wrogowie napadali na kraj, walczył z nimi i zawsze zwyciężał, bo Bóg mu pomagał.

Zamieszkał w pięknym domu tuż obok pałacu. Często bywał zapraszany do króla i jadał z nimi posiłki. Ożenił się z córką królewską, a syn króla został jego najlepszym przyjacielem.

Był teraz bardzo ważną osobistością, a spotykający go ludzie nisko mu się kłaniali. Mówili:

— Dawid jest bardzo potężny i taki odważny, najpotężniejszy i najodważniejszy ze wszystkich.

On sam jednak nie stał się ani dumny, ani wyniosły. Jak zawsze, kochał swojego Pana, a o sobie tak myślał:

— Przecież ja wcale nie jestem taki potężny. Sam niczego wielkiego nie potrafię dokonać, bo tylko dzięki pomocy Boga wszystko mi się udaje.

Pewnego dnia znowu wybuchła wojna, a Dawid i jego żołnierze przepędzili wszystkich wrogów.

Cały kraj świętował zwycięstwo. Gdy Dawid i jego żołnierze wracali z wyprawy, witali ich ludzie ustawieni wzdłuż drogi i wznosili okrzyki na jego cześć. Kobiety i dziewczęta utworzyły wielki orszak. Szczęśliwe, że wojna pomyślnie się zakończyła, grały na różnych instrumentach i śpiewały hymny zwycięstwa.

Cóż takiego śpiewały?

— Saul pokonał tysiąc, ale Dawid pokonał dziesięć tysięcy wrogów.

Tak właśnie śpiewały.

Król Saul słyszał te pieśni.

Pomyślał sobie:

— Dawid pokonał dziesięć tysięcy, a ja tylko tysiąc? Czyżby to oznaczało, że on stanie się ważniejszy ode mnie? Tak mówią, jakby to on był potężniejszy niż ja...

Saul rozgniewał się i ogarnęła go straszliwa zazdrość. Nie mógł tej pieśni zapomnieć. Myślał o niej przez cały dzień, a w nocy nie zmrużył przez nią oka.

Nazajutrz Saul zachorował znowu. Zrozumiał, że istnieje ktoś, kto zajmie jego miejsce. Zrozumiał, że to Dawid będzie królem! Tak, tego był teraz pewien!

Obserwował ludzi i dostrzegał, że kochają Dawida.

Patrzył na Dawida i widział jego miłość do Boga i odwagę.

— Ludzie na pewno zechcą strącić mnie z tronu, by na moje miejsce obrać jego — dręczył się król i znowu dostał straszliwego ataku szału. Wpadł we wściekłość, krzyczał i miotał się po pałacu. Wszyscy słudzy okropnie się go bali.

Dawid jednak nie czuł strachu, tylko bardzo było mu żal króla. Cicho wśliznął się z harfą do komnaty, chcąc swą grą uspokoić Saula. Bezszelestnie zajął miejsce w kącie sali i zaczął grać jak umiał najpiękniej.

Bardzo pragnął pomóc biednemu królowi.

Tym razem jednak nie udało mu się. Muzyka brzmiała równie pięknie jak zwykle, a jednak nie przynosiła Saulowi ulgi. Wiedział bowiem, że to Dawid będzie jego następcą. Spojrzał na niego i pomyślał:

— Zabiję go. Wtedy nie zostanie królem!

Chwył za oszczep i cisnął w Dawida z całej siły. Na szczęście nie trafił. Bóg czuwał nad Dawidem i oszczep, przeleciawszy tuż obok głowy chłopca, wbił się w ścianę.

Dawid przestraszył się naprawdę i czym prędzej uciekł z pałacu, dziękując Bogu za ocalenie. Martwił się chorobą króla i tym, że nie może mu pomóc.

Od tej pory sytuacja Dawida stała się nie do pozazdroszczenia. Nie mógł dłużej przebywać w pobliżu króla.

Jonatan doradzał ucieczkę, gdyż król z pewnością będzie usiłował znowu go zabić. Dawid powinien schronić się w lesie, w górach, w takim miejscu, gdzie król go nie znajdzie.

Dawid i Jonatan spotkali się po raz ostatni na wsi, z dala od miasta. Tam obaj wierni przyjaciele pożegnali się. Być może, nie spotkają się już nigdy... Było im smutno, bo ogromnie się pokochali. Z płaczem padli sobie w ramiona. Jonatan rzekł:

— Bądź spokojny, Dawidzie. Królem zostaniesz później. Wola Boga jest także moją wolą. Ale obiecaj mi, proszę, że kiedy już będziesz panował, okażesz dobroć mnie i moim dzieciom!

Oczywiście Dawid chętnie mu to obiecał. Cierpiał bardzo na myśl o rozłące z najlepszym przyjacielem. Tak jednak być musiało.

Jonatan powrócił do pałacu, a Dawid zaczął szukać kryjówki.

Dokąd ma się udać?

Sam nie wiedział.

Czuł się jak pisklę wyrzucone z gniazda, które nigdzie nie jest bezpieczne. Król bowiem będzie go szukał wszędzie, chcąc zabić. Dawid wiedział jednak i o tym, że czuwa nad nim Bóg.

KOCHAJ SWYCH NIEPRZYJACIÓŁ

Biedny Dawid! Nie miał teraz miejsca, gdzie by się schronił.

Do domu nie miał po co wracać, bo król kazałby go zaraz aresztować. Nie mógł również schronić się u ojca i matki, bo i tam by go król odnalazł. Musiał więc kryć się po gęstych lasach, w górach i na pustyni. Raz tu, raz tam... Nigdzie nie czuł się bezpieczny, bo król ścigał go bez przerwy, tropiąc jak dzikie zwierzę.

Saul za wszelką cenę chciał schwytać Dawida i szukał go po całym kraju. Raz zdawało się, że już, już ma Dawida, ale jednak mu się nie udało!

Bóg czuwał.

Dawid siedział w górskiej pieczarze. Czy wiesz, co to jest pieczara?

To taka wielka, głęboka dziura w skale. Dawid ukrył się w niej przed królem, który przebywał w tej okolicy. Z ciemnej pieczary nasłuchiwał z zapartym tchem kroków na zewnątrz.

Dawidowi towarzyszyło kilku ludzi. Oni też narazili się królowi i teraz ukrywali się. Król Saul stał się bardzo zły i wielu ludzi się go obawiało.

W ciemnej grocie wszyscy siedzieli bez ruchu i nasłuchiwali. Bali się zdradzić swą obecność, gdyż król z żołnierzami znajdował się w pobliżu, tuż obok wejścia do pieczary. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że ukrywa się w niej Dawid...

Saul, zmęczony poszukiwaniami, ujrawszy ciemną pieczarę pomyślał:

— Tu zapewne panuje miły chłód. Odpocznę choć przez chwilę.

— Stać! — krzyknął do żołnierzy. Wszyscy zatrzymali się. Król wydał rozkaz, aby rozłożyli się u podnóża skały, a sam poszedł odpocząć w pieczarze.

Dawid i jego ludzie przerazili się ujrawszy wchodzącego króla. Serca zaczęły im walić ze strachu. Wstrzymali oddech.

Szczęśliwie król niczego nie zauważył. Nie mógł ich zobaczyć, bo kryli się w mroku. Tylko przy samym wejściu padało trochę światła. Król Saul położył się na ziemi, by nieco odpocząć, i nie wiadomo, kiedy zmożył go sen.

Gdy towarzysze Dawida ujrzeli, że król śpi, opuścił ich strach. Zaczęli się śmiać i rozmawiać:

— Teraz wróg sam wpadł w nasze ręce! Dawidzie, zbliż się do niego i ukarż za wszystko, czym zawinił. Zabij go! Uwolnij nas od niego i sam zostań królem!

Dawid jednak nie chciał w taki sposób zostawać królem.

— Nie uczynię tego — odrzekł — nie chcę być mordercą! Pan Bóg sam go ukarze.
Wstał jednak, zbliżył się na palcach do Saula, ujął w rękę jego wielki, ciężki miecz, i ...
Może myślisz, że uciął królowi głowę? Nic podobnego! Niepostrzeżenie odciął tylko kawałek królewskiego płaszcza!
Potem z sercem bijącym cofnął się do towarzyszy. W ręku trzymał kawałek płaszcza.
W chwilę potem Saul przebudził się. Wstał i wyszedł z pieczary.
— Naprzód! — rozkazał. Wojsko ruszyło dalej.

Wówczas Dawid poderwał się i pędem puścił się za królem. Saul nie zdążył jeszcze odejść daleko, gdy usłyszał wołanie:

— Królu! Królu!

Zaskoczony odwrócił się. Jakież było jego zdumienie, gdy ujrzał Dawida! Dawid!!! Skąd on się tutaj wziął?

— Panie mój — rzekł Dawid. — Dlaczego gniewasz się na mnie? Nie chcę przecież nic złego ci uczynić. Zobacz, mogłem cię zabić, a nie zrobiłem tego. Odciąłem tylko kawałek twego płaszcza...
Mówiąc to pokazał kawałek materiału trzymany w ręku.

Wówczas Saul bardzo się zawstydził. Łzy stanęły mu w oczach. Rozpłakał się ze wstydu i bólu.

— Dawidzie, synu mój — rzekł — ty jesteś lepszy ode mnie. Ja ciebie skrzywdziłem, a tyś mnie oszczędził. Ja ciebie nienawidziłem, a tyś mi odpłacił miłością.

Potem król Saul odszedł spokojnie wraz ze swym wojskiem. Nie chciał krzywdzić Dawida.

Czy wiesz, dlaczego tak się stało? Bo Dawid okazał miłość swemu nieprzyjacielowi.

OSZCZEP I DZBAN

Czy pamiętasz tę ciemną pieczarę, w której król Saul zatrzymał się na odpoczynek?

A może pamiętasz, kto się tam ukrywał?

Tak, Dawid.

Dawid mógł zabić króla, a jednak tego nie zrobił. Odciął jedynie kawałek królewskiego płaszcza.

Okazał miłość swemu nieprzyjacielowi.

Król Saul zawstydził się i postanowił zostawić Dawida w spokoju. Wkrótce jednak zapomniał o tym, jak wspańiałomyślnie postąpił względem niego Dawid. Znowu zaczął go szukać i ścigać po całym kraju, aby go pochwycić.

Pewnego razu Saul calutki dzień bezskutecznie gonił Dawida, aż zapadła noc.

Dokąd król uda się na spoczynek?

Żołnierze rozbili dla niego namiot. Zanim Saul położył się spać, wbił swój oszczep w ziemię, tuż koło wezgłowia, aby w każdej chwili mieć broń pod ręką. Obok postawił dzban z wodą, by sięgnąć po niego, gdy tylko poczuje pragnienie. Był bardzo zmęczony długim marszem. Przywołał jeszcze kilku żołnierzy i rozkazał:

— Nie kładźcie się spać! Stańcie na warcie i czuwajcie!

Potem położył się i zasnął.

Wkrótce posnęli i żołnierze, bo wszyscy byli bardzo utrudzeni.

A ci, którzy pełnili straż?

O, i oni byli bardzo zmęczeni. Nie mieli siły czuwać. Położyli się i zasnęli.

Była głęboka noc.

Zrobiło się ciemno, tylko wysoko na niebie lśniły gwiazdy. Wszędzie panowała niczym nie zmacona cisza.

Lecz co to? Uwaga! Ktoś bezszelestnie skrada się wśród ciszy nocnej...

Kto to może być?

Idzie dwóch uzbrojonych ludzi. Każdy niesie miecz. Są coraz bliżej. Ach to Dawid ze swym przyjacielem, Abisajem!

Jeszcze gdy było jasno, Dawid z daleka obserwował króla i wypatrywał miejsce jego spoczynku.

Teraz nadchodzi ze swym przyjacielem. Zbliżają się na palcach, krok po kroku. Bezszelestnie prześlizgują się wśród śpiących żołnierzy. Oj, co to będzie, jeśli żołnierze przebudzą się i zobaczą Dawida tutaj...

Żołnierze jednak o niczym nie wiedzą, są pogrążeni w głębokim śnie.

Dawid i Abisaj mijają ich cichutko, docierają do namiotu króla i wślizgują się do środka...

Król śpi głęboko. Dawid z Abisajem stają tuż przy nim.

Mogą teraz zrobić z nim, co zechcą. Abisaj szepnął:

— Jeżeli chcesz, zabiję Saula! Od dawna na to zasłużył! Nieustannie ściga cię i nastaje na twoje życie.

Lecz Dawid odpowiedział:

— Nie waż się tego czynić! Bóg na to nie pozwala. To On uczynił z Saula króla i On sam wymierzy mu karę.

Zabrał Dawid tylko oszczep i dzban królewski i opuścił namiot, a za nim wysliznął się Abisaj.

Dawid znowu okazał miłość swemu wrogowi.

Nadszedł ranek. Słońce wzeszło i rozśpiewały się ptaki.

Wtedy Dawid głośnym krzykiem obudził żołnierzy.

— Dlaczego nie strzeżecie lepiej króla? — wołał. — Mógł zostać zabity! Spójrzcie — oto jego oszczep i dzban. Gdybym tylko zechciał, król już by nie żył!

W tej samej chwili przebudził się Saul.

— Czyżbym słyszał twój głos, synu mój, Dawidzie? — zapytał.

— Tak, to ja — odparł Dawid. — Panie, powiedz mi, czemu mnie ciągle prześladujesz? Przecież nigdy nie uczyniłem ci nic złego. Dzisiejszej nocy, gdy spałeś, byłem tuż obok, a jednak nie podniosłem na ciebie ręki. Czy wierzysz teraz, że nie jestem ci wrogiem?

Saul bardzo się zawstydził i odpowiedział:

— Żałuję tego, co robiłem, Dawidzie. Jestem złym człowiekiem. Wróc bez obawy do mego pałacu, nie uczynię ci więcej nic złego!

Dawid jednak nie przyjął zaproszenia. Wiedział, że król znowu zapomni o swej obietnicy.

Jeden z żołnierzy wziął oszczep i dzban i odniósł je królowi.

Potem Saul i Dawid rozstali się. Każdy poszedł w inną stronę: Saul — do swego pałacu, a Dawid do dalekiego kraju, gdzie król nie mógł go już dosięgnąć.

Nigdy więcej się nie spotkali.

DAWID ZOSTAJE KRÓLEM

Dawid zamieszkał w dalekim kraju, gdzie król Saul nie mógł go odnaleźć. Nastąpił jednak dla Dawida dzień wielkiego smutku. W państwie izraelskim wybuchła wojna. Filistyni napadli na kraj i Saul, Jonatan oraz wszyscy inni mężczyźni stanęli do walki. Pewnego dnia Dawid otrzymał wiadomość, że Saul i Jonatan zginęli.

Teraz Dawid nie musiał już dłużej przebywać na wygnaniu w dalekim kraju, bo nic mu już nie groziło. Jego nieprzyjaciel zginął. Bóg ukarał Saula za wszystko zło, które ten uczynił. A jednak Dawid był bardzo smutny, ponieważ szczerze kochał Saula, a jeszcze bardziej swego przyjaciela, Jonatana. Przez cały dzień Dawid gorzko płakał. Ze smutku nie jadł i nie pił. A gdy zapadł wieczór, wziął harfę i zaczął śpiewać pieśń. Była to smutna pieśń, pieśń smutku i żałoby po śmierci Saula i Jonatana. — O, Jonatanie, Jonatanie, jakże wielka i wspaniała była twoja miłość — brzmiał w ciszy wieczornej smutny śpiew Dawida.

Po dniu smutku nastął jednak dzień radości.

Wypełniła się Boża obietnica, dana dawno temu, jeszcze wtenczas, gdy Dawid pasał owce swego ojca na wzgórzach betlejemskich.

Pewnego dnia przybył tam Samuel. Pamiętasz, jak to było? Samuel przyniósł ze sobą róg napełniony wonną oliwą. Namaścił nią Dawida i powiedział, że zostanie on królem. Tak obiecał Bóg.

Jakże dawno temu została dana ta obietnica!

Pan Bóg jednak o niej pamiętał.

On nigdy o niczym nie zapomina.

Bóg pamięta o wszystkim i zawsze dotrzymuje słowa. Po śmierci Saula Dawid został królem. Zamieszkał w Jerozolimie, we wspaniałym królewskim pałacu i panował nad całym krajem. Czuł się szczęśliwy i zachował wdzięczność dla Boga.

— Jestem władcą wielu ludzi — rozmyślał — ale moim władcą jest Bóg. Ludzie będą mnie słuchać, ale ja muszę być posłuszny Bogu!

Dawid był dobrym królem i człowiekiem całym sercem oddanym Bogu.

Bóg go kochał.

Dawid nigdy nie zapomniał o Bogu ani o tym, że kiedyś był tylko biednym pasterzem. Często myślał: — Pan Bóg cudownie się mną opiekuje. We wszystkich okolicznościach mi dopomaga i sprawia, że niczego mi nie brakuje.

W takich chwilach sięgał po harfę i śpiewał:

— Pan jest pasterzem moim, niczego mi nie brakuje.

Była to ta sama pieśń, którą śpiewał przed laty na łąkach.

Słudzy przysłuchiwali się w ciszy i skupieniu.

A w niebie słuchał Bóg.

ZŁY KSIĄŻĘ ABSALOM

Król Dawid miał syna, Absaloma. Był to piękny książę o ślicznych, długich włosach, wijących się w lokach. Gdy na wspaniałym rydwanie zaprzężonym w ręce rumaki pędził przez ulice miasta, włosy powiewały mu wokół głowy. Ludzie zatrzymywali się, by popatrzeć, i mówili:

— Spójrzcie tylko, jaki piękny jest nasz książę Absalom!

O tak, Absalom był bardzo piękny. Umiał też być miły dla każdego. Nawet ścisnął przechodniów na ulicy. Dlatego był kochany przez wszystkich. Mówiono o nim:

— Jaki uroczy książę! W przyszłości będzie dobrym królem. Tak, to on zostanie naszym władcą.

Słyszając to Absalom był bardzo zadowolony. Tylko po to, aby usłyszeć słowa: „Absalom będzie naszym królem”, starał się być tak uprzejmy i miły dla ludzi.

Gdy już zostanie królem, zamieszka we wspaniałym pałacu i będzie panem całego kraju, najpotężniejszym i najbogatszym człowiekiem ze wszystkich. Jednak jego ojciec, Dawid, ciągle jeszcze żył, a Absalom mógł zostać królem dopiero po jego śmierci. Toteż nie mógł się doczekać tej chwili.

— O, jak to długo trwa! — myślał sobie. — Chciałbym, żeby mój ojciec zachorował i wreszcie umarł. To podłe życzyć swemu ojcu śmierci! Absalom robił wrażenie miłego i dobrego, ale w głębi serca był zupełnie inny. Udawał dobrego, by zostać królem. Był pięknym księciem o fałszywym, podłym sercu. Ale ludzie nawet się tego nie domyślali. Absalom od dawna już wyglądał chwili, gdy zostanie królem, ale ojciec jego, Dawid, ciągle jeszcze żył i dużo może upłynąć czasu, zanim umrze! Więc Absalom tak sobie umyślił:

— Po co mam tak długo czekać? Lepiej wypędzę ojca i zaraz zostanę królem!

O tym zamiarze powiedział przyjaciołom, którzy byli równie źli jak on.

— Oczywiście, przepędź go! Możesz być pewny naszej pomocy — zapewniali go.

I wyobraź sobie, co ten wstrętny książę uczynił! Poszedł do ojca i grzecznie zapytał:

— Ojczy, czy mogę wyjechać do Hebronu? Chciałbym tam złożyć Bogu ofiarę.

— Jedź w pokoju, synu — zgodził się Dawid.

Absalom wyruszył do Hebronu, miasta bardzo odległego od Jerozolimy. Tam zgromadził wszystkich swych przyjaciół i innych ludzi gotowych mu pomagać. Zebrał liczny oddział, niemal armię, i postanowił wrócić z nią do Jerozolimy, by wypędzić ojca.

Ludzie Absaloma dęli w trąby i wznosili okrzyki:

— Niech żyje nasz nowy król, Absalom!

Biedny Dawid był tym zupełnie zaskoczony. Nie mógł wprost uwierzyć, że jego syn zdolny jest do takiej podłości i że chce mu wyrządzić krzywdę.

Niestety, to była prawda!

Armia Absaloma już nadciągała.

Czy Dawid zgromadzi swe sługi i wojsko do walki z synem?

Nie, Dawid chciał tego uniknąć.

— Ucieknę przed Absalomem — postanowił. — Oj, synu, synu, jaki ból mi zadajesz! — wzdychał.

Pocieszał się jednak:

— Pan Bóg mnie widzi i wie wszystko. Jeżeli więc uzna za słuszne, abym nadal był królem, powrócę do Jerozolimy.

I opuścił Dawid Jerozolimę płacząc. Towarzyszyli mu jego przyjaciele i słudzy. Tłum kochających go ludzi tworzył długi, długi orszak. Wszyscy byli bardzo smutni.

Wyszedszy z miasta, przemierzali cały kraj, oddalając się coraz bardziej od Jerozolimy. Mijali rzeki i góry, aż dotarli w końcu do bardo odległego miasta i w nim się zatrzymali.

Tymczasem Absalom zjawił się w Jerozolimie. Zamieszkał we wspaniałym pałacu ojca i został królem. Czy sądzisz, że był szczęśliwy?

Nie! Zły książę ciągle nie był zadowolony. Bał się, że może przestać być królem. Dla pewności zamierzał wtrącić ojca do więzienia, aby Dawid nigdy już nie odzyskał władzy.

Zebrał więc liczną armię i podążył w dalekie strony, gdzie schronił się jego ojciec.

Teraz Dawid nie miał innego wyjścia: musiał podjąć walkę z własnym synem. Wysłał więc naprzeciw Absaloma swoją armię, lecz sam jej nie towarzyszył. Pozostał w mieście i tam czekał, pełen smutku i niepokoju.

— Oby tylko nic złego nie spotkało Absaloma! — myślał. — Oby tylko nie zginął! Skoro bowiem stanie przed Bogiem z sercem pełnym złości, poniesie karę za wszystkie złe czyny!

Dawid rozkazał wszystkim swym żołnierzom, by oszczędzali jego syna. Bardzo kochał swoje dziecko!

Obie armie, Absaloma i Dawida, spotkały się w ogromnym lesie.

Zacząta się bitwa.

Absalom jechał na czele swego wojska na mule. Walczył ze wszystkich sił, jego żołnierze również. Jednak wojsko Dawida zwyciężyło, ponieważ Pan Bóg mu dopomógł. Absalom wraz ze swą armią

szukał ocalenia w ucieczce. Gnany strachem, przedzierał się przez gęsty las. Gałęzie drzew zwisały nisko. W pewnej chwili Absalom zaczepił o coś głową i nie mógł jej uwolnić, bo jego piękne, długie włosy wplątały się w gałęzie. Muł pognął dalej, a Absalom zawisł na drzewie.

Żołnierze Dawida dopadli go. Wtedy poniósł karę.

On, który chciał schwytać swego ojca, teraz sam został schwytyany.

On, który chciał zabić swego ojca, teraz sam poniósł śmierć.

Dawid czekał w mieście pełen smutku i niepokoju. Wtem wpadł pierwszy goniec, wołając radośnie:

— Królu, zwycięstwo!

Dawid wcale nie okazał radości. Zapytał tylko:

— Co z moim synem, Absalomem?

— Nie wiem tego odparł przybyły. W chwilę później wpadł następny goniec, wołając, podobnie jak pierwszy:

— Królu, zwyciężyliśmy!

Dawid zadał mu to samo pytanie:

— Co z moim synem, Absalomem?

— Absalom nie żyje — usłyszał w odpowiedzi.

Wtedy Dawid zapłakał. W rozpacz załamał ręce i szlochał:

— Synu mój, synu Absalomie! Wołałbym sam zginąć, bylebyś ty żył!

Tak bardzo kochał swoje dziecko!

Wkrótce potem Dawid wrócił do Jerozolimy i zamieszkał w pałacu. Zasiadł na swym tronie i znowu wszystko było po dawnemu.

Nie, nie wszystko.

Księżę Absalom nie przejeżdżał już ulicami miasta.

Dawid stracił na zawsze swego syna. Myśl o tym pogrążyła go w smutku.

— O, Absalomie, synu mój! — szlochał.

KRÓL SALOMON

Czy chciałbyś być królem?

Mieszkałbyś wtedy we wspaniałym pałacu, otaczałby cię cały tłum sług. Pięknym powozem jeździłbyś po kraju. Na głowie nosiłbyś złotą koronę i miałbyś wszystko, co byś zechciał.

Prawda, że to nęcące?

Ale, czy umiałbyś rządzić?

Król musi troszczyć się o wszystkich ludzi w kraju i starać się, aby żyli szczęśliwi. Dlatego powinien być bardzo mądry, bo inaczej nie będzie dobrym władcą.

Niełatwo jest być królem.

To tylko wydaje się takie piękne, ale naprawdę jest bardzo trudne.

Salomon uważał, że trudno jest być królem.

Był synem Dawida i po śmierci ojca odziedziczył tron.

Jednak wcale się z tego nie cieszył. Chciał być prawdziwie dobrym władcą i troskliwie opiekować się wolnym ludem izraelskim, a był jeszcze bardzo młody.

— To zbyt trudne zadanie dla mnie - myślał. — Nie mam dostatecznej mądrości ani doświadczenia.

Nie mogę być dobrym królem.

Toteż martwił się i niepokoił.

Lecz pewnej nocy wydarzyło się coś cudownego. Po złożeniu ofiary w świątyni Salomon udał się na spoczynek. We śnie przemówił do niego Bóg:

— Salomonie, chcę cię czymś obdarzyć. Wybierz sam, czego najbardziej pragniesz, a otrzymasz to! Salomon był zachwycony.

Co wybierze? Bogactwo? Siłę i potęgę? A może długie życie?

Nie, nic takiego. Salomon pomyślał, że przede wszystkim pragnie być dobrym królem. Poprosił więc:

— Panie, obdarz mnie mądrością, abym mógł być dobrym królem!

— Dobrze wybrałeś, Salomonie — odrzekł Bóg. — Dam ci taką mądrość, jakiej nikt dotąd nie posiadał. Ponieważ zaś słusznego dokonałeś wyboru, dam ci również bogactwo, siłę i potęgę. A jeżeli będziesz mi posłuszny, obdarzę cię długim życiem! Wtedy Salomon się obudził.

Od tej pory przestał się niepokoić i martwić. Już wiedział, że będzie dobrym władcą i cieszył się, że jest królem.

Pewnego dnia, gdy król Salomon siedział w swym pałacu, przybyły do niego dwie kobiety. Kłóciły się między sobą, a król miał rozsądzić, która z nich ma rację.

Każda z kobiet niosła dziecko. Jedno spoglądało na świat oczyma pełnymi radości. Było żywe i zdrowe. Tymczasem drugie miało oczka zamknięte, twarzyczkę bladą i nieruchomo zwisało w ramionach trzymającej je kobiety. Było martwe.

— Żywe dziecko należy do mnie — powiedziała pierwsza z kobiet.

— To nieprawda — zaprzeczyła druga. — Ono jest moje.

— Opowiedzcie mi wszystko po kolei — rozkazał Salomon.

Pierwsza kobieta zaczęła opowiadać:

— O, panie, mieszkaliśmy razem w jednym domu i spałyśmy w jednym pokoju. Każda z nas miała dziecko. Lecz ubiegłej nocy jedno z dzieci zmarło. To jej dziecko umarło, a moje żyje!

— Nieprawda, moje żyje, a twoje umarło! — zawołała druga kobieta.

— Chcę zatrzymać to dziecko, bo jestem jego matką! — krzyczała pierwsza.

— Nieprawda, to ja jestem jego matką i ono do mnie należy! — krzyczała druga.

Stały teraz obie przed królem i nikt nie wiedział, która ma rację. Salomon miał to rozsądzić. Musiał zdecydować, przy kim zostanie żywe dziecko. Zapytał więc:

— A więc obie chcecie zatrzymać żywe dziecko?

— O tak, królu — odpowiedziała pierwsza z kobiet.

— O tak, królu — powiedziała druga. Wtedy Salomon rzekł coś strasznego, co poruszyło wszystkich zebranych:

— A więc, dobrze. Skoro obie chcecie mieć to dziecko, rozkażę przeciąć je na pół i każda dostanie po połowie! Król wcale nie zamierzał tego zrobić. Powiedział to jednak poważnym głosem, jak gdyby naprawdę tak postanowił. Przywołał sługę z wielkim mieczem i rozkazał:

— Przetnijcie dziecko na dwie części! Sługa chwycił dziecko i unióś wielki miecz w górę.

Wtedy pierwsza z kobiet zaczęła strasznie płakać i wołać:

— Nie! Nie róbcie mu nic złego! Zostawcie je! Oddajcie je tamtej kobiecie, ale nie zabijajcie go!

Druga kobieta, przeciwnie, zachowywała się obojętnie.

— Bardzo dobrze, — powiedziała. — Przetnijcie je. Wtedy żadna z nas nic nie będzie miała.

I król już wiedział, która z nich jest matką.

— Oddajcie żywe dziecko tej pierwszej kobiecie — rozkazał — ponieważ ona je kocha. Ta jest matką! Odzyskawszy swe dziecko, szczęśliwa kobieta wróciła z nim do domu. A wszyscy ludzie podziwiali Salomona:

— Jaki mądry i sprawiedliwy jest nasz król!

Długo panował Salomon, troszcząc się o cały lud i starając się, aby wszyscy jego poddani byli szczęśliwi.

Salomon wybudował też piękną świątynię, dom Boży, taki wielki kościół. Ludzie przybywali z całego kraju, aby tu składać ofiary i tu się modlić.

Salomon był naprawdę bardzo mądrym królem, a mimo to nie był najwspanialszym ze wszystkich królów. W przyszłości przyjdzie ktoś jeszcze od niego mądrzejszy, kto jeszcze lepiej zaopiekuje się ludźmi i uczyni ich naprawdę szczęśliwymi.

Ten Król żyje wiecznie.

Czy wiesz, jak się nazywa?

Jezus Chrystus!

To On jest naszym królem i jeżeli będziemy Mu posłuszni, wejdziemy w przyszłości do Jego Królestwa.

ELIASZ I ZŁY KRÓL ACHAB

Dawno temu w Izraelu panował pewien król.

Nazywał się Achab.

Był to bardzo zły człowiek, a jego żona, Izebel, była jeszcze gorsza od niego.

Mieszkali razem w pięknym pałacu w ziemi izraelskiej i rządili ludem Bożym. Pod ich panowaniem ludzie byli bardzo nieszczęśliwi.

Wiesz, co zrobili Achab i Izebel?

Powiedzieli tak:

— Wcale nie kochamy Pana Boga i wolimy czcić bożki, które sami sobie zrobimy.

I rozkazali wykonać wielką figurę, którą nazywali Baal, i powiedzieli:

— Oto nasz bóg!

Klękali i modlili się do tej figury, a kapłanom rozkazali składać przed nią ofiary. Całemu ludowi powiedzieli:

— Macie oddawać cześć tej figurze, a o Panu Bogu zapomnieć!

Prawie wszyscy Izraelici ich posłuchali, myśląc, że skoro król tak każe, widocznie jest to słuszne. Padali więc na kolana przed bożkiem i zapomnieli zupełnie o Panu Bogu.

Stracili jednak spokój. Ten, kto nie kocha Pana Boga, nie może być w pełni szczęśliwy.

Bóg nie godzi się na to, aby ludzie o Nim zapominali.

Dlatego Izraelici wkrótce zostali ukarani.

Pewnego dnia, gdy król Achab przebywał w swoim pałacu, rozsiadłszy się na wspaniałym tronie, nagle otworzyły się drzwi i wszedł nieznajomy mężczyzna. Wyglądał bardzo biednie. Nosił długi, szary płaszcz, przepasany na biodrach skórzanym pasem. Nie wydawał się jednak onieśmielony wspaniałością pałacu.

Spojrząwszy surowo na króla, powiedział:

— Jestem Eliasz, prorok, sługa Boga Jedynego. To On przysłał mnie, abym ci zapowiedział, że spotka cię kara za grzechy. Odtąd przestaną padać deszcze i nawet kropla rosy nie spadnie na ziemię do czasu, aż znowu będę z tobą rozmawiał.

Powiedziawszy to, Eliasz wyszedł. Przez chwilę w pałacu panowała głucha cisza. Król i dworzanie byli zaskoczeni i przerażeni tym, co usłyszeli. Potem jednak zaczęli się śmiać:

— To jakiś głupiec! Jakże on może zatrzymać chmury i sprawić, by deszcz przestał padać!

A jednak dni mijały, a deszczu nie było.

Mijały tygodnie, a deszczu nie było.

Codziennie świeciło słońce, wypalając ziemię swym żarem.

Wszystko schło. Trawa zczerniała, powiędły kwiaty, z drzew opadły liście. Wyszuszone zboże spaliło się na polu.

Ludziom potrzeba zboża na chleb, a kiedy brak chleba, nadchodzi głód. Król przeraził się nie na żarty, bo zrozumiał, że Eliaz powiedział prawdę.

— Wszystkiemu winien ten prorok! To on ściągnął na nas nieszczęście! Sprowadźcie mi tu zaraz Eliasza! Szukajcie go wszędzie — rozkazał Achab. Żołnierze Achaba przemierzili cały kraj w poszukiwaniu Eliasza. Szukali wszędzie, ale nigdzie go nie znaleźli. A deszczu jak nie było, tak nie było...

Czy wiesz, gdzie przebywał Eliaz? Daleko w górach płynął strumyk. Wił się wśród skał i w nim jeszcze zachowała się woda. Nad tym potoczkiem, w głębi gór, schronił się Eliaz.

Bóg ukrył go tam przed złym królem.

Eliaz znalazł dobrą kryjówkę. Tu żołnierze nie mogą go odnaleźć, a sam Pan Bóg troszczy się o niego.

Nocą sypiał Eliaz w pieczarze (pamiętasz, że to taka wielka, głęboka dziura w skale?).

Gdy chciało mu się pić, brał wodę ze strumienia. Nie cierpiał również głodu, bo Bóg codziennie zsyłał mu coś do jedzenia. Wiesz, kto mu przynosił pożywienie?

Kruki.

Takie duże, czarne ptaki.

Co rano przylatywały niosąc w dziobach to kawałek chleba, to mięso, i upuszczają je na ziemię obok Eliasza. Powracają wieczorem, przynosząc znów chleb i mięso. To Bóg im rozkazał, by opiekowały się Eliazem.

Lud izraelski cierpiał głód i pragnienie, bo zapomniał o Bogu!

Eliaz miał co jeść, ponieważ pozostał wiernym sługą Bożym.

ELIASZ U KOBIETY W OBCEJ KRAINIE

Długo przebywał Eliaz w górach nad strumieniem, w dobrej kryjówce, gdzie żołnierze nie mogli go odnaleźć, a kruki znosiły mu mięso i chleb.

W końcu jednak musiał stamtąd odejść, gdyż strumień całkiem wysechł: woda przestała płynąć.

Bóg polecił mu, by udał się do odległego kraju, i obiecał, że tam również będzie się nim opiekował.

Eliaz ruszył w drogę. Po długiej wędrówce przybył do dalekiego kraju i stanął u bram miasta.

Dreńczyło go pragnienie i głód. W pewnej chwili spostrzegł kobietę, która wyszła z miasta i pod drzewami szukała suchych gałęzi na opał. Niosła już sporą wiązkę chrustu.

Eliaz poprosił:

— Czy zechciałabyś przynieść mi wody? Chce mi się bardzo pić!

Kobieta zgodziła się.

Wtedy Eliaz powiedział:

— Poproszę cię jeszcze o kawałek chleba, bo umieram z głodu!

Teraz kobieta odmownie pokręciła głową i rzekła ze smutkiem:

— Nie mam, panie, nawet okruszyny chleba. Pozostała mi jedynie miarka mąki i trochę oliwy w bańce. To wszystko, co posiadam! Zbieram teraz chrust na ogień, bo chcę jeszcze z tych resztek, które zostały, upiec placek dla mego syna i dla mnie. Potem przyjdzie nam chyba umrzeć z głodu! Te słowa zabrzmiały tragicznie, a jednak Eliaz nie wyglądał na zmartwionego.

— Wróć do domu — powiedział do kobiety — i przygotuj placek, jak zamierzałaś. Potem daj mi jeść. Tego, co zostanie, wystarczy jeszcze dla ciebie i dla twego dziecka. Zostanie wszystkiego dość, bo Pan Bóg powiedział:

— Nie zabraknie mąki w tej miarce ani oliwy w tej bańce! Będziemy mieli mąkę i oliwę do czasu, aż spadnie deszcz i znów dla wszystkich będzie jedzenia pod dostatkiem.

Co za dziwne słowa! A jednak kobieta uwierzyła Eliaszowi — wróciła do domu, rozpałała ogień, a potem wysypała całą mąkę, wylała ostatnie krople oliwy i upiekła placek. Siedzący obok synek spoglądał na nią ze zdumieniem.

Lecz oto nagle,

Miała ochotę śpiewać z radości! Wyobraź sobie, że w miarce znowu pojawiła się mąka, a w bańce oliwa!

Kto je napełnił?

Kobieta wiedziała, że tylko Bóg mógł to uczynić. To był cud!

Matka upiekła więc: pierwszy placek dla Eliasza, drugi placek dla syna, trzeci placek dla siebie.

Mogła teraz stale piec ciasto, dzień po dniu.

Eliasz zamieszkał w jej domu.

A Pan Bóg czuwał nad nimi.

Aż pewnego dnia wydarzyło się coś niedobrego. Zachorował chłopiec. Dyszał ciężko, aż w końcu przestał w ogóle oddychać. Umarł. Matka wpadła w rozpacz. Chwyciła dziecko na ręce, wołała je po imieniu, lecz ono już jej nie słyszało. Dziecko nie żyło!

Wkrótce zostanie pochowane i będą musieli się rozstać.

Eliaszowi zrobiło się bardzo żal tej kobiety, więc powiedział do niej:

— Podaj mi dziecko!

Wziął zmarłego chłopca z kolan matki, zaniósł go do pokoju i położył na łożku.

— Bóg zesłał śmierć temu dziecku — pomyślał Eliasz — i tylko On sam może przywrócić mu życie!

Potem zaczął się gorąco modlić:

— O Boże mój i Panie, spraw, aby to dziecko ożyło!

Powtarzał tak wiele razy.

I Bóg wysłuchał modlitwy swego sługi. W pewnym momencie chłopiec zaczął oddychać, potem otworzył oczy i unióśł głowę. Uradowany Eliasz wziął go na ręce i odniósł matce.

— Oto twój syn — powiedział.

Kobieta nie mogła uwierzyć w to, co widzi! Dziecko wyciągało do niej ręce. Zostało wyrwane śmierci!

Rozpłakała się z ogromnej radości i powiedziała do Eliasza:

— Teraz widzę, że jesteś wielkim prorokiem, sługą Boga Żywego!

Nigdy dotąd nie czuła się jeszcze tak szczęśliwa...

ELIASZ I ŻLI KAPŁANI

Długo mieszkał Eliasz u tej kobiety w dalekim kraju. Przez cały ten czas nie spadł deszcz. Spowodował to zły król Achab i lud izraelski, który okazał nieposłuszeństwo Bogu. Susza trwała przez trzy lata. Na ziemi nic już prawie nie rośło.

Gdy Bóg uznał, że czas kary minął, rzekł do Eliasza:

— Udaj się do króla Achaba, ponieważ wkrótce ześlę deszcz na ziemię. Eliasz, posłuszny słowom Bożym, powędrował do króla Achaba. Czynił to bez obawy, pewny, że Bóg czuwa nad nim.

Gdy król ujrzał Eliasza, wpadł w straszliwy gniew.

— To ty sprowadziłeś nieszczęście na lud izraelski! — wykrzyknął na jego widok.

Lecz Eliasz odparł:

— Nie moja to wina, panie, że cierpi lud. Tyś to sprawił, bo zapomniałeś o Bogu i oddawałeś cześć Baalowi.

Posłuchaj, co teraz masz zrobić. Zbierz cały lud na wysokiej górze. Niech przyjdą tam także wszyscy źli kapłani, którzy składali ofiary Baalowi. Oto twoje zadanie!
Achab nie ośmielił się zaprotestować. Wiedział, że musi tak postąpić.
Można powiedzieć, że w tym momencie Eliaz był tu królem.

Tak więc ludzie zebrali się na wysokiej górze.
Król przybył również.

Eliaz także.

Byli oczywiście i źli kapłani czczący Baala. Patrzyli z zazdrością na Eliasza. Chętnie by go skrzywdzili, ale nie ośmielili się tego uczynić. Musieli być mu posłuszni.

Eliaz rzekł do ludu:

— Teraz pokażę wam, że waszym Bogiem jest Pan Bóg i że nie wolno wam o Nim zapominać! On może uczynić wszystko, a Baal nie może nic. Posłuchajcie, co zrobimy. Kapłani Baala przygotowują ofiarę przed figurą bożka, ja zaś przygotuję ofiarę dla Boga. Nie zapalimy jednak stosów ofiarnych. Kapłani Baala będą prosili Baala, aby zesał ogień na ich ołtarz, ja będę prosił Boga, aby zapalił ofiarę przeze mnie przygotowaną. Bóg, który zesła ogień, będzie naszym Bogiem! Wszyscy na to przystali.

Pierwsi zaczęli kapłani Baala.

Ułożyli z kamieni ołtarz ofiarny, położyli na nim drewno, a następnie byka, dopiero co zabitego. To była ich ofiara. Potem zaczęli się modlić i krzyczeć z całych sił:

— O Baalu, wysłuchaj nas! O Baalu, zeslij nam ogień! O Baalu, odpowiedz nam!

Krzyczeli coraz to głośniej, aż zupełnie zachrypli. Na próżno jednak wzywali Baala, aby im pomógł. Ogień z nieba nie zstąpił!

Wtedy Eliaz rzekł:

— Teraz ja spróbuję.

On również zbudował ołtarz ofiarny. Ułożył na nim drzewo, a następnie zabitego byka. Potem otoczył ołtarz fosą i napełnił ją wodą.

Wszyscy zamilkli, gdy Eliaz ukląkł do modlitwy. W przeciwieństwie do kapłanów Baala, on nie podnosił głosu. Wiedział, że Bóg słyszy nawet wtedy, gdy mówi się szeptem. Modlił się z głęboką czcią:

— O Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba, proszę Cię, zechciej pokazać ludowi, że tylko Ty jesteś jego Bogiem, a ja Twoim sługą. Niech nigdy o tym nie zapomina! Wysłuchaj mnie, o Panie!

Nie musiał mówić dłużej, bo oto, nagle, ogień zstąpił gwałtownie z nieba i podpalił złożoną ofiarę. Ludzie cofnęli się przerażeni! Buchnęły płomienie, drzewo płonęło, mięso płonęło, a żar wysuszył nawet wodę w fosie. Ludzie, ujrawszy to, padli na kolana, wołając:

— Pan Bóg jest Bogiem naszym! Pan Bóg jest Bogiem naszym!

Teraz ujrzeli, że Bóg może uczynić wszystko, a Baal nie jest do niczego zdolny. Zrozumieli, jaki błąd popełnili opuszczając Boga Wszechmogącego!

Potem ludzie rozeszli się, a Eliaz został na górze sam. Ukląkł i znowu się modlił. Teraz prosił nie o ogień, lecz o deszcz.

Bóg wysłuchał i tej modlitwy swego sługi. Tego samego wieczoru chmury poczęły gromadzić się na niebie, a potem spadł deszcz!

Znowu zazieleniła się trawa, zakwitły kwiaty, a drzewa pokryły się nowymi liśćmi. Zboże rosło i dojrzało, a ludzie mieli mąkę na chleb.

Kto dał im ten chleb?

Baal?

O nie! Ludzie teraz dobrze wiedzieli, że Baal nic nie może uczynić.

Tylko Pan Bóg jest wszechmocny! Wyłącznie On troszczy się o nich.
I tylko On jest ich Jedynym Bogiem!

BOGATY, A JEDNAK BIEDNY

W pięknej ziemi kananejskiej mieszkała wraz ze swymi rodzicami pewna dziewczynka. Znowu trwała wojna. Obce wojska wtargnęły do kraju, splądrowały go i zabrały ze sobą wszystko, co tylko dało się zrabować. Żołnierze porwali również tę dziewczynkę.

— Damy ją w prezencie naszemu generałowi — pomyśleli.

Generał nazywał się Naaman. Chętnie przyjął dziewczynkę i podarował ją z kolei swojej żonie, której przybyła jeszcze jedna służąca.

Biedna dziewczynka! Z dała od ojca i matki, w wielkim, obcym domu Naamana — cudzoziemca, służyła obcej kobiecie.

Jednak Naaman był dobrym panem i dziewczynka bardzo go szanowała. Był to bogaty człowiek: miał dużo sług, rydwany, konie, pieniądze i wiele innych rzeczy. Mógł nabyć wszystko, co tylko zechciał. Równocześnie jednak czuł się bardzo nieszczęśliwy, ponieważ ciężko chorował. Był trędowaty. Na twarzy, na rękach, nogach i na całym ciele miał wielkie, białe plamy. Żaden lekarz nie mógł mu pomóc.

Czuł się coraz gorzej. Wkrótce przyjdzie mu umrzeć, bo nikt nie umie go wyleczyć.

A jednak dziewczynka znalazła lekarstwo!

Powiedziała do swej pani:

— Gdyby mój pan żył w kraju mych rodziców, byłby uleczony. Prorok Elizeusz by go uzdrowił! To jest sługa Boży, następca Eliasza, i umie czynić cuda.

Tak powiedziała dziewczynka do swej pani. Ona zaś powtórzyła to prędko mężowi.

Naaman zaczął rozmyślać:

— Może rzeczywiście mógłbym zostać uzdrowiony!?! Jakże bym tego pragnął.

I natychmiast kazał ruszać w drogę do Kanaanu. Jechał na wspaniałym wozie, a liczni towarzyszący mu słudzy otaczali go ze wszystkich stron, siedząc na pięknych wierzchowcach. Naaman zabrał ze sobą mnóstwo prezentów — złoto, srebro i inne cenne rzeczy. Zamierzał ofiarować je Elizeuszowi, jeżeli ten go uzdrowi.

Posuwali się powoli. Wreszcie jednak dotarł Naaman nad brzeg rzeki Jordan. Przebył ją i znalazł się w Kanaanie. Był już blisko domu Elizeusza. Naaman myślał sobie:

— Pewnie Elizeusz poczuje się zaszczycony przybyciem takiego bogatego pana. Na pewno bardzo się ucieszy, wybiegnie mi na spotkanie i nisko się pokłoni. Potem się za mnie pomodli, położy rękę na moim chorym ciele i wtedy zostanę uzdrowiony! Tymczasem

Elizeusz wcale nie wyszedł mu naprzeciw. Wysłał tylko swego sługę, który powiedział Naamanowi:

— Bóg każe ci zanurzyć się siedem razy w Jordanie, a zostaniesz uzdrowiony!

Potem drzwi domu się zamknęły, a Naaman stał osłupiały, zawiedziony i wściekły.

— Czy po to przebyłem całą tę długą drogę, abym miał się teraz zanurzać w wodach Jordanu? — zawołał. — Przecież to się na nic nie zda! Tyle razy już kąpałem się w rzekach mojego kraju i nic mi to nie pomogło. Ruszajmy z powrotem! Widzę, że pozostanę chory do samej śmierci!

Zawiedziony i zły zawrócił. Słudzy, również zawiedzeni, postępowali za nim. Bardzo kochali Naamana i gorąco życzyli mu powrotu do zdrowia. Teraz zaczęli go przekonywać:

— Czemu tak się denerwujesz? Nie chcesz uwierzyć prorokowi? Może jednak warto spróbować? Posłuchaj jego rady i zanurz się siedmiokrotnie w wodach Jordanu.

— Dobrze — zgodził się Naaman. — Mogę spróbować, choć nie sądzę, aby to coś pomogło.

Przybyli nad Jordan. Naaman zrzucił wspaniałe szaty i chwiejąc się na chorych nogach wszedł do wody. Potem zanurzył całe ciało raz, drugi, trzeci... Bez rezultatu. Zanurzał się jednak siedem razy z rzędu. Kiedy uczynił to po raz ostatni, wyskoczył z wody tańcząc i podskakując.

Gdzie się podziały jego plamy?

Znikły, zupełnie znikły! Miał znowu zdrowe ręce i nogi. Uleczone zostało całe ciało. Czyżby sprawiły to wody Jordanu? A może sprawił to Elizeusz? O nie! Naaman wiedział, że zawdzięcza to wyłącznie Bogu.

Żaden człowiek nie jest zdolny dokonać takiego cudu!

Jedynie Bóg może to uczynić!

Elizeusz był jednak sługą Bożym i na pewno modlił się za Naamana. Toteż Naaman pragnął natychmiast okazać mu swą wdzięczność. Spiesznie zawrócił do domu Elizeusza i złożył u stóp proroka złoto, srebro i wspaniałe szaty.

— Wybieraj, co chcesz! Bierz to, co najpiękniejsze! — wołał. — O Elizeuszu, jakże jestem szczęśliwy! Oddam ci wszystko, czego zapragniesz!

Lecz Elizeusz pokręcił odmownie głową:

— Nic nie chcę od ciebie. Nie mnie dziękuj, bo nie ja ciebie uzdrowiłem. Bóg to sprawił i Jemu winien jesteś wdzięczność!

Naaman odpowiedział:

— Złożę Bogu ofiarę. Będę Go kochał zawsze i nigdy o Nim nie zapomnę!

Potem kazał z powrotem załadować wszystkie prezenty na wóz i ruszył w drogę powrotną do swego kraju. Elizeusz też wrócił do siebie, ale jego sługa pozostał przed domem. Stał nie spuszczać oczu z odjeżdżających.

Ten sługa nazywał się Giezy. Gdy zobaczył wszystkie wspaniałe dary, zafundowało nim silne pragnienie ich posiadania. Chciał zdobyć pieniądze na kupno domu, pola, owiec, krów. Zapragnął stać się bogatym człowiekiem.

Giezy myślał sobie tak:

— Jaki ten prorok Elizeusz jest niemądry. Mógł mieć tyle złota i innych wspaniałych rzeczy, a nie przyjął niczego. Ja jednak chciałbym coś dostać. Elizeusz jest teraz w domu i nie zobaczy, co zrobię. Nie zwlekając puścił się pędem za wozem Naamana.

— Stójcie! Zatrzymajcie się! Poczekać! — wołał. Biegł za nim, wymachując rękami.

Wóz zatrzymał się. Naaman zeskoczył na ziemię i zapytał:

— Co się stało? Czy coś nie w porządku?

Co teraz Giezy powie? Musi skłamać, jeśli chce uzyskać to, czego pragnie. Skłamał więc.

— O panie — rzekł. — Elizeusz chce jednak otrzymać jakiś prezent. Najchętniej worek pełen złota i ze dwa piękne płaszcze. Właśnie przyszło do niego dwóch ludzi, których chciałby obdarować.

— Chętnie dam — odrzekł Naaman i wyciągnął dwa worki pełne pieniędzy oraz dwa płaszcze. Potem ruszył dalej w drogę.

A sługa, uszczęśliwiony, powrócił ze wspaniałymi darami. Był dumny ze swojej przebiegłości! Stał się bogaty i może sobie kupić, co zechce!

Zaczął od tego, że ukrył swój skarb, aby Elizeusz nie dowiedział się o tym, co zaszło. Potem wszedł do domu z niewinną miną.

Elizeusz zapytał:

— Skąd wracasz, Giezy?

Sługa przestraszył się. Co miał odpowiedzieć? Rad nierad, musiał kłamać dalej:

— Nigdzie nie chodziłem — odparł. Elizeusz ze smutkiem pokiwał głową i rzekł:

— Oj Giezy, Giezy, czy sądzisz, że nikt cię nie widział? Myślisz, że te pieniądze dadzą ci szczęście? Przeciwnie — sam sprowadziłeś na siebie nieszczęście! Naaman został uleczone, ale jego choroba przeszła na ciebie. Tak oto zostałeś ukarany za swój grzech!

Natychmiast na twarzy Giezego pojawiły się plamy, potem na rękach, nogach i na całym ciele. Był teraz tak samo chory jak Naaman.

Mógł sobie zatrzymać swoje złoto, nieszczęsny Giezy!

Był bogaty, miał pieniądze na kupno ziemi, domu, wszystkiego, co zechciał.

Ale na co mu to teraz?

Jest biednym nieszczęśnikiem, bo zapomniał o Bogu.

Zapomniał, że Bóg widzi wszystko.

Naaman zaś żył szczęśliwie i nigdy o Panu Bogu nie zapomniał.

A co się stało z tą małą dziewczynką, która udzieliła dobrej rady Naamanowi?

Z pewnością otrzymała jakiś piękny podarunek.

Myślę też, że pozwolono jej spotkać się z matką i ojcem.

A jak ty sądzisz?

JONASZ

Czy słyszałeś już kiedyś o Jonaszu? Jonasz był prorokiem, sługą Bożym, ale sługą nie bardzo posłusznym. Bóg polecił mu:

— Jonaszu, udasz się do wielkiego miasta Niniwy, ponieważ jego mieszkańcy robią wiele złych rzeczy. Powiesz im, że widzę ich złe czyny i że zostaną ukarani, jeżeli się nie poprawią!

Ale Jonasz pomyślał sobie:

— Nie zrobię tego! Nie pójdę do Niniwy. Skoro jej mieszkańcy źle postępują, to znaczy że są wrogami mego ludu. Nie pójdę nawracać wrogów!

I wyruszył wprawdzie w drogę, ale w zupełnie innym kierunku. Niniwa leżała na wschodzie, a on pomaszzerował na zachód. Uciekał przed Bogiem.

— Wyjadę daleko i skryję się tak, że Bóg mnie nie znajdzie! Wtedy nie będę musiał iść do Niniwy — rozmyślał.

Wędrował więc i wędrował, aż zaszedł nad brzeg morza. Tu musiał się zatrzymać.

Przy brzegu kołysał się statek, który za chwilę miał odpłynąć. Jonasz pomyślał:

— Wsiadę na statek i popłynę jeszcze dalej, wtedy Bóg mnie nie dosięgnie! Wsiadł więc, aby przepłynąć morze. Kapitan statku wyraził zgodę, Jonasz zapłacił za bilet i wypłynęli. Niebo było błękitne. Słońce mocno przygrzewało. Łagodne fale delikatnie uderzały o burtę. Płynęło się bardzo miło.

Jednak Jonasz nie odczuwał przyjemności podróży. Wolał nie przebywać na pokładzie, aby Pan Bóg go nie dojrzał. Bał się! Był bardzo zmęczony długą drogą. Wreszcie położył się na dnie statku i zasnął. Teraz nie czuł już ani lęku, ani zmęczenia.

Bóg jednak widział Jonasza, nawet ukrytego w ciemnym kącie na dnie statku. Mógł śledzić swego nieposłusznego sługę również na morzu.

I zesłał Bóg potężną burzę, i rozkazał wiatrowi, by wiał w stronę statku. Burza była posłuszniejsza od Jonasza. Nadciągnęły ciemne chmury zakrywając słońce. Wiatr powiał z wielką siłą, a fale waliły o statek. Łagodne dotąd fale zmieniły się w potężne bałwany, tak ogromne jak dom! Rzucały statkiem i wydawało się, że już, już roztrzaskają go w kawałki.

Trwoga padła na kapitana i marynarzy.

Tymczasem Jonasz spał sobie spokojnie pod pokładem statku. Jeden z marynarzy zbliżył się do niego, potrząsnął nim i zawołał:

— Zbudź się! Wstań i pomóż nam! Proś Boga, byśmy nie zatonęli!

Jonasz wybiegł na pokład. Zobaczył ciężkie chmury, ciemne niebo i szalejącą burzę. Zrozumiał, że Pan Bóg go odnalazł. Powiedział więc:

— Ja jestem winien tej burzy. Bóg zesłał ją, aby mnie ukarać za zły postępek. Okazałem nieposłuszeństwo. Miałem udać się na wschód, tymczasem poszedłem na zachód. Chciałem umknąć przed Bogiem, jakby to w ogóle było możliwe.

A potem dorzucił:

— Wrzucicie mnie do morza, abym poniósł karę, na jaką zasłużyłem. Bóg uciszy burzę i morze się uspokoi.

Marynarze nie chcieli się jednak na to zgodzić. Wiosłowali z całych sił, aby skierować statek w stronę lądu. Nie mogli jednak w żaden sposób dobić do brzegu. Nawałnica była zbyt gwałtowna, a morze burzyło się coraz groźniej. Marynarze nie mieli innego wyjścia, jak zrobić to, co im Jonasz powiedział. Pochwycili go i wrzucili do wody!

I wyobraź sobie, że gdy tylko Jonasz opuścił statek, burza ucichła.

Bóg natychmiast ją wstrzymał. Wiatr się uspokoił, fale przestały łomotać o burty, ciemne chmury rozpięzły się. wyrzało błękitne niebo i słońce. Statek mógł dalej płynąć spokojnie po gładkiej wodzie.

Marynarze, widząc to, mówili:

— Jakże potężny jest nasz Bóg! Nawet wiatr i morze są Mu posłuszne. My też pragniemy być Mu posłuszni.

A co się stało z Jonaszem? Czy utonął? Czy zginął?

Nie, nie zginął. Pan Bóg czuwał nad nim i posłał wielką rybę, która połknęła Jonasza. Tak więc prorok znalazł się teraz w brzuchu ogromnej ryby.

Było tam zupełnie ciemno i bardzo niewygodnie. Jonasz myślał jednak:

— Bóg widzi mnie nawet tutaj i na pewno słyszy.

I zaczął się Jonasz modlić; żałując bardzo swego nieposłuszeństwa.

Obiecywał:

— Odtąd będę już zawsze posłuszny! Bóg skierował rybę w stronę brzegu. Ryba wychyliła głowę z wody i wyrzuciła Jonasza na ląd. W taki oto sposób znalazł się Jonasz znowu w swoim kraju.

I rzekł Bóg ponownie:

— Jonaszu, udasz się do wielkiego miasta, Niniwy. Pouczę cię, co masz tam powiedzieć.

Tym razem Jonasz posłuchał od razu. Ruszył w drogę i po długiej podróży dotarł do wielkiego miasta. O czym ma tu mówić? Musi powiedzieć tak:

— Za czterdzieści dni Niniwa zostanie zburzona!

Dla Jonasza nie była to zła nowina. Miasto miało rozpaść się jak domek z kart i Jonasz życzył tego złym ludziom.

Szedł przez miasto i wołał:

— Za czterdzieści dni Niniwa zostanie zburzona!

Ludzie przerazili się, usłyszawszy tę wiadomość. Ich król przestraszył się także. Wszyscy dobrze wiedzieli, za co spotyka ich taka kara, bo wszyscy popełnili wiele zła.

Teraz żałowali za grzechy.

Król powiedział:

— Módlmy się i błagajmy Boga, aby nam jeszcze tym razem wybaczył i nie zsyłał tej kary. Odtąd niech nikt nie czyni nic złego! Zmieńmy całe nasze życie, odmieńmy nasze serca, wszyscy nawróćmy się!

Ludzie uczynili tak, jak im król rozkazał. Wszyscy zaczęli się modlić — mężczyźni, kobiety i dzieci! Nawet zwierzęta przyłączyły się do ludzi: owce pobekiwały, a krowy ryczały! Bóg słyszał to i zlitował się nad miastem. Wstrzymał karę.

Jonasz zamieszkał w pobliżu miasta na górze. Mieszkał sobie, czekając na zniszczenie miasta. Bardzo chciał zobaczyć, jak to będzie wyglądało. Mieszkańcy Niniwy byli jego wrogami i Jonasz nie miał dla nich litości. Cekał i cekał, a kara nie następowała. Wtedy w Jonaszu narastać począł gniew. Ale Pan Bóg postanowił go pouczyć, że tak nie wolno postępować...

I oto któreś nocy koło Jonasza wyrastać zaczęła wielka roślina. Rośla po prostu w oczach! Nie wiadomo kiedy stała się jak wielkie drzewo o gałęziach obsypanych liśćmi. W ich cieniu Jonasz rozłożył się za dnia wygodnie, zadowolony i wdzięczny za cudowną roślinę.

Lecz nazajutrz rano Bóg posłał robaka, który popodgryzał korzenie rośliny i drzewo uschło. Liście zwiędły i opadły. Jonasz został pozbawiony cienia. Słońce dotkliwie prażyło go w głowę. Teraz Jonasz znowu się rozgniewał. Był bardzo zły, że stracił swoje drzewo.

Wtedy Pan Bóg pokazał Jonaszowi, jaki był niemądry.

— Jonaszu — rzekł — użalas się nad drzewem, a nie możesz zrozumieć, że ja użaliłem się nad ludźmi w Niniwie, nad dziećmi i wszystkimi zwierzętami w mieście?

Jonasz zapewne zrozumiał swój błąd i pomyślał:

— Jaki ze mnie głupiec i złośnik. A Pan Bóg jest mądry i dobry: opiekuje się wszystkim, co żyje, kocha ludzi, a nawet zwierzęta!

EZECHIASZ — POBOŻNY KRÓL

Książę Ezechiasz był młodym człowiekiem kochającym Boga.

Po śmierci swego ojca został królem, władcą ludu Bożego.

Jednak lud ten znowu zapomniał o Bogu — wszędzie stawiał figury bożków i oddawał im cześć. Całkiem nie pamiętał już o Bogu! Zapomniał także o domu Bożym, o świątyni w Jerozolimie, zbudowanej przez Salomona. Nikt nie przychodził tu się modlić ani składać ofiar. Żli ludzie zabili drzwi od świątyni, aby nikt nie mógł dostać się do środka.

Biedny lud. Mógł być taki szczęśliwy, a teraz spadały na niego same nieszczęścia! Co roku wrogowie napadali na kraj, plądrując i rabując wszystko, co się dało. To była kara Boża za to, że lud zapomniał o Panu Bogu.

Ezechiasz postanowił:

— Tak dłużej być nie może! Mój lud musi powrócić do Boga. Musi stać się znowu ludem Bożym. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby do tego doprowadzić!

I Ezechiasz wziął się do dzieła. Zburzył wszystkie figury, jakie tylko były w kraju, kazał otworzyć świątynię i od nowa ją ozdobić. Potem rozesłał po całym kraju swych ludzi, by zwołali lud do Jerozolimy.

— Teraz wszyscy razem złożymy ofiary w tej pięknej świątyni i wszyscy wspólnie będziemy błagali Boga, aby wam darował grzechy — powiedział. Lud uczynił tak, jak mu król rozkazał. Wszyscy wspólnie obchodzili wielką uroczystość.

Odtąd nastał dobry okres w życiu ludu izraelskiego. Dzięki temu, że zwrócił się do Boga i znów oddawał Mu cześć, stał się potężny i szczęśliwy. Znowu był ludem Bożym. Już go nie nękali wrogowie, gdyż Ezechiasz przepędził ich na dobre.

Lecz Ezechiasz nie był jeszcze zadowolony ze swego dzieła. Miał przed sobą wiele do zrobienia. Chciał, aby lud naprawdę gorąco kochał Pana Boga. Wokół było jeszcze wielu nieprzyjaciół, z którymi trzeba było walczyć, a Ezechiasz pragnął, aby nic nie zagrażało szczęściu i potędze jego narodu.

Lecz oto nagle, w czasie swej działalności, król ciężko zachorował. Leżał w łóżku i wdychał:

— Żebym mógł chociaż prędko wyzdrowieć!

W tej samej chwili otworzyły się drzwi jego komnaty...

Wszedł Izajasz, prorok, sługa Boży. Przybył tu, aby powiedzieć coś królowi, a była to wieść bardzo smutna:

— Królu — rzekł — pożegnaj się z rodziną i przyjaciółmi, gdyż wkrótce umrzesz!

Ezechiasz był głęboko poruszony. Nie bał się śmierci. Kochał Pana Boga i wiedział, że pójdzie do nieba. Miał jednak jeszcze tyle do zrobienia tu, na ziemi, dla swego ludu. Jego wielkie dzieło nie było skończone!

Po wypowiedzeniu swego posłannictwa Izajasz wyszedł. Wtedy Ezechiasz odwrócił się do ściany i zaczął płakać ze zmartwienia. Cała poduszka była mokra od łez.

— O Boże — jęczał — pozwól mi jeszcze trochę pożyć! Daj mi jeszcze popracować dla mego narodu! Tak bardzo chciałbym go widzieć naprawdę silnym i szczęśliwym...

Modlitwa jego dotarła do nieba. I wyobraź sobie, że w chwilę później drzwi komnaty otworzyły się ponownie.

Znowu wszedł Izajasz.

Tym razem przychodził z dobrą nowiną.

— Postępujaj mnie, królu — rzeki. — Tak mówi Bóg: — Wysłuchałem twej modlitwy i widziałem twe łzy. Uzdrowię cię. Będziesz żył jeszcze długo, około piętnastu lat. A ja wspomogę cię przeciwko nieprzyjaciołom twoim. Ezechiasz nie wierzył własnym uszom. Co za radosna nowina! Przyjął ją, ponieważ pochodziła od samego Boga. W trzy dni później król wyzdrowiał. Wiesz, gdzie skierował swe pierwsze kroki?

Do świątyni, do domu Bożego.

Bóg uczynił ten wielki cud ze swej łaski, więc Ezechiasz pragnął Mu za to podziękować.

W kilka lat później Bóg dokonał dla niego jeszcze większego cudu.

Nieprzyjaciół ludu izraelskiego — obcy król z wielką armią — napadł na kraj. Chciał zdobyć Jerozolimę, wszystko zrabować lub zniszczyć, a Ezechiasza uwięzić. Jerozolimę otaczały jednak grube mury, przez które nietatwo było wrogom przedrzeć się do środka. W murach były wprawdzie bramy, lecz ludzie prędko je zaryglowali. Wróg nie mógł wejść do miasta. Mimo to nie odszedł. Otoczył miasto ze wszystkich stron i czekał. Wskutek tego nikt nie mógł wyjść z miasta ani przynieść żywności do miasta. Było wprawdzie trochę zapasów, lecz te wkrótce się wyczerpią. Wtedy oblężeni zaczną głodować i będą zmuszeni do otwarcia bram.

Bardzo się bali mieszkańcy Jerozolimy. Ezechiasz bał się także.

— Jedyna nasza nadzieja w Bogu — pomyślał i poszedł do świątyni, aby modlić się o ratunek.

I gdy się modlił, ujrzał wchodzącego Izajasza, który tak do niego przemówił:

— Nie lękaj się, bo Bóg rzekł: — Pomogę ci, a obcy król nie wejdzie do miasta.

I stało się, że wrogi król napisał do Ezechiasza list pełen obelg: — „Nie lódź się — pisał — że twój Bóg ci pomoże. Twój Bóg nie jest do niczego zdolny, ja jestem o wiele od Niego potężniejszy. Nie daj się dłużej zwodzić twemu Bogu”.

Wiesz, co Ezechiasz zrobił z tym listem?

Zaniósł go i złożył w świątyni myśląc, że Bóg przeczyta list i sam odpowie na bluźnierstwa.

I Bóg rzeczywiście tak uczynił.

Gdy noc zapadła, anioł zagłady zstąpił z nieba i wszedł do obozu nieprzyjaciół, niosąc odpowiedź na bezbożny list.

Była to straszna kara. Gdy zaświtał ranek, wojsko nieprzyjacielskie, ze swym królem na czele, leżało pokotem na ziemi. Ci zaś nieliczni, którzy przeżyli, przerażeni okropnym widokiem, w popłochu uciekali do swego kraju. Nigdy już nie ośmielili się powrócić, tak bowiem lękali się Boga Ezechiasza.

Póki żył Ezechiasz, nieprzyjaciele nie napadali więcej na kraj, a lud izraelski żył spokojnie i szczęśliwie.

W ZIEMI BABILOŃSKIEJ

Czy pamiętasz jeszcze Ezechiasza? To był ten król, który kochał Boga i starał się, by lud izraelski był szczęśliwy i potężny. To były wspaniałe czasy!

Lecz po śmierci Ezechiasza wszystko zmieniło się na gorsze. Na tronie zasiadali nowi królowie, a ci nie kochali Boga, lecz oddawali cześć bożkom. Lud szedł za ich przykładem, zapominając całkiem o Bogu.

Bóg okazywał swemu ludowi wiele cierpliwości, tyle razy go ostrzegał i tyle mu darował! A jednak lud izraelski nie chciał być Mu posłuszny i ściągnął na siebie surową karę.

Obce wojska znów najechały Kanaan. Zniszczyły Jerozolimę i spaliły świątynię. Wszystkich mieszkańców uprowadzono do obcego kraju, gdzie jako niewolnicy ciężko pracowali dla tamtego króla. Trwało tak bardzo długo, aż minął gniew Boży.

Ten obcy kraj nazywał się Babilon. Panował w nim król Nabuchodonozor.

Był on bardzo bogatym, potężnym władcą. Rządził prawie połową świata. Mieszkał w pięknym pałacu i posiadał tłumy służących. Nie byli to jednak zwykli słudzy: jemu służyli wyłącznie książęta. Był tak wielkim panem, że chciał mieć służących spośród szlachetnie urodzonych. Służyło mu również czterech książąt izraelskich. Jeden z nich nosił imię Daniel. Nie było łatwo i bezpiecznie być sługą Nabuchodonozora, gdyż ten dumny i wymagający władca — jeżeli tylko słudze zdarzyło się zrobić coś niewłaściwego — natychmiast kazał ścinać mu głowę.

Ani Daniel, ani jego trzech towarzysze nie bali się jednak. Kochali Pana Boga i mówili:

— Bóg czuwa nad nami!

Pewnej nocy, gdy wszyscy spali, król Nabuchodonozor miał dziwny sen. Zbudził się tak przerażony, że za nic nie mógł sobie przypomnieć, co też mu się śniło. Serce waliło mu ze strachu i już nie zasnął. Był pewny, że jego sen coś oznacza!

Kazał więc przywołać sługi, a także różnych uczonych i wróżbitów, którzy czytali wiele grubych ksiąg i powinni wszystko wiedzieć. Gdy już zgromadzili się przed nim, król powiedział:

— Miałem sen i chcę wiedzieć, co on oznacza.

Uczeni nisko się skłonili i rzekli: — Opowiedz nam, panie, swój sen, a wyjaśnimy ci, co on oznacza.

Lecz król odpowiedział:

— Nie! To wy musicie opowiedzieć mi mój sen. Jeżeli to się wam uda, dostaniecie dużo pieniędzy, jeżeli zaś nie odgadniecie, każę pościnać wam głowy!

Uczeni przerażili się.

— Ależ królu, skąd możemy wiedzieć, co ci się śniło? Nikt na świecie nie umie tego powiedzieć.

Wtedy król wpadł w gniew i krzyknął:

— Jesteście kłamcami! Twierdzicie, że wiecie wszystko, a okazuje się, że nie wiecie nic!

Przywołał żołnierzy i wydał rozkaz, aby ścięli głowy wszystkim uczonym w całym kraju. Żołnierze rozbiegli się na wszystkie strony, uzbrojeni w ostre miecze...

Przybyli także do Daniela, który wraz z trzema przyjaciółmi służył Nabuchodonozorowi. Oni też mieli zostać zabici.

Lecz Daniel poszedł do króla i rzekł:

— Czy mógłbyś, królu, poczekać do jutra? Wtedy zapewne będę mógł powiedzieć, co ci się śniło.

Król się zgodził, a Daniel wrócił do swych przyjaciół.

— Jedynie Bóg wie, co się śniło królowi. Prośmy Go, aby zechciał nam to wyjawić — rzekł do nich. Przyjaciele uczynili tak, jak Daniel powiedział. W nocy Danielowi przyśnił się ten sam sen, jaki miał Nabuchodonozor, a Bóg mu wyjaśnił, co ten sen oznacza.

Uszczęśliwiony Daniel podziękował Bogu i pośpieszył do pałacu.

Król zapytał:

— Czy możesz mi dokładnie opowiedzieć mój sen?

— Nie, królu — odparł Daniel. — Ja tego uczynić nie mogę. Żaden człowiek nie jest zdolny do takich rzeczy. Lecz Bóg, który jest w niebie, wie wszystko. On mi wyjawiał, co ci się śniło.

Następnie opowiedział cały sen:

— Widziałeś, panie, wielki posąg i jego ogrom budził w tobie lęk. Posąg miał głowę ze złota, pierś ze srebra, brzuch ze skóry, a nogi z gliny i żelaza. Tuż obok niego wyrastała góra. Z niej potoczył się głaz, uderzył w nogi posągu, wyrócił go i zniszczył całkowicie. Nic z posągu nie zostało! A kamień rósł, rósł, aż w końcu stał się tak wielki, że pokrył całą ziemię.

— Oto, królu, cały twój sen. Czy chcesz wiedzieć, co on znaczy?

Tak jak głaz okazał się silniejszy od ogromnego posągu, tak Bóg jest mocniejszy od wszystkich królestw tego świata. Oto, co oznacza twój sen.

Król Nabuchodonozor miał bardzo zdziwioną minę. Wszystko ożyło w jego pamięci: toż to naprawdę jego sen!

— Ach, Danielu — wykrzyknął — jakże potężny jest twój Bóg!

I obdarował król Daniela różnymi cennymi przedmiotami, i postanowił mianować go pierwszym sługą, zwierzchnikiem wszystkich innych sług.

Trzej przyjaciele Daniela także otrzymali ważne stanowiska.

Kochali Boga i dlatego On zatroszczył się o nich.

W PIECU OGNISTYM

Trzej przyjaciele Daniela nie bali się niczego, nawet króla, mimo że był srogi i pyszny.

Wiedzieli, że Bóg ich kocha i czuwa nad nimi.

Kiedy Pan Bóg jest z tobą, i ty możesz się niczego nie lękać!

Pewnego dnia król Nabuchodonozor kazał zrobić ogromny posąg, prawie tak wielki, jak ten, który mu się przyśnił, cały ze złota. W pobliżu bożka kazał zbudować piec, wielki piec z kamienia, w którym rozpalono ogromny ogień.

Potem zawezwał wszystkich uczonych, którzy mu służyli, a było ich w kraju około tysiąca, i rzekł do nich:

— Słuchajcie, co wam powiem. Wkrótce zagra muzyka, a wtedy wszyscy uklękniecie przed figurą, którą kazałem zbudować. Czyście mnie dobrze zrozumieli? Każdy musi uklęknąć przed posągiem i oddać mu cześć. Kto tego nie robi, zostanie wtrącony do pieca ognistego.

Nikt nie ośmielił się odezwać. Słychać było tylko syk płomieni z ogromnego paleniska. Dym unosił się w górę wielką, czarną chmurą. Na wszystkich padł strach. Gdy muzyka zagrała, uczeni zrobili tak, jak im król rozkazał: padli na kolana i oddali cześć figurze.

Wszyscy uczeni tak postąpili z wyjątkiem przyjaciół Dawida. Ci trzej młodzi ludzie stali nieporuszeni. Nie uklękli.

Natychmiast przyprowadzono ich przed króla.

Władca był wściekły.

— Czy uczyniliście to umyślnie? — zapytał. — Jeszcze raz poddam was próbie i jeżeli tym razem też nie uklękniecie, każę wtrącić wszystkich trzech do płonącego pieca. Nic wam już nie pomoże. Spłoniecie żywcem.

Lecz trzech przyjaciele odrzekli:

— Panie, nie uklękniemy przed posągami, gdyż zabrania nam tego nasz Bóg. Jeżeli wtrącis nas w ogień. On przyjdzie nam z pomocą.

Wtedy król rozgniewał się jeszcze bardziej. Zrobił się purpurowy ze złości i kazał zwiększyć ogień siedmiokrotnie. Potem przywołał najsilniejszych spośród żołnierzy i wydał rozkaz, aby wrzucili trzech przyjaciół do płonącego pieca.

Żołnierze wykonali rozkaz, ale sami padli martwi, bo od ognia bił tak straszliwy żar!

Król wcale się nie przejął, nawet nie spojrzął na swych żołnierzy, za to nie spuszczał oczu z tych trzech ludzi, których kazał wrzucić do pieca.

Nagle zdjęto go przerażenie!

Zapytał sługi:

— Czy trzech ludzi wrzucono w ogień?

— Oczywiście — odpowiedzieli.

— Ależ ja widzę teraz czterech! Liczcie! Jeden, drugi, trzeci, czwarty. Chodzą tam i z powrotem pośród ognia. Ten czwarty chyba nie jest człowiekiem? Tak, to anioł...

Król zbliżył się nieco do pieca i zawołał:

— Wychodźcie już stąd! Już się na was nie gniewam!

Trzej przyjaciele usłuchali. Przeszli przez płomienie, jak gdyby wcale nie parzyły, i stanęli przed królem. Anioła wśród nich nie było. Wrócił do nieba, skąd zstąpił, aby ich chronić. Nawet jeden włos nie spłonął na ich głowach ani ich szat nie tknęła ogień. Trzej przyjaciele zaufali Bogu i Bóg ich ocalił od śmierci!

W taki to sposób pyszny król dowiedział się, że w niebie istnieje Ktoś o wiele potężniejszy od wszystkich królów ziemskich!

DANIEL WŚRÓD LWÓW

Daniel był już starym człowiekiem. Włosy i broda całkiem mu zbielały. Nadal mieszkał z dala od Jerozolimy i był sługą królewskim. Teraz panował król Dariusz. Nabuchodonozor nie żył od dawna.

Król Dariusz ogromnie cenił Daniela. Często powtarzał:

— Daniel jest najlepszym moim sługą: Uczynię go namiestnikiem i wyznaczę mu najwyższą godność. Będzie zarządzał całym moim królestwem i wszystkimi sługami.

Gdy to usłyszeli inni, ogarnęła ich zazdrość.

— Czemu to Daniel ma być od nas ważniejszy? — mówili między sobą. — Nie dopuścimy do tego, by miał nami rządzić. Niech tylko zrobi coś niewłaściwego, a zaraz doniesiemy o tym królowi. Niech straci do niego zaufanie.

I śledzili Daniela dniem i nocą. On jednak nie czynił nic takiego, za co można by go było oskarżyć. Wykonywał swą pracę jak najlepiej.

Trzy razy dziennie Daniel modlił się. Klękał wtedy w swym pokoju przy oknie, zwracając twarz ku Jerozolimie. W tym mieście, daleko stąd, znajdowała się kiedyś przepiękna świątynia, którą spalono. Gdy jednak czas kary minie, lud wróci tam znowu i odbuduje swoją świątynię. Daniel modlił się, mówiąc: — O Boże, pozwól memu ludowi powrócić do jego ziemi! Spoglądał wtedy w stronę dalekiej Jerozolimy.

Daniel nigdy nie zaniedbywał modlitwy. Robił to zawsze trzy razy dziennie. Inni słudzy podpatrzyli go i wymyślili sposób, by sprowadzić na niego nieszczęście i nie dopuścić do tego, by stał się ich panem.

Udali się do króla, nisko mu się pokłonili, bardzo grzeczni i mili.

— Mamy, królu, dobrą myśl — powiedzieli. — Zapowiedz ludziom, aby przez cały miesiąc nie modlili się do nikogo innego oprócz ciebie. Niech nie oddają czci żadnemu innemu człowiekowi ani Bogu, tylko tobie. Ty bowiem jesteś naszym wszechmocnym królem.

Bardzo to się spodobało królowi:

— To doskonały pomysł — powiedział.

A kto okaże się nieposłuszny — dorzucili podstępni ludzie — ten zostanie wtrącony do głębokiego dołu z lwami.

— Tak się stanie — odparł król.

Wiść o tym rozeszła się po całym kraju. Zawiadomiono wszystkich, że przez cały miesiąc nikomu nie wolno modlić się ani prosić o cokolwiek nikogo innego, jak tylko króla. Wszyscy słyszeli rozkaz. Daniel także. Domyślił się łatwo, co się za tym kryje. Wiedział, że to dzieło jego nieprzyjaciół, którzy chcą go wtrącić w nieszczęście.

Jak miał teraz postąpić?

Bóg rozkazał, aby wszyscy, którzy Go kochają, modlili się do Niego.

Król tego zabronił.

Komu miał być posłuszny Daniel? Oczywiście, że Bogu.

Klękał więc, mimo zakazu, trzy razy dziennie przed otwartym oknem.

A wrogowie czyhali na ulicy. Kiedy podpatrzyli, że Daniel mimo wszystko się modli, znów poszli do króla i powiedzieli:

— Panie, czy pamiętasz, że zabroniłeś modlić się w ciągu całego miesiąca do kogokolwiek innego poza tobą?

— Tak, zabroniłem tego.

— I powiedziałaś, że tego, kto okaże się nieposłuszny, wrzucisz do dołu z lwami?

— Tak — odparł król. — I tak się stanie.

— A więc, królu! — wykrzyknęli. — Daniel powinien znaleźć się w dole z lwami, okazał bowiem nieposłuszeństwo. Modli się do Boga trzy razy dziennie!

Wtedy król bardzo się zasmucił. Zrozumiał, jak podstępni są ci ludzie.

— Nie! — zawołał. — Nie chcę karać Daniela!

Lecz ludzie powiedzieli:

— Skoro zapowiedziałaś, panie, musisz to wykonać.

W tym kraju panował taki zwyczaj, że jeżeli król wydał jakieś zarządzenie, musiał potem zgodnie z nim postąpić, choćby nawet zmienić zdanie.

Teraz chciał pomóc Danielowi, lecz był bezsilny. Toteż gdy zapadł wieczór, zawleczono Daniela do dołu z lwami.

Król ze smutkiem zwrócił się do niego:

— Nie mogą ci nic pomóc, ale mam nadzieję, że twój Bóg ci pomoże.

Potem wrzucono Daniela do dołu.

Noc zapadła, lecz król nie zasypiał. Bardzo się martwił i bez przerwy myślał o Danielu. Czy Bóg przyjdzie mu z pomocą?

Nazajutrz król wstał wcześnie rano i z bijącym sercem pobiegł do dołu z lwami.

— Danielu! Danielu! — zawołał. — Czy Bóg przyszedł ci z pomocą?

I nagle... Król miał ochotę skakać z radości! Z głębokiego dołu rozległ się głos:

— Tak, królu. Bóg mnie ocalił. Zesłał anioła, który powstrzymał lwy, by nie zrobiły mi nic złego, gdyż i ja nic złego nie uczyniłem.

Król ogromnie się ucieszył!

— Natychmiast wyciągnijcie Daniela z dołu — rozkazał.

Ludzie zbliżyli się z grubym sznurem i wkrótce ukazał się Daniel cały i zdrowy. Spędził całą noc wśród dzikich lwów, a jednak nie uczyniły mu krzywdy. To był cud!

Król cieszył się, że ma Daniela znowu przy sobie.

A złych ludzi, którzy tak podstępnie czyhali na życie Daniela, kazał żołnierzom wrzucić do tego samego dołu z lwami. Ale żaden anioł nie przyszedł im z pomocą i zginęli rozszarpani przez lwy.

Daniel zaś został najważniejszą służbą króla i najwyższą osobistością w kraju.

Król rozkazał, by wszyscy mieszkańcy państwa służyli Bogu Daniela.

ZBAWICIEL NADCHODZI...

Długo jeszcze pozostawał lud izraelski w niewoli babilońskiej i pracował dla obcego władcy. Ludzie tęsknili za swym pięknym krajem, ale nie wolno im było do niego wrócić. Byli więźniami na cudzej ziemi.

Zapomnieli o Bogu, czcili bożki, a teraz ponosili za to karę.

Ułynęło jeszcze wiele długich lat zanim czas kary minął.

Wtedy Izraelici mogli znów wrócić do Kanaanu.

Jakże byli szczęśliwi! Długim pochodem ruszyli w drogę i po dalekiej podróży dotarli do swej ziemi.

Zastali wszystko w gruzach.

Domy popalone.

Mury otaczające Jerozolimę — rozwalone.

Piękna świątynia Salomona spalona i zburzona. Nie pozostał nawet kamień na kamieniu!

Lud zabrał się do pracy. Odbudował domy i świątynię. Otoczył nowymi murami Jerozolimę. A gdy ukończył dzieło, zamieszkał w kraju szczęśliwy jak nigdy dotąd.

Teraz postanowił już zawsze pamiętać o Bogu i nigdy nie kłaniać się bożkom. Wyłącznie Jemu oddawał cześć i składał ofiary.

Czytywał także księgi Boże.

W tych księgach znajdowały się wszystkie te piękne historie, które właśnie poznałeś: o Adamie i Ewie, a także o Abrahamie, Dawidzie i prorokach.

Wiesz, o czym było tam jeszcze napisane?

O tym, że pewnego dnia wydarzy się coś cudownego!

Bóg obiecał to dawno temu, jeszcze Ewie i Adamowi, potem Abrahamowi, a także Dawidowi. Wielokrotnie ponawiał swą obietnicę, ale dotąd się nie spełniła.

Czy pamiętasz, co Pan Bóg obiecał?

Pewnego dnia przyjdzie na świat Dziecko, które przyniesie ludziom prawdziwe szczęście.

To dziecko będzie Zbawicielem.

Ludzie czekali na Zbawiciela od dawna. On jednak nie nadchodził. Lecz ludzie wiedzieli, że na pewno przyjdzie, skoro Bóg to obiecał.

Bóg zawsze dotrzymuje obietnic.

Księgi Boże wiele mówiły o Zbawicielu.

Miał się narodzić w Betlejem, w mieście Dawida.

Gdy dorośnie, stanie się królem nie tylko Izraela, ale całego świata.

Księgi Boże nie zapowiadały jednak, kiedy to nastąpi.

Ludzie czekali i czekali, a Zbawca wciąż nie nadchodził.

Tymczasem, wiesz, kto się zjawił?

Rzymianie!

Byli to wrogowie ludu izraelskiego. Zdobyli cały kraj i surowo rządili podbitym ludem. Więc teraz jeszcze bardziej ludzie wyglądali Zbawiciela.
— Oby się już narodził! — wzdychali. Chodzili do świątyni i tak się tam modlili:
— Panie Boże, zechciej zesać nam Zbawiciela!

W końcu — po długim, długim oczekiwaniu — Zbawca nadchodzi.
Narodzi się w Betlejem, u- mieście Dawida, zgodnie z tym, co zapowiadały księgi Boże.
Czy znasz Jego imię?
Tak, to Jezus!

NOWY TESTAMENT

O CZŁOWIEKU, KTÓRY OTRZYMAŁ DOBRĄ WIADOMOŚĆ

Daleko w górach, w małym domku mieszkało dwoje staruszków. Kobiecie było na imię Elżbieta, mężczyźnie — Zachariasz. Zachariasz był kapłanem. Jego służba polegała na tym, że opowiadał ludziom o Bogu, modlił się w ich imieniu oraz składał ofiary. Oboje staruszkowie byli bardzo dobrzy i bardzo kochali Pana Boga, toteż czuli się szczęśliwi. Czasami tylko robiło im się trochę smutno, bo byli samotni w swoim cichym domku. Bardzo pragnęli mieć dzieci, ale niestety, nigdy ich nie posiadali.

Kiedyś, gdy jeszcze byli młodzi, modlili się często o dziecko. Czekali na nie długo i bezskutecznie. Ludzie mówili, że Bóg nie wysłuchał ich modlitwy.

Teraz byli już oboje bardzo starzy i nie wierzyli, aby mogło im się urodzić dziecko; już na to nie liczyli. Przecież tacy starzy ludzie jak oni nie miewają dzieci.

Pewnego dnia Zachariasz musiał na pewien czas opuścić dom. Udawał się do Jerozolimy, aby tam składać ofiary. Jerozolima była wielkim miastem, największym w całym kraju. Zachariasz włożył swoją najlepszą szatę — białą tunikę, jaką nosili kapłani. Ucałował Elżbietę i wyruszył z domu.

Czekała go długa droga. Kiedy stanął w końcu na szczycie wysokiego wzgórza, ujrzał u swych stóp całe miasto: mnóstwo białych domów i pałaców. W samym środku znajdował się budynek wyjątkowo duży, o wiele większy od innych. Był biały tak jak pozostałe, ale pokrywał go dach cały ze złota, wspaniale błyszczący w słońcu!

To właśnie była świątynia, dom Boży. Ze wszystkich krajów przybywali tu ludzie, aby składać ofiary. Do tego domu skierował się Zachariasz. Przed świątynią znajdował się rozległy plac, nazywany dziedzińcem. Ludzie przynosili tu ofiary. Kupowali baranka i dawali go kapłanom, a kapłani składali ofiarę całopalenia. Dym ze składanej ofiary unosił się w górę, co oznaczało, że ludzie mówią Bogu:

— Panie, kochamy Ciebie i dlatego pragniemy Ci coś ofiarować!

I Pan Bóg rozumiał.

Również wewnątrz świątyni składano ofiary. Ale kto miał prawo tam wejść? Wyłącznie jeden z kapłanów. Ponieważ pragnął tego każdy, musieli między sobą ciągnąć losy. Czy wiesz, na kogo padł los tym razem? Tak, na Zachariasza.

Wszyscy ludzie pozostali na zewnątrz, a tylko on jeden, otoczony powszechnym szacunkiem, wstąpił do domu Bożego.

Znalazł się w ogromnej sali o złożonych ścianach. Oświetlało ją siedem złotych lamp, a ściany też jaśniały jak lampy. Panowała głęboka cisza. Zachariasz był zupełnie sam.

Nadszedł moment składania ofiary. W świątyni znajdowała się złota kadzielnica, napełniona żarzącym się węglem. Zachariasz rzucił małe ziarenka kadzidła na rozżarzone węgielki. Rozszedł się piękny zapach. Zachariasz składał ofiarę z wonności. Sam w świątyni, zajęty składaniem ofiary, Zachariasz modlił się cicho w imieniu tych ludzi, którzy zostali na zewnątrz.

Nagle, przerażony, przerwał modlitwę, bo poczuł, że już nie jest sam! Ktoś stał koło niego, odziany w białą tunikę podobną do jego własnej. Ale nie był to żaden z kapłanów, lecz sam anioł, który zstąpił z nieba. Zachariasz cofnął się, drżąc na całym ciele. Wtedy anioł przemówił do niego:

— Nie bój się, Zachariaszu. Przybyłem, aby ci przynieść dobrą wiadomość. Modlitwa twoja została wysłuchana i żona twoja, Elżbieta, będzie miała syna, któremu dasz imię Jan. Wyglądało na to, że Zachariasz nic nie zrozumiał, bo wcale nie wyglądał na uszczęśliwionego. Nadal stał na uboczu i tylko kręcił głową z powątpiewaniem, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał.

Czyżby jego modlitwa o dziecko, tyle razy zanoszona do Boga, została nareszcie wysłuchana? Ta modlitwa, o której on sam już prawie zapomniał? To niemożliwe! Przecież taka stara kobieta jak Elżbieta nie może mieć dziecka...

— To dziecko będzie błogostawieństwem dla ciebie, i nie tylko dla ciebie, lecz również dla wielu innych ludzi. Będzie ono sługą Boga, a gdy dorośnie, zapowiadać będzie ludziom bliskie przyjście Zbawiciela.

Anioł z pewnością myślał, że Zachariasz się ucieszy. Od tak dawna przecież oczekiwano przyjścia Zbawiciela! Ale Zachariasz nadal kręcił głową z niedowierzaniem. Nie mógł uwierzyć w to, co powiedział anioł.

— Nie — odrzekł — to niemożliwe. Jestem już stary i moja żona też jest stara. Jakże mógłbym uwierzyć, że będziemy mieli dziecko! Przecież musiałby to być chyba cud!

Ale anioł odpowiedział mu:

— Czyż nie wiesz, kim jestem, Zachariaszu? Jestem aniołem Gabrielem, mieszkającym w niebie, blisko Boga. To sam Bóg mnie posłał, abym ci to wszystko powiedział. Czy nie wierzysz Bogu? Skoro tak, to przekonasz się, że Bóg może czynić cuda. Od tej chwili zaniemówisz, ponieważ mi nie uwierzyłeś, i nie wypowiesz słowa aż do dnia, kiedy spełni się to, co ci zapowiedziałem.

Powiedziawszy to, anioł zniknął i Zachariasz został sam.

Tymczasem ludzie stojący na dziedzińcu przed świątynią czekali na niego i zastanawiali się, czemu ten stary kapłan tak długo nie wychodzi. Nareszcie go ujrzeli. Spodziewali się, że teraz usłyszą słowa:

— Niechaj Pan was błogostawi! — bo tak zawsze mówili kapłani wychodząc ze świątyni.

Ale Zachariasz nic nie powiedział. Nie mógł mówić: już był niemy. Ludzie dopytywali się:

— Co mu się stało? Co on tam zobaczył w świątyni?

Ale Zachariasz nie mógł nic odpowiedzieć. Skończył swoje obowiązki w świątyni i wracał do domu. Śpieszył się bardzo, aby jak najprędzej żona dowiedziała się, że Bóg wysłuchał ich modlitwy.

O tak, teraz Zachariasz już wierzył. Nawet gdyby chciał powiedzieć: „To niemożliwe” — i tak by nie mógł: był przecież niemy. Wiedział, że Bóg może czynić cuda. Czuł się bardzo szczęśliwy i chciał mu się śpiewać z radości, ale teraz śpiewać też nie mógł.

Gdy tylko przyszedł do domu, wziął zaraz małą tabliczkę i opisał na niej wszystko, co się wydarzyło, a kiedy Elżbieta to przeczytała, ogromnie się ucieszyła.

— Jego imię będzie Jan — napisane było na tabliczce.

Jan...

Czy wiesz, co to imię oznacza? Oznacza ono: Bóg jest łaskawy. Takiego imienia nie dawano często dzieciom w tamtych czasach.

W niecały rok później wydarzył się cud. Zachariaszowi i Elżbiecie urodziło się dziecko, chłopczyk.

Na wieść o tym sąsiedzi i znajomi ogromnie się ucieszyli, a gdy dziecko skończyło osiem dni, przyszli w odwiedziny. Ósmego dnia urządzano uroczystość nadania dziecku imienia. Wszyscy myśleli, że chłopczyk otrzyma imię Zachariasz, po swym ojcu, ale Elżbieta powiedziała:

— Będzie się nazywał Jan.

— Jan? — zdziwili się. — To chyba niemożliwe! Takie dziwne imię! Zapytajmy ojca, co o tym myśli.

Zapytano więc Zachariasza:

— Jak chcesz nazwać dziecko?

Zachariasz nadal jednak nie mógł mówić. Poprosił więc o tabliczkę i napisał na niej:

— Jego imię: Jan.

Ludzie kręcili głowami ze zdumienia. Lecz oto nagle Zachariasz przemówił, bo spełniło się to, co zapowiedział anioł.

— Tak — powtórzył głośno — dajcie mu na imię Jan, ponieważ Bóg okazał łaskę.

Po tych słowach zaczął śpiewać ułożoną przez siebie pieśń ku chwale Bożej. Ludzie myśleli sobie:

— Jakże dziwnie wszystko zaczyna się z tym dzieckiem! Na pewno nie będzie to zwyczajne dziecko, takie jak inne. I wszędzie, dokądkolwiek się udawali, opowiadali o Zachariaszu, Elźbiecie i ich małym chłopczyku, któremu dano na imię Jan.

ANIOŁ ODWIEDZA MARIĘ

Czy przypominasz sobie starego Zachariasza, któremu anioł przyniósł do świątyni dobrą wiadomość? Był to anioł Gabriel, mieszkający w niebie, blisko Boga.

Pewnego dnia Bóg wysłał go znowu na ziemię z dobrą wiadomością. Tym razem już nie do wielkiego miasta Jerozolimy, lecz do małego miasteczka przy samej granicy państwa. Miasteczko to nazywało się Nazaret. Tam właśnie, do małego domku przyniósł anioł najwspanialszą z nowin, jakie kiedykolwiek zanosił na ziemię. W tym małym domku mieszkała dziewczyna, która miała na imię Maria. Właściwie powinna była mieszkać w pałacu, bo była księżniczką, pochodziła bowiem z rodziny dawnego króla Dawida. W Nazarecie jednak prawie nikt o tym nie wiedział.

W sąsiedztwie Marii mieszkał pewien cieśla, Józef. On także był księciem i pochodził z rodziny Dawida. Jednak i o nim mało kto wiedział, bo był biedny, podobnie jak Maria. Musiał ciężko pracować, by zarobić na chleb. Józef i Maria bardzo się kochali. Niedługo miał się odbyć ich ślub, po którym oboje mieli zamieszkać razem, ale nie w pałacu, tylko w skromnym domu Józefa.

Stał wprawdzie w tym kraju wspaniały pałac w Jerozolimie, lecz mieszkał w nim cudzoziemiec, zły król Herod, a cały kraj zajmowały cudzoziemskie wojska rzymskie. Żołnierze byli bardzo okrutni dla miejscowej ludności. Czasy nastały ciężkie i ludzie nie czuli się szczęśliwi.

Kiedyś jednak nadejdą lepsze dni...

Tak przecież obiecał Bóg.

Pewnego dnia przyjdzie na świat Dziecko, a kiedy dorośnie, zostanie królem: przyniesie ludziom wolność i szczęście.

Gdzie narodzi się to Dziecko i gdzie będzie się wychowywało?

Kto zostanie Jego matką?

Czy nie będzie to najszcześniejsza kobieta na świecie?

Pewnego dnia Maria była w domu sama. Nagle usłyszała głos, mówiący do niej:

— Bądź pozdrowiona, Mario! Ty jesteś najszcześniejsza z kobiet na ziemi!

Maria podniosła oczy. Przed nią stał anioł ubrany w białą szatę, od której bił wspaniały blask. Spoglądał na Marię z dobrocią, a jednak ona poczuła lęk. Pomyślała sobie:

— Co znaczą jego słowa? Ja — najszcześniejszą z kobiet na świecie? Czyżbym to właśnie ja miała nią być? Anioł przemówił do niej:

— Nie bój się, Mario! Przybywam, aby ci zwiastować coś wspaniałego. Sam Bóg przysłał mnie do ciebie. Wkrótce będziesz miała Syna, któremu dasz imię Jezus. Gdy dorośnie, zostanie królem, jak Dawid, lecz panowanie twego Syna trwać będzie na wieki!

Gdy Maria usłyszała te słowa, przejęła ją ogromna radość. Teraz dopiero zrozumiała, że dzieckiem tym będzie Zbawiciel, który obdarzy ludzi szczęściem. Skoro ona ma zostać Jego matką, to istotnie jest najszczęśliwsza ze wszystkich kobiet. Maria zapytała:

— A kto będzie ojcem dziecka? Przecież ja nie mam męża?

Anioł odparł:

— Sam Bóg będzie Jego ojcem, dlatego nie będzie to zwykłe dziecko, lecz nazwane zostanie Synem Bożym.

Maria, pochyliwszy głowę, pokornie przyjęła te słowa.

Skoro sam Bóg chce zostać ojcem Zbawiciela, jakże ona mogłaby odmówić?

Rzekła wreszcie:

— Poddaję się woli Boga. Niechaj się stanie, jak powiedziałeś.

Wtedy anioł wrócił do nieba. Zadanie swoje wykonał.

Przyniósł do małego domu najpiękniejszą ze wszystkich wieści, jakie kiedykolwiek przynosił na ziemię.

DZIECKO W STAJENCE

Dwoje ludzi wędruje drogą.

Mężczyzna i kobieta.

Idą bardzo powoli.

Są ogromnie zmęczeni.

Odbyli już daleką drogę.

Ci wędrowcy, to Józef i Maria w drodze do Betlejem, miasta, w którym mieszkał niegdyś król Dawid. Idą tam, bo cesarz zarządził wielki spis ludności i rozkaz jego trzeba wykonać. Jest przecież władcą prawie całego świata. Chce wiedzieć, ilu mieszkańców liczy jego kraj. Dlatego każdy człowiek musi podać swoje imię, i to w mieście, z którego pochodzi. Józef i Maria muszą się udać do Betlejem, gdyż stamtąd pochodzi ich rodzina.

Z Nazaretu do Betlejem droga daleka, trzeba więc odbyć długą podróż. Nie mogą jechać pociągiem, bo w tamtych czasach koleje jeszcze nie istniały. Nie mogą pojechać wozem ani nawet na osiołku, bo są zbyt biedni, aby je kupić. Dlatego całą drogę przebywają pieszo.

Trwa to długo, więc są bardzo zmęczeni, szczególnie Maria. Na koniec dojrzeli wreszcie bielejące w oddali domy Betlejem. Tymczasem zapadał wieczór. Słońce już prawie zaszło.

— Odwagi, Mario — powiedział Józef. — Już wkrótce przybędziemy na miejsce i znajdziemy jakiś nocleg.

Idą więc dalej. Gdy wreszcie dotarli do Betlejem, była już noc. Skierowali się do dużego domu, gospody, w której zatrzymywali się podróżni. Tam z pewnością znajdzie się jakieś wygodne łóżko dla Marii, aby mogła nareszcie odpocząć. Zjechało jednak wielu podróżnych, którzy chcieli spać wygodnie. Dom był pełen ludzi, a Józef z Marią bezskutecznie szukali wolnego kąta. Dla nich nie było miejsca w gospodzie.

Cóż mieli począć?

Spać na dworze, pod gołym niebem? Na szczęście coś jednak znaleźli.

Znaleźli stajnię i weszli do środka. Nie było w niej owiec, bo pały się na łąkach, ale zostało trochę słomy i żłobek, do którego kładło się owcom siano.

Józef przygotował dla Marii postanie ze słomy, na którym mogła wygodnie się położyć. Potem podziękowali Bogu za spokojny kąt, jaki udało im się znaleźć.

— Śpij spokojnie, Mario!

— Śpij spokojnie, Józefie!

Zapadła cisza.

Na dworze zrobiło się już całkiem ciemno.

W górze na niebie lśniły gwiazdy.

Cisza nocna spowiła Betlejem.

W tę noc, ciemną i cichą, w biednej stajence w Betlejem wydarzyła się rzecz niezwykła, najcudowniejsze zdarzenie w dziejach świata.

Maria wydała na świat Dziecko, o którym mówił jej anioł. Dziecko było maleńkie, tak samo małe i słabe jak każde nowo narodzone niemowlę. Wyglądało jak zwykłe dziecko, ale było to dziecię Boże.

Był to Boży Syn.

Gdy dorośnie, zostanie królem i da ludziom szczęście, tak jak to zapowiedział anioł.

Maria czuła się bardzo szczęśliwa. Wzięła w ramiona swoje Dziecko i przytuliła je do siebie.

Józef również był szczęśliwy. Pogłaskał Dziecko spracowaną, szorstką dłonią.

Nie było w co ubrać Dzieciątka, więc Maria owinęła je w pieluszki, które miała ze sobą. Również nie było kołyski, więc Józef wyścielił słomą żłobek i zrobił z niego łóżeczko, a Maria położyła w nim swoje Dziecko.

— Będzie miał na imię Jezus — powiedziała — jak to zapowiedział anioł.

Tak oto mały król leżał w żłobku, na sianie.

On, Syn Boży, narodzony w stajence. Ale nikt o tym jeszcze nie wiedział.

PASTERZE BETLEJEMSCY

Była już późna noc, ciemna i cicha. Mieszkańcy Betlejem spali.

Nikt nie wiedział o narodzeniu Jezusa.

Lecz poza miastem, na wzgórzach betlejemskich nie spali pasterze czuwający nad stadami. Siedzieli wokół ogniska, a obok nich spały owce. W górze, ponad ich głowami migotały gwiazdy, wiatr cicho szeleścił w trawie.

Panował zupełny spokój.

Wtem zrobiło się jasno, jak gdyby zaświeciło słońce. Pasterze straszliwie się przelękli. W blasku światła spłynął z nieba anioł i tak powiedział do przerażonych pasterzy:

— Nie bójcie się, bo przynoszę wam radosną wieść. Narodził się Pan Jezus. Zbawiciel od tak dawna oczekiwany. Idźcie do Betlejem, tam Go poznacie bez trudu. Znajdziecie Dzieciątka zawinięte w pieluszki, leżące w żłobie.

I nagle ukazały się rzesze aniołów zstępujących z nieba. Było ich więcej niż tysiąc! Śpiewały przepiękną pieśń, jakiej nigdy dotąd pasterze nie słyszeli:

„Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom, w których Bóg ma upodobanie!”

Gdy przebrzmiały słowa pieśni, aniołowie unieśli się w górę i powrócili do nieba.

Nad polami betlejemskimi zaległa cisza, ale pasterze nie powrócili już do ogniska.

Powiedzieli jedni do drugich:

— Chodźmy do Betlejem, zobaczyć Tego, o którym mówił anioł. Cieszymy się! Nareszcie Zbawca przyszedł na świat!

Śpiesznie pobiegli ciemnymi łąkami, pozostawiając owce same. Pan Bóg czuwał nad nimi. Przybywszy do Betlejem, odnaleźli stajenkę i cichutko weszli do środka.

Tam ujrzeli Marię i Józefa, dwoje biednych, takich samych jak oni ludzi. Zobaczyli także Niemowlę, takie, jakich wiele już oglądali. Ale oni wiedzieli, że nie jest to zwykłe dziecko: leżało w żłobku, owinięte w pieluszki, jak zapowiedział anioł.

Był to więc Zbawiciel, który obdarzy ludzi szczęściem.

Pasterze w uwielbieniu padli na kolana i zawołali:

— O Dziecię, nasz Zbawicielu, cieszymy się, żeś przyszedł na świat! Cóż możemy Ci dać, my, biedni pasterze? Chcemy myśleć o Tobie i zawsze Cię kochać. Czy i nam dasz szczęście? Nam także?

Potem opowiedzieli Marii o wszystkim, co się wydarzyło na wzgórzach betlejemskich.

Musieli jednak wracać do owiec. Wędrując przez ciemne łąki, śpiewali chórem pieśń anielską:

„Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom, w których Bóg ma upodobanie!”

I choć nie śpiewali tak pięknie, jak aniołowie, ich śpiew płynął z głębi serc.

Byli tak szczęśliwi, że musieli śpiewać. Z radości...

To Jezus obdarzył ich szczęściem.

DZIECIĘ W ŚWIĄTYNI

Józef i Maria jeszcze przez parę dni pozostali w Betlejem. Potem jednak udali się ze swym maleńkim Dzieckiem do Jerozolimy.

Jerozolima była wielkim miastem, w którym znajdowała się świątynia. Świątynia była domem Bożym i do niej podążyli Józef z Marią, aby wyrazić Bogu wdzięczność z powodu narodzonego Dziecka i prosić Boga, by się Nim opiekował.

Tak postępowali wszyscy ojcowie i wszystkie matki, mający synów. Składali wtedy jakąś ofiarę: ci, którzy byli bogaci, ofiarowywali baranka, biedacy zaś — parę gołębi.

Maria szła ulicami miasta, niosąc na ręku Jezusa.

Mijało ją wielu ludzi.

Nikt nie zatrzymał się jednak, aby spojrzeć na Dziecko, nikt Go nie pozdrowił. Ludzie nie wiedzieli, że to Zbawiciel, którego od tak dawna oczekują.

W świątyni było dużo ludzi, ale i tu nikt nie poznał, kim jest Dziecko.

Józef złożył Bogu ofiarę. Był biedny i nie mógł kupić baranka, kupił więc parę gołębi i oddał je kapłanowi. A kapłan, wzniosłszy ręce nad Dzieckiem, wypowiedział słowa błogosławieństwa:

— Pan niechaj Ci błogosławi!

On też nie poznał, kim jest Dziecko. Wtem do świątyni wszedł starzec. Skierował się prosto w stronę Marii. Gdy ujrzął Dziecko, radość zabłysła mu w oczach, a łzy spłynęły po policzkach. Były to łzy szczęścia!

Ten starzec, Symeon, wiedział, kim jest Dziecko. Bóg mu to objawił.

Symeon całe swe życie czekał na Pana Jezusa. Smucił się bardzo, że Zbawiciel nie nadchodzi. Lecz Bóg mu obiecał:

— Nie martw się, Symeonie! Przed śmiercią ujrzysz Zbawiciela.

I oto teraz, po tak długim oczekiwaniu. Dziecko było przed nim. Co za radość!

Symeon wziął Dziecko na ręce i powiedział:

— Teraz, Panie, gotów jestem umrzeć, ponieważ otrzymałem pocieszenie. Oczy moje oglądały Zbawiciela!

Potem zaczęła śpiewać, by wyrazić, jak bardzo czuje się szczęśliwy. Wtedy zbliżyła się do nich utykająca staruszka, której na imię było Anna. Miała już 84 lata. Ona również, ta stara Anna, wiedziała, kim jest Dziecko. Zatrzymała się przed Nim i powiedziała:

— Oto Zbawca! Przyszedł wreszcie na świat. Jakże jestem szczęśliwa. Potem prędko pokuśtykała do miasta, by opowiedzieć ludziom, że widziała Zbawiciela.

A Józef i Maria, szczęśliwi, powrócili do Betlejem, zabierając Dziecię ze sobą.

Tak to Jezus, gdy znalazł się po raz pierwszy w świątyni, obdarzył ludzi szczęściem.

MĘDRCY ZE WSCHODU

Czy wiesz, gdzie rano wstaje słońce? Tam, na wschodzie.

W owych czasach, daleko na Wschodzie mieszkali mędrcy, którzy czytali wiele mądrych ksiąg. Byli mądrzejsi i bardziej wykształceni od innych ludzi. Szczególnie lubili obserwować gwiazdy. Mawiali:

— Gwiazdy są bardzo piękne. To Bóg je stworzył i sprawił, że świecą całymi nocami. Bóg jest o wiele mądrzejszy od ludzi.

Pewnej nocy, gdy siedzieli sobie razem i patrzyli w niebo, nagle zauważyli nową gwiazdę, której dotąd nie znali. Była to gwiazda ogromna i piękna, można powiedzieć: królowa wszystkich gwiazd! Mędrcy podziwiali ją i rośła w nich radość.

— Nowa gwiazda — rzekli. — Czy wiecie, co to oznacza? Otóż, gdzieś narodziło się dziecko. A że gwiazda wspaniała, więc i dziecko z pewnością będzie niezwykle: mądre, bogate i potężne, prawdziwy syn królewski.

Długo wpatrywali się w cudowną gwiazdę i rozmawiali o synu królewskim. Nie byli w stanie o niczym innym myśleć.

W końcu jeden z nich powiedział:

— Wiem, co zrobimy! Chodźmy i poszukajmy tego małego króla, a gdy go odnajdziemy, złożymy mu hołd. Nigdy żaden król tej ziemi nie posiadał podobnej mądrości, bogactw ani potęgi, jaką to dziecko w przyszłości posiadzie.

Mędrcy przychyliłi się do jego rady i rozpoczęli przygotowania do drogi. Nakarmili solą wielbłądy i objuczyl je. Wielbłądy to duże, większe od koni, zwierzęta. Na ich grzbiecie można wygodnie podróżować.

Uczeni przygotowali też piękne, bardzo cenne prezenty dla małego króla. Zabrali całą skrzynię złota. A potem dosiedli wielbłądów i ruszyli w świat, kierując się w stronę, skąd po raz pierwszy ukazała się im piękna gwiazda.

Tam na pewno narodził się ów król.

Podróż trwała długo.

Przebywali ogromne lasy i wysokie góry. Szli i szli, wciąż dalej i dalej, aż dotarli do kraju Żydów. Tu muszą odnaleźć młodego króla.

Ale jak tego dokonać?

Mędrcy przeszli przez kraj Żydów i dotarli do Jerozolimy, największego miasta w tym kraju. Wszędzie rozpytywali ludzi:

— Gdzie jest nowo narodzony król żydowski? Widzieliśmy jego gwiazdę i przyszliśmy złożyć mu pokłon.

Nikt jednak nie umiał im odpowiedzieć.

Magowie przeszli przez całe miasto i dotarli do pałacu. Na pewno tutaj mieszka mały król.

Nie, tu także nie było syna królewskiego, tylko zły król Herod.

Ten, usłyszawszy, o co pytają magowie, bardzo się przestraszył:

— Jakiegoż to króla żydowskiego oni szukają? Przecież nie mnie? Widocznie więc narodził się jakiś nowy król. Nie dopuszczę do tego, aby miał mi zabrać mój tron. Jestem jedynym władcą i muszę nim

pozostać na zawsze! A może — pomyślał sobie Herod — narodził się Zbawiciel oczekiwany od dawna przez ludzi? Wobec tego muszę koniecznie dowiedzieć się, gdzie znajduje się to Dziecko, i zgładzić je! Nie dopuszczę, aby Ono miało kiedyś panować zamiast mnie!

Herod wezwał uczonych i nauczycieli Prawa. Byli to ludzie, którzy doskonale wiedzieli, co napisane jest w Biblii.

Zapytał więc ich:

— Czy wiecie, gdzie ma się narodzić Zbawiciel?

Wiedzieli, oczywiście, i odparli:

— W Betlejem. Tak jest napisane w Biblii.

— Dobrze, dziękuję wam — rzekł król. — Będę o tym pamiętał.

Następnie kazał potajemnie wezwać mędrców ze Wschodu. Był dla nich bardzo łaskawy.

Zapytał ich, kiedy ujrzeli gwiazdę. — O, to było już jakiś czas temu, królu — odrzekli. — Byliśmy jeszcze w naszym dalekim kraju. Od tamtej pory długo i bezskutecznie poszukujemy Dzieciątka.

— Ja wam w tym dopomogę — odparł król. — Ono prawdopodobnie znajduje się w Betlejem. Udajcie się tam spieszenie i dobrze poszukajcie. Kiedy zaś już je odnajdziecie, dajcie mi znać, bym i ja mógł mu się pokłonić.

Taki kłamczuch! Powiedział: — Abym i ja mógł mu się pokłonić — a tak naprawdę to chce zabić Dziecko!

Mędrcy nie wiedzieli, że król jest aż tak zły. Ruszyli w drogę prosto do Betlejem. Zapadał wieczór. Słońce już zaszło i na niebie zaczęły pokazywać się gwiazdy. Magowie wciąż szli naprzód.

Wtem ujrzeli gwiazdę! Tę samą, piękną i ogromną, którą widzieli na Wschodzie. Jakże się uradowali! Gwiazda świeciła ponad nimi na niebie, wskazując drogę do Betlejem. Podążali za nią, a gdy się zatrzymała, zsiadli z wielbłądów. Znaleźli się przed małym domkiem, nad którym zatrzymała się gwiazda. Weszli do środka.

Któż tam mieszkał?

Małeńki Jezus z Marią i Józefem. Wyglądał On jak zwyczajne dziecko, ale mędrcy wiedzieli, że jest to dziecko niezwykle — że jest to mały król, którego od dawna szukali. To Ten, który pewnego dnia stanie się najmądrzejszym, najbogatszym i najpotężniejszym władcą świata. Z największą czcią uklękli przed Nim.

— O Królu Jezu — powiedzieli — jakże jesteśmy szczęśliwi, żeśmy Cię odnaleźli.

Później złożyli dary przed Dzieckiem: skrzynkę pełną złota, wazę pełną kadzidła i naczynie z mirrą. To były bardzo cenne i piękne dary. Ale mędrcy z radością je ofiarowali Dziecku.

Noc spędzili w Betlejem.

Gdy zasnęli, wszyscy trzej mieli taki sam sen. We śnie usłyszeli głos, który im powiedział:

— Posłuchajcie mnie i nie wracajcie już do króla Heroda. To bardzo zły człowiek. On wcale nie chce pokłonić się Dziecku, lecz pragnie wyrządzić Mu krzywdę.

Był to głos Boży, który ich ostrzegał. Magowie posłuchali tego głosu i inną drogą wrócili do swego kraju.

Do końca życia czuli się bardzo szczęśliwi, bo dane im było ujrzeć Jezusa, Króla królów.

ZŁY KRÓL HEROD

Jest późna noc.

Wszyscy śpią.

Tylko król Herod nie może zasnąć. Bez przerwy myśli o mędrcach. Dokąd oni mogli pójść?

Oczekuje ich od tak dawna, ale nie przybywają.

Myśli ustawicznie także o Dziecku, o małym królu, który narodził się w Betlejem. Za wszelką cenę pragnie odnaleźć to Dziecko, i nie dopuścić, aby zostało królem.

Niecierpliwi się, bo chce jak najszybciej je zabić.

Ale zły król nie może skrzywdzić dziecka, nad którym czuwa Bóg. Mały Jezus ciągle jeszcze jest w Betlejem.

Śpi bezpiecznie w ramionach Marii. Józef, mąż Marii, śpi także. I wtedy ma sen. Śni mu się anioł, który spogląda na niego i mówi:

— Józefie, wstań, weź Dziecko, Jego matkę i uciekaj do Egiptu. Pozostań tam tak długo, aż powiem ci, że możesz wracać. Król Herod czyha na życie Dziecka.

W tym momencie Józef ocknął się przerażony snem. Zbudził Marię i powtórzył jej słowa anioła. Oboje zrozumieli, że ostrzega ich Bóg.

Jeszcze tej samej nocy spiesznie wyruszyli w cichy, ciemny świat, ratując się ucieczką.

Podróż do Egiptu trwała długo.

Ale Maria nie musiała teraz iść pieszo, ponieważ nie byli już tak biedni. Czy pamiętasz, że mędrcy ze Wschodu przynieśli piękne i kosztowne prezenty? Wśród nich była także skrzynka pełna złota. Za to złoto Józef kupił osiołka. Maria z Dzieckiem na ręku jechała na osle, a Józef prowadził zwierzę za uzdę. W ten sposób dotarli do Egiptu.

Tu byli bezpieczni.

Zły król już nie mógł zagrozić Dziecku.

Ale Herod jeszcze wcale o tym nie wiedział.

Myślał, że Dziecko jest ciągle w Betlejem.

I stale oczekiwał powrotu mędrców. Ale czekał na próżno. Nikt nie przybywał.

W końcu, straciwszy cierpliwość, zawołał sługę i rozkazał mu:

— Idź do Betlejem i dowiedz się, gdzie podziiali się mędrcy.

Sługa spełnił polecenie.

Niebawem powrócił i powiedział Herodowi:

— Królu, mędrców nie ma. Już dawno odjechali do swego kraju inną drogą, niż przybyli. Wcale nie powracali przez Jerozolimę.

Usłyszawszy to, Herod wpadł w straszny gniew.

— Zakpili sobie ze mnie, to oczywiście! — krzyczał. — Odnaleźli małego króla i nie chcieli mnie o tym zawiadomić. Ale już ja go znajdę, możecie być pewni!

I zły król uczynił rzecz straszną.

Zawołał swych żołnierzy i rozkazał im:

— Idźcie do Betlejem, schwytajcie wszystkich chłopców, którzy mają mniej niż dwa lata, i pozabijajcie ich.

Żołnierze, którzy byli równie okrutni jak ich król, wykonali rozkaz.

A co się stało z tymi małymi dziećmi? One poszły do nieba, do Pana Boga. Tam już nie płakały ani nie cierpiały. Tam były szczęśliwe i radosne, bo w niebie jest dobrze i pięknie.

Zły król Herod siedział w swym pałacu i myślał, że Dziecko już nie żyje. Powiedział sobie:

— Wygrałem! Teraz, gdy już nie żyje mały król, znów jestem jedynym władcą i na zawsze nim pozostanę!

Ale mały Jezus nie zginął.

Żył sobie daleko, w Egipcie, wraz z Marią i Józefem.

Musiał przebywać tam do chwili, aż anioł wezwie Józefa do powrotu.

— Wygrałem — powiedział Herod.

— Zatrzymam na zawsze mój tron! Ale nie zatrzymał go długo.

Wkrótce zachorował i nikt nie mógł go wyleczyć.

Aż w końcu zły król umarł.

A więc?

Czy można powiedzieć, że to on zwyciężył?

Po śmierci Heroda anioł przybył do Egiptu i powiedział do Józefa:

— Teraz możesz już wracać do kraju z Dzieckiem, bo Herod nie żyje.

Wówczas Józef i Maria wyruszyli w drogę powrotną. Nie wracali jednak do Betlejem, lecz wprost do Nazaretu, gdzie Józef miał mały dom.

Józef wziął się do pracy. Był cieślą i tak zarabiał pieniądze na utrzymanie rodziny.

Maria zajmowała się gospodarstwem i opiekowała Dzieckiem.

Nikt, kto widział to Dziecko, nie przypuszczał, że jest ono Zbawicielem.

A jednak przyszedł taki dzień, gdy Jezus stał się królem i obdarzył wielu ludzi szczęściem.

DZIECIŃSTWO JEZUSA

Jezus spędził dzieciństwo w Nazarecie, w domu cieśli Józefa, który pracował w swoim warsztacie.

Maria prowadziła gospodarstwo dla całej rodziny.

Jezus rósł, stawał się duży i silny. Wszyscy Go kochali — i dzieci, i dorośli.

Był podobny do innych dzieci, był podobny do innych chłopców, a jednak zupełnie inny.

Nigdy nie robił niczego złego. Był dzieckiem świętym.

Był Synem Bożym.

Ale ludzie nie wiedzieli o tym i myśleli, że to Józef jest Jego ojcem.

Co roku Józef i Maria wędrowali do Jerozolimy, do świątyni, na wielkie święta, nazywane świętem Paschy.

Wszyscy mieszkańcy Izraela starali się wtedy tam znaleźć. Póki Jezus był mały, nie mógł towarzyszyć rodzicom, bo była to dla Niego zbyt daleka podróż. Dopiero gdy skończył 12 lat, pozwolono Mu po raz pierwszy pójść do Jerozolimy.

Cóż to była za piękna podróż! Droga wiła się wzdłuż wzgórz, trzeba było to wspinać się pod górę, to znów schodzić w dół.

Wielu ludzi towarzyszyło w tej wędrówce Jezusowi i Jego rodzicom. Wszyscy pielgrzymi szli śpiewając. Na koniec stanęli na szczycie wysokiego wzgórza, skąd ujrzeli w dole białe domy Jerozolimy. Radość była wielka!

Zobaczyli także świątynię, białą jak inne budynki, ale pokrytą złotym dachem. Był to najpiękniejszy pałac w mieście.

Był to dom Boży.

— To dom mego Ojca — pomyślał Jezus. I poczuł się bardzo szczęśliwy, że tu jest.

Pielgrzymi weszli do pięknej świątyni, ponieważ tam właśnie obchodzono święta. Złożyli ofiary i modlili się.

Jezus modlił się także. Rozmawiał ze swym Ojcem niebieskim.
— Tutaj jestem u siebie — myślał. — Chciałbym bardzo zostać tu na zawsze.
Spodziewał się, że święta potrważą długo.

Uroczystości trwały siedem dni. A gdy się skończyły, ludzie zaczęli powracać do domów. Z tłumem pielgrzymów wracali Józef i Maria. Nie widzieli Jezusa, ale nie niepokoiłi się o Niego. Myśleli sobie:
— On jest zawsze taki posłuszny i rozsądny, nigdy nie robi głupstw. Na pewno więc idzie przed nami z innymi dziećmi. Spotkamy się w drodze.

Przyglądali się mijanym grupkom ludzi, mając nadzieję, że wśród nich Go znajdą. Ale Jezusa nigdzie nie było widać. Zaczęli więc rozpytywać pielgrzymów:

— Czy nie widzieliście naszego Dziecka?

Ale nikt nie miał pojęcia, gdzie się Ono podziało.

Zapadł wieczór, a oni wciąż Go nie odnaleźli. Wtedy Józefa i Marię ogarnął niepokój. Nie odważyli się iść dalej w stronę Nazaretu. Zawrócili.

— Pewnie został w Jerozolimie — myśleli.

Przebiegali ulice miasta, szukając Go wszędzie, ale bezskutecznie. Maria zapytywała ludzi:

— Czy nie widzieliście Dziecka? Zgubiłam moje Dziecko!

Ale przechodnie tylko przecząco kręcili głowami. Nie znali Jezusa. Maria biegała tam i z powrotem. Płakała. Tak bardzo się bała! Gdzie podziało się jej Dziecko? Dlaczego z nią nie zostało? Ono — zawsze takie roztropne i posłuszne.

Przez trzy dni bezskutecznie szukali Jezusa.

W końcu, trzeciego dnia, skierowali się do świątyni. Panowała tam już zupełna cisza. Prawie wszyscy ludzie odjechali. Pozostali tylko kapłani i uczeni w Piśmie, opowiadający ludziom o Bogu.

Maria rozglądała się dookoła. I nagle spostrzegła Jezusa. Jej Dziecko siedziało sobie spokojnie w otoczeniu uczonych i słuchało tego, co oni mówią. Oni zadawali Mu rozmaite pytania i podziwiali Jego odpowiedzi. Nigdy dotąd nie spotkali równie mądrego chłopca!

Maria rzuciła się w stronę Jezusa:

— Moje Dziecko! — zawołała. — Dlaczego tu zostałeś? Twój ojciec i ja tak bardzo niepokoiłiśmy się o Ciebie! Szukaliśmy Cię wszędzie!

— Twój ojciec i ja — powiedziała Maria.

Czyżby Bóg nie był Jego ojcem?

Jezus odpowiedział:

— Dlaczego szukaliście mnie? Czy nie wiedzieliście, że musiałem zostać w domu Ojca mego?

Teraz Maria zrozumiała, że Jezus nie był nieposłuszny i że to ona niepotrzebnie niepokoiła się o Niego. Jezus nie zawinił.

To ona zawiniła. Jakże mogła nie pamiętać o tym, że Bóg jest Jego Ojcem!

Józef i Maria zawrócili w kierunku domu, a Jezus posłusznie podążył za nimi.

Razem powrócili do Nazaretu.

I tam Jezus mieszkał z Józefem i Marią aż do czasu, gdy dorósł. Co roku chodził z nimi do Jerozolimy na święto Paschy.

Ale Maria już więcej nie niepokoiła się o Niego.

JAN CHRZCICIEL

Czy pamiętasz, kto to był Jan?

Przypomnij sobie starego kapłana w świątyni, do którego przybył anioł z dobrą wiadomością od Boga, że on i jego stara żona będą mieli dziecko. I wszystko stało się tak, jak anioł zapowiedział.

Tym kapłanem był Zachariasz.

Żona jego miała na imię Elżbieta. A ich synem był Jan.

Czy przypominasz sobie może, co Jan miał robić, kiedy dorośnie?

Miał zapowiadać ludziom bliskie nadejście Zbawiciela.

Miał zostać sługą Bożym.

Toteż gdy Jan dorósł i dowiedział się o tym wszystkim od swego ojca, bardzo zapragnął pracować dla Pana i stać się Jego sługą. Nie wiedział jednak, w jaki sposób ma to uczynić ani kiedy powinien rozpocząć swoją działalność. Bardzo chciałby to wiedzieć, ale ojciec nie umiał mu już tego wyjaśnić. O tym wiedział tylko Bóg.

Gdy więc Jan stał się dorosłym mężczyzną, opuścił dom rodzinny i udał się na pustynię. Nikt tutaj nie mieszkał: dookoła jedynie góry, kamienie i piasek.

Bóg jednak był na pustyni. Bo On jest wszędzie. Tutaj Jan przebywał wyłącznie z Bogiem i tu słyszał każde Jego słowo, kierowane do siebie.

Na pustyni Jan nie miał domu, mieszkał w pieczarze. Nie mógł tu także kupić sobie chleba, więc kiedy był głodny, szukał szarańczy. Tamtejszą szarańczę można było jeść. Czasem udawało mu się trafić na gniazda dzikich pszczoł i wtedy jadł ich miód, nadzwyczaj słodki i smaczny. Poza szarańczę i miodem Jan nie pragnął niczego więcej. Nie potrzebował też pięknych ubrań. Długi, szary płaszcz, przewiązany skórzanym pasem — to było wszystko co posiadał.

Długo przebywał Jan wśród ciszy pustyni.

Bóg pouczał go tam o wszystkim, co będzie mu potrzebne w przyszłej pracy. Jan dowiedział się, że Zbawca będzie królem, ale nie zwykłym władcą, lecz Królem Niebios. Nie będzie królem wojującym, lecz Księciem Pokoju, a Królestwo Jego zostanie nazwane Królestwem Bożym.

Kto będzie do tego Królestwa należał?

Ci wszyscy ludzie, którzy pokochają Zbawiciela.

Ci wszyscy, którzy nie będą chcieli więcej czynić zła. Nawrócą się i staną innymi ludźmi, lepszymi.

O tym wszystkim Jan dowiedział się od Boga.

Wtedy Pan rzekł:

— Janie, nadszedł czas! Wracaj do ludzi i powiedz im, że Królestwo Boże przybliży się.

I Jan udał się nad brzeg ogromnej rzeki, Jordanu. Wszyscy ludzie idący do Jerozolimy musieli tamtędy przechodzić.

Jan stał nad Jordanem z odkrytą głową, odziany w długi płaszcz, i nawoływał:

— Nawróćcie się, bo Królestwo Boże nadchodzi!

Ludzie przystawali, aby go posłuchać. Schodzili się doń ze wszystkich stron.

— Nawróćcie się — wzywał Jan — gdyż Zbawiciel nadchodzi. Już nie będzie dłużej zwlekał.

Ludzie cieszyli się bardzo, bo już od dawna czekali na Zbawcę. Lecz równocześnie ogarnęło ich przerażenie, gdy pomyśleli o wszystkich złych czynach, jakie popełnili. Podchodzili do Jana mówiąc:

— Janie, boimy się Zbawiciela, bo jesteśmy ludźmi złymi i nieposłusznymi! Czy Zbawiciel rozgniewa się na nas?

Jan pytał ich:

— Czy martwicie się tym, że byliście źli? Czy naprawdę, z całego serca chcecie się poprawić?

O tak, pragnęli tego gorąco.

— Jeżeli żałujecie. Zbawiciel nie rozgniewa się na was. On wam przebaczy wszystko i znów odzyskacie radość!

Potem Jan uczynił coś bardzo pięknego, aby pokazać ludziom, że Bóg może dać im nowe, całkowicie oczyszczone serca.

Kazał im wstąpić w wody Jordanu i chrzcili ich. Polegało to na całkowitym zanurzeniu się przez chwilę w wodach Jordanu. A oznaczało, że tak jak woda omywa ciała, tak Bóg oczyszcza ludzkie serca, które stają się znów czyste i radosne.

Ludzie dobrze to rozumieli. Wszyscy chcieli zostać ochrzczeni, bo wszyscy pragnęli mieć czyste serca. Ci ludzie byli wdzięczni Janowi.

Ale zjawiali się też inni, tacy, którzy nie żalowali szczerze za swoje winy, i Jan odmawiał im chrztu. Gniewał się na nich i odważnie mówił im całą prawdę.

— Idźcie precz! — krzyczał. — Jesteście kłamcami! Udajecie, że kochacie Boga, a to nieprawda! Udajecie, że macie czyste serca, tymczasem są one aż czarne od waszych grzechów. Ludzie podziwiali odwagę Jana. Niektórzy mówili nawet:

— A może to on sam jest Zbawicielem?

Gdy Jan to usłyszał, bardzo się przeraził i zawołał:

— Nie! Nie jestem Zbawicielem, lecz tylko Jego sługą. Nawet nie wściecie się mówić takich rzeczy! Zbawiciel jest kimś o wiele ważniejszym ode mnie. Już wkrótce On sam nadejdzie!

Wkrótce spełniło się to, co Jan zapowiedział:

Zbawiciel nadszedł!

Nad brzegiem Jordanu zjawił się Jezus.

Gdy Jan zobaczył, kto się zbliża ku niemu, poczuł ogromną radość. Wiedział bowiem dobrze, że Jezus jest Zbawcą.

Lecz Jezus powiedział coś dziwnego, czego Jan zupełnie nie mógł zrozumieć. Jezus powiedział, że chce zostać ochrzczony tak, jak inni ludzie. A przecież nie było Mu to wcale potrzebne! Wszak serce Pana Jezusa było całkowicie czyste. Przecież On nigdy nie zrobił niczego złego!

Jan odmownie potrząsnął głową. Nie, on przecież nie może zgodzić się na to, by ochrzcić Jezusa!

Ale Pan Jezus powiedział, że to musi się stać.

— Bóg tego chce, Janie — rzekł. — Musisz mnie ochrzcić!

Wstąpili więc obaj w wody Jordanu i Jezus został ochrzczony w taki sam sposób, jak zwykli, grzeszni ludzie. A kiedy wyszedł z wody, wydarzyła się rzecz niezwykła.

Niebo się otworzyło i usłyszano głos z nieba, który mówił:

— Oto Syn mój, którego kocham!

Później coś białego pojawiło się nad głową Pana Jezusa, coś, co przypominało białego gołębia. Był to Duch Święty.

Wówczas Jan upewnił się, że Pan Jezus jest Zbawicielem, tym, który przyszedł po to, by dać ludziom szczęście.

Kiedy Pan Jezus oddalił się, Jan rzekł do ludzi:

— Nawróćcie się, bo Królestwo Boże nadeszło. I pomyślał sobie:

— Moja praca niedługo się skończy. Teraz już ludzie będą musieli słuchać Pana Jezusa, a nie mnie. Trzeba, aby o mnie zapomnieli. Jestem tylko sługą. Pan Jezus jest królem. O tym nie wolno im nigdy zapomnieć!

PIERWSI UCZNIOWIE

Czy byłeś kiedy nad morzem?

Morze to taki ogromny obszar wody bez końca. Widać tylko wodę, a nie można dojrzeć drugiego brzegu. Fale morskie pienią się i z szumem uderzają o piasek wybrzeża. Piękne jest morze!

Pewnego razu Jezus spacerował wzdłuż wybrzeża. Niedaleko od brzegu dostrzegł łódź. Siedziało w niej dwóch ludzi. Dwaj bracia — Piotr i Andrzej. Obaj byli rybakami. Mieli ogromną sieć, którą zarzucali w morze i łapali w nią ryby. Piękny jest zawód rybaka.

Pan Jezus zatrzymał się i obserwował rybaków. Oni również spoglądali na Niego. Byli radzi, że Go widzą, bo wiele już o Nim słyszeli. Pan Jezus rzekł do nich:

— Pójdźcie ze mną, a ja was nauczę rzeczy jeszcze piękniejszej. Nauczę was, jak możecie nieść ludziom radość i szczęście. Pójdźcie, bądźcie moimi przyjaciółmi, moimi uczniami, pozostaniecie ze mną na zawsze!

Mężczyźni odpowiedzieli:

— Dobrze, Panie, już idziemy!

Przybili do brzegu i pozostawili tu łódź i sieci. Nieco dalej leżała inna łódź, zakotwiczona przy nadbrzeżu. Siedziało w niej kilku ludzi zajętych naprawą sieci, które często rwą się w czasie połowów. Był wśród nich stary człowiek, właściciel łodzi, oraz dwóch jego synów — Jakub i Jan. Nie był to Jan Chrzciciel, lecz inny Jan.

Wraz z nimi pracowało jeszcze kilku robotników.

Pan Jezus, mijając ich, zawołał Jakuba i Jana:

— I wy chodźcie ze mną, zostańcie moimi uczniami!

I oni także zdecydowali się pójść z Jezusem.

Ich ojciec mógł wraz z robotnikami pracować dalej bez nich.

Pan Jezus miał więc teraz już czterech uczniów.

W podobny sposób powołał jeszcze innych ludzi i w końcu zebrał dwunastu uczniów, którzy chcieli nauczyć się pięknej pracy: niesienia ludziom szczęścia i radości.

Wędrowali oni od wsi do wsi towarzysząc Jezusowi, którego bardzo kochali.

To była wspaniała rzecz być przyjacielem Jezusa!

PAN JEZUS ZAPROSZONY NA WESELE

Pewien młody człowiek i pewna dziewczyna brali ślub.

On był panem młodym, ona — panną młodą. Tak bowiem nazywamy osoby, które biorą ślub. Oboje byli szczęśliwi i weseli. Chcieli też, by wraz z nimi cieszyli się inni ludzie. Toteż na swoje wesele zaprosili rodziców, wujków, ciotki, kuzynów i kuzynki. Wszyscy zaproszeni przybyli na uroczystość. Był również obecny Pan Jezus ze swoimi uczniami, i Maria, matka Jezusa.

Podano ciasta i dużo innych dobrych rzeczy do jedzenia. Pito wspaniałe wino, które słudzy nalewali gościom. Można było jeść i pić, ile kto tylko zapragnął. Grała muzyka, śpiewano. Wszystkim było bardzo wesoło.

Ale w połowie wesela zaszło coś nieprzewidzianego...

Goście nie zauważyli niczego, ale słudzy i pan młody dobrze wiedzieli, o co chodzi.

Wiesz, co się stało?

Zabrakło wina! Nie było co podawać gościom do picia!

Jakże im to powiedzieć? Pan młody wyglądał na bardzo zmartwionego, ale nikt nie domyślał się powodu. Zakłopotany, zastanawiał się, co teraz zrobić.

Jedna Maria zauważyła, co się dzieje. Bardzo pragnęła pomóc, ale cóż mogła poradzić?

Zbliżyła się więc do Jezusa i szepnęła:

— Zabrakło im wina. Może mógłbyś coś dla nich zrobić?

Pan Jezus odrzekł:

— Jeszcze nie nadszedł czas, abym objawił swoją moc.

Jednak Maria poszła poszukać sług i powiedziała im, wskazując na Jezusa:

— Róbcie bez wahania wszystko, cokolwiek On wam powie!

— Dobrze — odrzekli słudzy.

Po chwili podszedł do nich Pan Jezus. A stało tam sześć dużych, kamiennych dzbanów na wodę, której wiele zużywano w czasie wesela do mycia rąk, zmywania kubków i talerzy.

Pan Jezus rzekł sługom:

— Napełnijcie te dzbany wodą do pełna.

Słudzy wykonali polecenie. Pamiętali, co im powiedziała Maria.

Pan Jezus powiedział wtedy:

— Zaczepnijcie z jednego dzbana i dajcie spróbować gospodarzowi wesela.

Słudzy wykonali i to polecenie. Napełnili kubek i zanieśli gospodarzowi wesela, który był ich szefem i czuwał, aby wszystko sprawnie przebiegało.

Wziął on kubek, spróbował zawartość i wykrzyknął:

— Toż to coś wspaniałego! Co za wyśmienite wino!

Potem zawołał pana młodego i powiedział mu:

— Mamy teraz wyśmienite wino! Jest o wiele lepsze od tego, które podawaliśmy przedtem. Zachowaj na koniec dobre wino!

Pan młody nie chował żadnego wina i zupełnie nie wiedział, skąd się ono wzięło.

Za to słudzy dobrze wiedzieli, skąd ono pochodzi. Sami przecież napełniali dzbany wodą, a potem czerpali z nich wino.

Pan Jezus zrobił prawdziwy cud: zamienił wodę w wino!

Wesele stało się jeszcze piękniejsze i radośniejsze. Ludzie pili wspaniałe wino i spoglądali na Jezusa, myśląc sobie:

— W jaki sposób On robi cuda? Kim On jest?

Kim On jest — wiedzieli dobrze uczniowie Jezusa, a teraz byli już zupełnie pewni, że jest Zbawicielem. Oni w Niego wierzyli.

CUDOWNY POŁÓW

Pan Jezus wraz ze swymi uczniami wędrowali po kraju. Gdziekolwiek znajdowali się ludzie nieszczęśliwi, On tam przychodził i obdarzał ich szczęściem. Nieraz spotykał ludzi smutnych, ponieważ nie mogli chodzić: mieli bowiem chore nogi. Pan Jezus ujmował ich za rękę i stawiał na nogi. Uzdrawiał ich całkowicie, tak że mogli biegać i skakać. Cóż to była dla nich za radość!

Czasem Jezus spotykał kogoś, kto był smutny dlatego, że nie widział. Oczywiście takiego człowieka były chore. Był niewidomy i wydawało mu się, że otacza go wieczna noc. Pan Jezus dotykał swą ręką oczu chorego, który natychmiast zostawał uleczoney i mógł znowu widzieć! Cóż to za radość dla takiego człowieka!

Większość ludzi smuciła się jednak z powodu stanu swej duszy. Serca mieli złe. Wyrządzili wiele zła i bali się, że zostaną ukarani i że Bóg ich nie przyjmie do nieba.

Pan Jezus i takich ludzi obdarzał radością. Tłumaczył im, że Bóg ich kocha, gdyż On kocha wszystkich ludzi bez wyjątku.

Jezus mówił do nich:

— Będę się modlił o to, byście mogli pójść do nieba, mimo waszych złych czynów. Musicie jednak się poprawić i szczerze kochać Pana Boga.

Te słowa były dla ludzi dobrą nowiną.

Ktokolwiek je usłyszał, czuł się uwolniony od smutku.

Pan Jezus mówił:

— Pójdźcie do mnie wszyscy spracowani i umęczeni, a ja wam dam odpocznienie.

Ludzie przybywali do Niego coraz tłumniej. Wszyscy pragnęli usłyszeć dobrą nowinę. Czasem przychodziły setki, a nawet tysiące, by słuchać Jezusa!

Pewnego razu, gdy Pan Jezus przybył nad brzeg morza. Piotr postanowił udać się na połów ryb. Łódź jego stała przy brzegu, wsiedli więc do niej obaj z bratem i wypłynęli na morze. Zarzucili sieci, a potem czekali przez całą noc. Noc jest bowiem najlepszą porą dla połowu.

Lecz gdy wstał ranek, okazało się, że nic nie złowili. Wyciągnęli więc łódź na brzeg i zabrali się do czyszczenia sieci z wodorostów i ślimaków.

Wtedy zbliżył się do nich Pan Jezus. Za Nim postępował tłum ludzi. Jezus zatrzymał się na brzegu, by stąd przemawiać i zwiastować radosną nowinę, że Bóg kocha ludzi.

Wszyscy pragnęli Go słyszeć, toteż przepychano się do przodu i każdy starał się znaleźć jak najbliżej Jego osoby. W końcu zachodziła obawa, że tłum zepchnie Jezusa do wody.

Wtedy Pan Jezus wsiadł do łodzi Piotra i polecił mu oddalić się trochę od brzegu. Piotr chętnie spełnił życzenie swego Mistrza. Teraz wszyscy mogli widzieć Jezusa i dobrze Go słyszeć.

Ludzie usiedli cicho na brzegu morza i słuchali.

A gdy nadeszło południe, porozchodzili się do swych domów.

Zrobiło się gorąco. Słońce prażyło. Wtedy Pan Jezus powiedział do Piotra:

— Wypłyn daleko w morze i zarzuć sieci, a nałowisz ryb.

Piotr ze zdumieniem spojrzał na Niego. O tej porze? W samo południe? Toż to nie jest właściwa pora na połów! I odrzekł:

— Panie, całą noc łowiliśmy i nic nie złapaliśmy.

Ale w tej samej chwili uświadomił sobie, że to Pan Jezus mówi do niego, więc dodał:

— Ale ponieważ Ty mi to mówisz, zrobię tak.

Skierował łódź na pełne morze i zarzucił sieci. Chwilę czekali. Piotr myślał sobie:

— To niemożliwe, żeby w sieci były ryby!

Jakże się mylił! Kiedy bowiem chcieli obaj z bratem wciągnąć sieci do łodzi, okazało się, że są tak ciężkie, iż sami nie dadzą rady. Sieci były pełne ryb i aż rwały się pod ciężarem. W jaki sposób przełożą teraz ryby do łodzi? Szczęśliwie, w pobliżu znajdowali się Jakub i Jan. Piotr z bratem wezwali ich na pomoc. Razem wyciągnęli sieć i przerzucili ryby do dwóch łodzi, a te tak napętniły się rybami, że aż zanurzały się pod ciężarem.

Ujrawszy to, Piotr zawstydził się swych myśli. Przecież wcale nie przypuszczał, że cokolwiek złapią. Nie wierzył Panu Jezusowi!

— Jaki ze mnie grzesznik... A Pan Jezus jest mądry i potężny — myślał. — Nie jestem wart tego, by być Jego przyjacielem.

Padł więc na kolana u stóp Jezusa i zawołał:

— Panie, odejdz ode mnie. Zostaw mnie samego, bo jestem grzesznym człowiekiem.

Ale Pan Jezus odpowiedział mu serdecznie:

— Uspokój się, Piotrze, mimo to pozostaniesz moim uczniem. Nauczysz się pięknego rzemiosła, nauczysz się nieść ludziom szczęście!

Wówczas Piotr jeszcze goręcej pokochał Pana Jezusa.

NIESZCZĘŚLIWY CZŁOWIEK

Żył w tamtych czasach pewien bardzo nieszczęśliwy człowiek. Mieszkał samotnie w szałasie na pustkowiu, z dala od miasta. Musiał tam mieszkać, gdyż zagrażał innym ludziom i został wygnany. Był

chory na trąd. (Trąd to bardzo ciężka i zaraźliwa choroba). Miał plamy na twarzy, rękach i nogach. Całe jego ciało było chore.

Łatwo było zarazić się od niego, wystarczyło podejść blisko. Dlatego nikt się do niego nie zbliżał. Kładziono mu z daleka na ziemi przynoszoną żywność i jak najprędzej uciekano. Gdy czasem, kulejąc, wychodził na drogę i widział zbliżających się ludzi, wołał do nich z daleka:

— Nieczysty, nieczysty!

Musiał tak wołać, by ostrzegać innych o swojej obecności. Wtedy ludzie z odrazą odwracali się i myśleli sobie: — A czegoż on tu szuka na drodze, ten obrzydliwy człowiek!

A on czuł się bardzo nieszczęśliwy. Wszystko go bolało, ręce, nogi i całe ciało. Nie tylko nikt nie mógł ulżyć jego cierpieniom, ale jeszcze wszyscy byli tacy niedobrzy dla niego.

Aż pewnego dnia Pan Jezus przybył do tego miasta. Biedny człowiek nie znał Pana Jezusa, ale słyszał o Nim od ludzi dostarczających mu żywność lub napotykanym na drodze. Mówili oni, że Pan Jezus może wszystko i że uzdrawia wielu chorych.

Kiedy chory dowiedział się, że Pan Jezus ma tam przyjść, pomyślał sobie: — Muszę pójść i odszukać Go. On i mnie również może uzdrowić! Wyruszył więc naprzeciw Panu Jezusowi. Posuwał się naprzód tak prędko, jak tylko pozwalały mu na to jego chore nogi. Gdy widział zbliżających się ludzi, wołał:

— Nieczysty, nieczysty!

Wtedy ludzie cofali się, odczuwając wstręt na jego widok.

Nieszczęśliwy człowiek myślał:

— Oby tylko Pan nie odwrócił się ode mnie ze wstrętem! Oby tylko zechciał mnie uzdrowić.

Ale nie ośmielił się. zbyt wyprzedzić do przodu. Może lepiej zawrócić do swego szałas, do swego nędznego życia wśród wstydu i cierpienia? Nie, musi iść naprzód, bo Pan Jezus może go uzdrowić, jeżeli tylko tego zechce! Człowiek posuwał się dalej tak prędko, jak tylko mógł. Niespokojnie rozglądał się dokoła. Nagle zobaczył nadchodzącego Jezusa w otoczeniu ogromnego tłumu ludzi.

Chory rzucił się natychmiast w stronę Jezusa, zrobił to tak prędko, jak tylko mógł. Ludzie, gdy go dojrżeli, rozbiegli się przerażeni, krzycząc w gniewie:

— Idź precz! Cóż ty tu robisz!

Ale on był już koło Pana Jezusa. Padł przed Nim na kolana i wznosząc ręce w górę zawołał:

— O Panie, uzdrów mnie, błagam Cię! Ty możesz to uczynić, jeśli tylko zechcesz!

I Pan Jezus nie odpędził go, nie bał się jego ran. Pan Jezus był pełen współczucia dla biednego człowieka.

Zbliżył się do trędowatego, a ludzie z przerażeniem patrzyli, jak kładzie swe ręce na głowie chorego i mówi: — Chcę, abyś został uzdrowiony!

I oto w gnieniu oka zniknęły rany, a wszystkie bóle ustały.

Człowiek został całkowicie uleczony. Rozpłakał się z radości.

Po prostu nie wiedział, jak ma dziękować Panu Jezusowi.

A Pan Jezus poszedł dalej. Było jeszcze tylu biednych i nieszczęśliwych, którzy czekali na Jego pomoc. Uzdrowiony zaś człowiek powrócił do domu, ale już nie do nędznego szałas, lecz do swego własnego domu, w którym mieszkał przed chorobą. Znowu mógł wszędzie chodzić i nie musiał już nikogo ostrzegać o swej obecności wołaniem:

— Nieczysty, nieczysty!

Nikt też nie był już dla niego niemiły. Dawniej był biednym nieszczęśliwcem, teraz stał się człowiekiem silnym i radosnym.

To Pan Jezus sprawił tę zmianę.

CZŁOWIEK SPARALIŻOWANY

Czterech ludzi wędruje drogą.

Niosą nosze. Na noszach leży człowiek.

Ten człowiek nie chodzi. Nawet nie może poruszać nogami. Ręce ma również bezwładne. Nie może nic sam zrobić, bo jest sparaliżowany.

Nosze służą mu za łóżko. Biedny człowiek musi przez cały czas leżeć, a kiedy przychodzi pora posiłku, karmią go jak małe dziecko. Najgorsze jednak nie jest to, że ma chore ciało, lecz że dusza jego również jest chora. W swym życiu był często nieposłuszny Bogu, a teraz boi się Go. Myśli, że Bóg gniewa się na niego i nigdy nie daruje mu przewinień.

Tego dnia przybył do miasta Pan Jezus i oto ci czterej przyjaciele niosą do Niego nieszczęśliwego człowieka. Powiedzieli mu:

— Tylko Pan Jezus może ci pomóc. On cię na pewno uzdrowi.

Pan Jezus wszedł do jednego z domów. Wielu ludzi pragnęło tam się dostać, ale cały dom był już pełen, a podwórze zatłoczone. Przy drzwiach zbity tłum przepychał się do wejścia. Nikt nie chciał się cofnąć. Wszyscy pragnęli dotknąć Jezusa.

W jaki więc sposób ci czterej ludzie mają dostać się do Jezusa ze swym chorym, leżącym na noszach? Czy będą musieli zawrócić z niczym? O nie, na to nie chcieli się zgodzić! Muszą dotrzeć ze swym przyjacielem wprost do Jezusa.

Szczęśliwie wpadli na wspaniały pomysł! Na zewnątrz domu znajdowały się schody prowadzące wprost na płaski dach, po którym można było chodzić jak po tarasie.

Czterej ludzie wnieśli ostrożnie swego przyjaciela po schodach i położyli na dachu. Potem zrobili dziurę w dachu i obserwowali przez nią, co się dzieje w środku. Wszystko widzieli bez trudu: Pan Jezus opowiadał coś zebranym ludziom.

Wtedy czterej przyjaciele powiększyli dziurę tak, by powstało szerokie przejście. Przymocowali cztery sznury do czterech końców noszy i zawołali:

— Uwaga!

Potem, powoli zaczęli spuszczać nosze w dół. Trzymali sznury z całych sił i nosze z chorym opadały wolniutko. Zaskoczeni ludzie rozstąpili się. Chory łagodnie wylądował na podłodze, dokładnie przed samym Panem Jezusem.

Oto leży u Jego stóp.

O tyle rzeczy miał prosić, a teraz nie śmie wymówić słowa.

Wystarcza mu, że patrzy na Jezusa. Pan Jezus od razu poznał, jak bardzo nieszczęśliwy jest ten człowiek. Dojrzał jego chore ciało i jego chorą duszę. Rzekł więc:

— Nie lękaj się, grzechy twoje są ci odpuszczone.

Wielka radość ogarnęła sparaliżowanego: Bóg nie gniewa się już na niego, jego chora dusza została uleczona!

Ale Pan Jezus powiedział coś jeszcze:

— Wstań, weź łoże swoje i wracaj do siebie!

A więc i ciało tego człowieka zostało uzdrowione...

Zaczął poruszać nogami i rękami. Poczł się silny i zdrowy. Wstał więc, zarzucił sobie nosze na ramiona, śmiał się, śpiewał i wołał:

— O Panie, dziękuję Ci, dziękuję! Jestem teraz taki szczęśliwy!

Zebrani ludzie nie wierzyli własnym oczom. Jedni mówili do drugich:

— Nigdy jeszcze nie widzieliśmy tak wielkiego cudu. Jakże dobry i potężny jest Zbawiciel.

MŁODY CZŁOWIEK Z NAIN

Pewnego dnia Pan Jezus przyszedł z uczniami do miasta Nain, otoczonego murami, w których znajdowała się brama. Przez nią wchodziło się do miasta.

A teraz z tej bramy wychodził tłum ludzi. Był to długi i smutny pochód. Szedł pogrzeb.

Wśród ludzi znajdowała się staruszka, która bardzo płakała, bo to jej syn miał być pochowany. Jej jedyny syn!

Leżał teraz na marach, niesiony przez czterech ludzi. Był nieruchomy, blady i niemy.

Wyglądał jakby spał, ale nie przebudzi się już nigdy.

Nigdy nie powie do niej:

— Mamo!

Nie może już ani mówić, ani widzieć, ani słyszeć. A teraz złożą go do grobu w górskiej grocie.

Gdy stara matka wróci z pogrzebu, nie będzie już miała nikogo bliskiego, ani męża, ani dziecka. Zostanie całkiem sama.

Któż się o nią zatroszczy?

Biedna kobieta była bardzo smutna. Inni ludzie też się martwili i bardzo jej współczuli. Dlatego towarzyszyli jej w pogrzebie, chociaż nikt nie mógł już nic pomóc.

Nagle odezwał się czyjś głos:

— Nie płacz!

Matka podniosła głowę, a ludzie w zdumieniu spojrzeli na Tego, który to powiedział.

Któż to był?

Pan Jezus.

On również, jeszcze bardziej od innych, ulitował się nad starą matką. Zbliżył się do mar i położył na nich rękę.

Niosący zatrzymali się. Stanął także cały kondukt. Ludzie ze zdumieniem patrzyli, co Pan Jezus zamierza zrobić.

A On spojrzał na martwego człowieka, który już nic nie widział i nic nie słyszał.

A jednak Pan Jezus powiedział do niego:

— Młodzińcze, ja ci mówię: wstań!

I wyobraź sobie, że zmarły usłyszał. W momencie, gdy Pan Jezus przemówił do niego, zaczął słyszeć. Otworzył oczy, usiadł i przemówił. A Pan Jezus ujął go za rękę i poprowadził do matki.

Stara kobieta rzuciła się w stronę syna i chwyciła go w ramiona. Nigdy dotąd nie była tak szczęśliwa. Odzyskała dziecko. Ledwie mogła w to uwierzyć, a jednak to była prawda! Umarł, ale Pan Jezus przywrócił mu życie.

Wszyscy ludzie myśleli:

— Jaki dobry jest dla nas Bóg, że zesłał nam Pana Jezusa.

I opowiadali po całym mieście o tym, jak potężny jest Jezus, który może nawet zmarłemu przywrócić życie!

NIEZAWODNA OPIEKA

Pan Jezus powrócił znowu nad brzeg morza. Znajdowało się tam wielu nieszczęśliwych, których chciał uczynić szczęśliwymi. Uzdrawiał chorych i mówił ludziom, że Bóg ich kocha. Potem wsiadł do łodzi Piotra i stamtąd przemawiał do ludzi.

A gdy nadszedł wieczór, Jezus poczuł się bardzo zmęczony, bo ogromnie się napracował. Ludzie jednak nie odchodzili, bo nie domyślali się nawet, jak jest zmęczony. Nie dawali Mu ani chwili wytchnienia. Wtedy Pan Jezus powiedział do Piotra:

— Popłyńmy na drugi brzeg.

Nikt tam nie mieszkał, wokół wznosiły się tylko góry, więc Jezus będzie mógł spokojnie odpocząć.

Łódź sunęła po wodzie. Pan Jezus położył się z tyłu, na jej dnie, położył głowę na poduszce i zasnął. Uczniowie cichutko rozmawiali, aby Go nie budzić.

Z początku panowała piękna pogoda. Wieczór był spokojny i cichy. Gwiazdy połyskiwały na niebie, a wiatr łagodnie dmuchał w żagle i posuwał łódź do przodu. Fale delikatnie uderzały o łódź, jak gdyby chciały się z nią bawić. Lecz gdy wypłynęli daleko w morze, wszystko się zmieniło.

Gwiazdy znikły, niebo zasnuło się chmurami. Wiatr począł dąć coraz silniej, a niewielkie fale zmieniły się w ogromne bałwany. Już nie igrały z łodzią, ale uderzały o nią z taką siłą, że wydawało się, że z nią walczą i chcą zatopić.

Wiatr popychał łódź gwałtownie i rzucał ją po falach, a ona tańczyła, to wznosząc się, to opadając. Groziło jej, że zatonie!

Gdy fale przelewały się ponad burtą, uczniowie bardzo się bali. Chwilami woda zalewała ich zupełnie i wydawało się, że łódź tonie. Jeżeli się przewróci, wszyscy utoną w głębinie. Pan Jezus również.

A co robi Pan Jezus?

Leży nadal w tyle łodzi i śpi. Czyżby nie przejmował się wcale grożącym niebezpieczeństwem?

Uczniowie zbliżyli się do Pana Jezusa i obudzili Go wołając:

— Mistrzu, ratuj nas, bo giniemy! Wszyscy zaraz zatoniemy! Czy Ciebie to nic nie obchodzi?

Wówczas Pan Jezus obudził się. Usłyszał huczący wiatr i szalejące fale, ale wcale się nie przestraszył. Zapytał uczniów:

— Dlaczego się boicie? Nie dam wam przecież zginąć!

Wstał, wychylił się z łodzi, rzucił surowe spojrzenie na wzburzoną wodę i powiedział:

— Wietrze, umilknij! Fale, uciszcie się!

I oto wszystko naraz ucichło. Wiatr nie ośmielił się już wiać, fale przestały obijać się o łódź. Posłuchały Pana Jezusa i ucichły. Uczyniły to, co On im rozkazał.

Wtedy Pan Jezus powiedział do uczniów:

— Czy rozumiecie teraz, że przy mnie zawsze jesteście bezpieczni?

Uczniowie nie śmieli nic odpowiedzieć. Wstydzieli się bardzo.

Ale gdy płynęli dalej po uspokojonym już morzu, szeptali między sobą:

— Jakże to jest możliwe, aby wiatr i woda były Mu posłuszne?

I myśleli sobie:

— Kiedy Pan Jezus jest z nami, możemy się niczego nie lękać.

CÓRECZKA JAIRA

W mieście Kapernaum mieszkał wraz z żoną pewien człowiek. Mieli tylko jedno dziecko, dwunastoletnią córeczkę. Człowiek ten nazywał się Jair. Kapernaum leżało nad wielkim jeziorem. Jair był bogaty i mieszkał w dużym domu. Kochał bardzo swą żonę i córeczkę.

Pewnego dnia dziewczynka zachorowała. Była to choroba, której nie umiano leczyć. Leżała więc w swym łóżeczku blada i cicha. Była tak słaba, że nie miała siły mówić. Lekarz powiedział Jairowi:

— Twoja córeczka wkrótce umrze. Nikt już nie jest w stanie jej pomóc. To było straszne. Zrozpaczeni rodzice nie wiedzieli, co począć. Dziewczynka była ich jedynym, ukochanym dzieckiem! Gdy umrze, cała radość zostanie im zabrana.

Ojciec dziewczynki, Jair, pomyślał wtedy o Panu Jezusie. On z pewnością mógłby uratować dziecko!

Pan Jezus znajdował się niedaleko, nad brzegiem jeziora. Oby tylko zdołał przybyć na czas, zanim dziewczynka umrze, zanim jeszcze nie będzie za późno!

Ojciec wybiegł z domu i pędem puścił się w drogę. Wkrótce znalazł się na brzegu. Tłum ludzi otaczał Jezusa. Jair przepychał się z całych sił, a potem padł na kolana przed Jezusem i zawołał:

— O Nauczycielu, błagam Cię, chodź prędko ze mną! Moja córeczka jest bardzo chora. W każdej chwili może umrzeć. Tylko Ty jeden możesz ją uzdrowić. Jeżeli dotkniesz jej swoją dłoń, będzie uratowana!

Pan Jezus zgodził się i podążył za Jairem. Ale nie mogli iść zbyt śpiesznie, bo towarzyszyło im dużo ludzi. Musieli ich wymijać, aby posuwać się naprzód.

Sporo czasu minęło, zanim dotarli do miasta.

A tam znów jakaś kobieta, chora od dawna, zbliżyła się do Jezusa, bo także pragnęła zostać uzdrowiona. Pan Jezus rozmawiał z nią przez chwilę, i to ich znowu zatrzymało.

— Ach — myślał Jair — żebyśmy tylko nie przyszli za późno!

Niestety, już było za późno. Sługa, który wybiegł im naprzeciw, wstrząśnięty i zasmucony powiedział do Jaira:

— Twoja córeczka umarła. Pan Jezus nie ma po co przychodzić. Teraz już nikt nie może dla niej nic uczynić. Ale Pan Jezus rzekł:

— Jairze, nie bój się, tylko wierz mocno. Ja mogę jeszcze ci pomóc.

Wtedy Jair odzyskał nadzieję. Uwierzył Panu Jezusowi na słowo. Myślał:

— Nie wiem, jak to się stanie, ale On może uczynić wszystko!

Przybyli do domu Jaira.

Towarzyszące im osoby zostały na zewnątrz, jak również i większość uczniów. Tylko trzech uczniowie: Piotr, Jakub i Jan weszli do środka. W domu było pełno ludzi, którzy zjawili się tu na wieść o śmierci dziewczynki. Zgromadzili się wokół niej, płacząc i zawodząc.

Pan Jezus rzekł:

— Po coście tutaj przyszli? Żeby krzyczeć i płakać? Dziecko nie umarło, lecz śpi!

Ludzie wyśmieli Go, bo dla wszystkich było oczywiste, że dziecko nie żyje.

Jezus kazał im wyjść.

W domu zapanowała cisza.

Pan Jezus wszedł do pokoju, w którym leżała dziewczynka. Towarzyszyli Mu tylko trzech uczniowie i rodzice dziecka.

Dziewczynka leżała na łóżku. Oczy miała zamknięte, można było myśleć, że śpi. Wyglądała tak samo jak codziennie z rana, gdy matka przychodziła ją budzić.

Matka mawiała do niej:

— Córeczko, wstawaj!

Wtedy ona otwierała oczy.

Ale teraz leżała martwa. Już nie oddychała, jej serce nie biło. Nie słyszała nawoływań matki.

Jednak gdy Pan Jezus zawołał, dziewczynka usłyszała.

Pan Jezus wziął ją za rękę i powiedział łagodnie:

— Dzieweczko, ja ci mówię: wstań!

I wyobraź sobie, że oczy jej się otworzyły, a serce zaczęło bić. Dziewczynka usiadła na łóżku, potem się podniosła, przeszła przez pokój i rzuciła się w objęcia matki.

Jej choroba minęła bez śladu. Pan Jezus wyleczył ją całkowicie.

Uszczęśliwiona matka pochwyliła córkę w ramiona i całowała. Ojciec zbliżył się także, by ją mocno uściskać.

Wtedy Pan Jezus powiedział:

— Dajcie jej coś do zjedzenia.

To On zatroszczył się o dziecko. To On wszystko odmienił!

On może odmienić wszystko, także twój wielki smutek — w radość.

CUDOWNE ROZMNOŻENIE CHLEBA

Pan Jezus wraz ze swymi uczniami udał się w góry, na drugą stronę jeziora, dokąd przeprowili się łodzią Piotra, aby trochę odpocząć. Byli bowiem bardzo zmęczeni swą pracą. Lecz ludzie, zobaczywszy, dokąd udał się Jezus, pośpieszyli za Nim, zabierając z sobą chorych, którzy chcieli, aby i ich Jezus uzdrowił.

Ludzie przybywali tłumnie. W końcu zgromadziło się ich około pięciu tysięcy. Pan Jezus nie odprawił jednak nikogo. Nie powiedział: — Wracajcie do siebie, bo jestem zmęczony! Bo On nie odtrąca od siebie nikogo, kto Go potrzebuje.

Zabrał się więc znów do pracy. Przemawiał do ludzi, podając im jedyny sposób na to, jak można być szczęśliwym. Uzdrowiał także chorych.

Zbliżał się wieczór. Słońce schodziło z nieboskłonu. Jeszcze trochę i zapadnie noc. Gdzie podzięją się ci wszyscy ludzie? Gdzie znajdą coś do jedzenia?

W okolicy nie było żadnych sklepów, więc nie można nic kupić do jedzenia, a do najbliższej wsi droga daleka.

Ludzie nie myśleli zresztą o jedzeniu. Siedzieli w ciszy wokół Jezusa i słuchali Go.

Wydawało się, że i Pan Jezus wcale nie myśli o jedzeniu.

Lecz pamiętali o tym uczniowie. Podeszli do Jezusa i powiedzieli:

— Odeślij teraz tych ludzi, aby mogli kupić sobie coś do jedzenia.

Niemądrze to wymyślili, ponieważ żadnych sklepów w pobliżu nie było, a poza tym wielu z tych ludzi nie miało wcale pieniędzy. Czy mieli więc pozostać o głodzie przez cały wieczór?

Pan Jezus powiedział uczniom:

— Sami dajcie im jeść!

Lecz oni spojrzeli na Niego ze zdumieniem. Jakże mogą nakarmić tylu ludzi, przecież to niemożliwe!

Pan Jezus rzekł:

— Zobaczcie, czy kto nie ma chleba! Uczniowie zaczęli rozglądać się w tłumie i znaleźli chłopca, który przybył tu za Jezusem. Miał on z sobą koszyk, a w nim pięć chlebów i dwie ryby.

Ale to było za mało i nie wystarczyłoby dla wszystkich.

Uczniowie powrócili do Pana Jezusa i powiedzieli:

— Są tylko dwie ryby i pięć chlebów. Pan Jezus odpowiedział:

— Przynieście mi je.

Posłuchali. Chłopiec natychmiast się zgodził oddać swe zapasy.

Pan Jezus polecił:

— Każcie usiąść wszystkim na trawie.

Potem wziął pięć chlebów i dwie ryby, spojrzął w niebo, podziękował Ojcu za te dary, a następnie, wyciągnąwszy ręce nad pożywieniem, pobłogosławił je.

Wtedy wydarzył się wspaniały cud.

Pan Jezus wziął chleb i dzielił go.

Potem wziął ryby i dzielił je.

Odłamane kawałki wkładał do kosza. Napełnił nimi cały kosz. Potem jeszcze jeden i następne.

Uczniowie roznosili kosze wśród ludzi, kosze pełne chleba i ryb.

Ludzie brali i jedli, ile chcieli.

Skąd wziął się ten nieoczekiwany posiłek?

Pochodził on z rąk Pana Jezusa.

To Pan Jezus uczynił ten wielki cud. Kiedy już ludzie najedli się do syta, Pan Jezus polecił uczniom:

— Idźcie i pozbierajcie resztki, które zostały, bo nic nie może się zmarnować. Nigdy nie wolno marnować chleba, lecz trzeba go dawać potrzebującym.

Ucniowie pozbierali wszystko, co pozostało.

Ile tego było?

Dwanaście pełnych koszy! To znaczy o wiele więcej niż przed posiłkiem, a przecież było tam bardzo dużo ludzi, prawie pięć tysięcy! I wszyscy najedli się do syta!

Ludzie nie spodziewali się, że Pan Jezus może być aż tak potężny. Mówili między sobą:

— Wiecie, co zrobimy? Obierzemy Go naszym królem, niech zamieszka we wspaniałym pałacu i wypędzi wszystkich naszych wrogów. On z pewnością może zwyciężyć naszych nieprzyjaciół, może też wygrać wojnę. O tak! Niech Pan Jezus zostanie naszym królem!

Ale Pan Jezus nie zgodził się. Nie chciał być wojującym władcą.

Pragnął zostać królem dopiero wówczas, gdy Jego dzieło na ziemi zostanie wypełnione.

Ale nie takim królem, który prowadzi wojny, lecz Księciem Pokoju, nie ziemskim władcą, lecz Królem Niebios.

Dlatego tego wieczoru odprawił wszystkich ludzi, którzy chcieli obwołać Go królem. Odesłał także swoich uczniów.

Powiedział im:

— Wróćcie do łodzi i przeprawcie się na drugą stronę jeziora. Ja dołączę do was później.

Ucniowie nie byli z tego zadowoleni, ale poszli.

Musieli słuchać Pana.

Pan Jezus został sam.

Zrobiło się ciemno i cicho.

Zapadła noc.

Wtedy Pan Jezus wszedł na szczyt góry, ukląkł i modlił się.

Rozmawiał ze swym Ojcem w niebie.

PAN JEZUS CHODZI PO JEZIORZE

Po jeziorze płynie łódź. Siedzi w niej dwunastu ludzi. Są to ucniowie Pana Jezusa, których odesłał ze słowami:

— Wracajcie spokojnie na drugi brzeg, ja przyjdę do was później.

Ucniowie woleliby nie odpływać, woleliby pozostać z Panem Jezusem, ale musieli być Mu posłuszni.

Odpłynęli wieczorem, a teraz zapadła noc. Jest zupełnie ciemno, wiatr dmie mocno. Muszą wiosłować z całych sił, aby posuwać się naprzód.

Wiatr wzmaga się. Ucniowie wiosłują z całych sił, a jednak nie posuwają się wcale naprzód. Stoją w miejscu, bo płyną pod wiatr i znoszą ich fale. Łódź kręci się w kółko, zalewana wzburzoną wodą. Grozi jej, że roztrzaska się w kawałki. Wtedy wszyscy zatoną.

Ucniowie boją się. Myślą:

— Oto jesteśmy zupełnie sami na tym wzburzonym jeziorze! Pana Jezusa nie ma z nami, jak wtedy, gdy uciszył straszliwą burzę. Teraz nie może nam pomóc. Nawet nie wie, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Nie widzi nas! Pewnie wszyscy zginiemy!

Ale Pan Jezus wiedział o wszystkim, co się dzieje.

Widział swych uczniów.

Był na górze, zupełnie sam wśród ciemności. Wstąpił tam, by się modlić.

Ale nie zapomniał o swych uczniach i widział ich z daleka. Bo Pan Jezus widzi nawet wtedy, gdy jest ciemno.

Widział więc, jak uczniowie starają się wiosłować ze wszystkich sił, aby posuwać łódź do przodu.

Widział, że boją się i gorąco pragną, by znalazł się przy nich. Wtedy udał się do nich.

Ale nie popłynął łodzią, tylko po prostu poszedł.

Szedł po falach, a woda Go nie pochłaniała!

Bo i ona była posłuszna Panu!

Pan Jezus szedł po jeziorze, kierując się w stronę łodzi.

Uczniowie wiosłowali z całych sił, bojąc się, że zatoną. Nagle ujrzeli coś białego poruszającego się po powierzchni wody.

Przestraszyli się jeszcze bardziej.

Zaczęli wołać:

— Duch! Duch!

Lecz w tej chwili usłyszeli głos Jezusa:

— Nie bójcie się, to ja!

Co za szczęście! Pan Jezus przyszedł! Nie zapomniał o nich...

Piotr zawołał:

— Panie, czy to Ty? Jakże to możliwe, że chodzisz po wodzie? Czy mogę wyjść Ci na spotkanie? Czy i ja mogę iść po wodzie?

Pan Jezus zawołał:

— Chodź!

Wtedy Piotr wyszedł z łodzi i zaczął iść po wodzie, a ona go unosiła. Nie tonął. Szedł po jeziorze w kierunku Jezusa. Nie bał się, ponieważ widział Pana Jezusa i wiedział, że On nad nim czuwa.

Ale wiatr dął mocno, a fale huczały. Woda pod nogami była czarna i bardzo głęboka. Gdy Piotr spojrział w głębinę, znów ogarnął go strach. Zapomniał o Jezusie.

I natychmiast zaczął się zapadać w głęboką wodę.

— Panie, ratuj mnie! — zawołał.

Pan Jezus znalazł się przy nim w jednej chwili, chwycił go za rękę i wyciągnął na powierzchnię wody.

A potem powiedział:

— Człowieku małej wiary, czemuś o mnie zapomniał?

Trzymając Piotra za rękę, doszedł do łodzi. Gdy obaj weszli do środka, burza, o dziwo, natychmiast się uciszyła.

Wiatr przestał wiać, fale opadły i nie obijały już łodzi.

Wiatr i fale wiedziały. Kto się w niej znajduje!

Również uczniowie to wiedzieli. Padli na kolana przed Jezusem i zawołali z głębi serc:

— Panie, jesteś potężny! Jesteś Synem Bożym i zawsze czuwasz nad nami!

O tak, teraz byli tego pewni.

Jeżeli Pan Jezus jest twym przyjacielem, i ty jesteś zawsze bezpieczny. Możesz się niczego nie bać.

O CZŁOWIEKU, KTÓRY NIE CHCIAŁ PRZEBACZYĆ

Powiedz mi, co robisz, gdy jakieś dziecko wyrządzi ci krzywdę?

Czy bijesz je wtedy? Czy mu wymyślasz?

A może sam dokuczysz innym, ile tylko wlezie?

Pan Jezus nigdy nie postępuje w ten sposób. Chociaż my sprawiamy Mu przykrość. On nam zawsze przebacza. On chce byśmy, mimo wszystko, znaleźli się wraz z Nim w niebie.

Pan Jezus powiedział:

— Postępujcie tak, jak ja. Wybaczajcie jedni drugim, bo inaczej Bóg wam nie daruje waszych win.

Potem opowiedział taką historię:

Był król, który miał wiele sług. Jeden sługa był mu winien dużo pieniędzy. Aż całą skrzynię!

Pewnego dnia król wezwał go do siebie i powiedział:

— Oddaj mi to wszystko, co jesteś mi winien.

Sługa okropnie się przeraził, bo nie miał dość pieniędzy.

Król rzekł:

— Zostaniesz więc wtrącony do więzienia.

Oszalały ze strachu sługa rzucił się na kolana przed królem i wołał ze łzami:

— Królu, ulituj się nade mną! Błagam cię, nie wtrącaj mnie do więzienia! Poczekaj trochę, a zwrócę ci wszystko!

Oczywiście, nie mógłby tego zrobić, bo dług jego był zbyt wielki. Jednak król był dobry, więc zmiłował się nad płaczącym sługą i rzekł:

— Wracaj do domu. Daruję ci cały dług. Nic już nie musisz zwracać.

Sługa nie posiadał się ze szczęścia.

Gdy opuszczał pałac królewski, chciał mu się tańczyć i śpiewać z radości. Już mu nie grozi więzienie! Już nie musi odmawiać sobie każdego grosza, by odkładać pieniądze na zwrot długu! Jakże dobry jest król!

I tak znalazł się na ulicy, gdzie spotkał innego sługę królewskiego, który jemu z kolei był winien trochę pieniędzy. Niewiele, zaledwie parę groszy. Pierwszy sługa rzucił się jednak na niego, schwycił za gardło i krzyczał:

— A, mam cię wreszcie! Oddaj mi zaraz moje pieniądze, które jesteś mi winien, bo wtrącę cię do więzienia!

Drugi sługa przestraszył się nie na żarty. Padł na kolana i zawołał ze łzami:

— Zlituj się nade mną i zechciej trochę jeszcze poczekać, a zwrócę ci wszystko! Nie wtrącaj mnie do więzienia!

Ale pierwszy sługa wcale go nie słuchał. Nad nim król się ulitował, lecz on nie okazał litości swemu koledze.

Włókł go ulicą i kazał zamknąć w więzieniu.

Jemu król darował ogromny dług, a on swemu towarzyszowi nie chciał darować nawet małego.

Ale ludzie na ulicy widzieli, co zaszło. Poszli do króla i opowiedzieli mu wszystko.

Wówczas dobry król bardzo się rozgniewał. Wezwał pierwszego sługę i rzekł do niego:

— Zły i podły sługo! Darowałem ci cały twój dług, a tyś nie chciał darować twemu dłużnikowi!

Nie pomogły tym razem łzy i błagania, król nie miał już nad nim litości i wtrącił go do więzienia.

Zasłużył sobie na to, prawda?

Pan Jezus zakończył tę opowieść słowami:

— Tak też uczyni Ojciec mój Niebieski z wami, jeżeli nie wybaczycie z całego serca tym, którzy was krzywdzą.

Czy rozumiałeś dobrze tę historię? Czy wiesz teraz, jak masz postępować, jeżeli jakieś dziecko wyrządzi ci krzywdę?

DOBRY PASTERZ

A oto inna opowieść.

Była kiedyś mała owieczka. Nazywała się Jagnisia.

Mieszkała w zagrodzie wraz z innymi owcami. Było ich razem sto sztuk — całe stado.

Na noc zamykano zagrodę, a owce bezpiecznie spały na słomie.

Rano przychodził pasterz, otwierał wrota i wywoływał każdą owieczkę po imieniu:

— Pójdź do mnie, Czarnulka! Do mnie. Kudłata!

Wołał także:

— Do mnie, Jagnisiu!

Owce znały swego pasterza. Znały dobrze jego głos i posłusznie wychodziły.

— Trzymajcie się zawsze blisko mnie! — przykazywał im pasterz. Potem ruszali w drogę.

On szedł na przędzie, a one postępowały za nim. Sunęły wśród głębokich przepaści i wysokich gór.

Szły wąskimi ścieżkami. Droga często bywała niebezpieczna.

Lecz owce trzymały się blisko pasterza i wszystko było dobrze. Nie błądziły, bo on znał drogę.

W końcu docierały na piękne łąki, porośnięte wspaniałą trawą, której mogły zjeść tyle, ile tylko chciały.

Nie wolno jednak było im się stamtąd oddalać. Gdy któraś samotnie odbijała się od stada, pasterz natychmiast wzywał ją z powrotem. Czuwał nad swoimi owcami.

Pewnego dnia Jagnisia odbiła się od stada. Tymczasem dzikie zwierzę zaczęło się w pobliżu.

Podczołgało się do owieczki i już chciało ją porwać i pożreć, gdy pasterz zobaczywszy, co się dzieje, pośpieszył z pomocą. Nie bał się dzikiego zwierza i odgonił je kijem.

Potem rzekł do owieczki:

— Nie oddalaj się ode mnie, bo tylko przy mnie jesteś bezpieczna! Ale Jagnisia była nierozważna i nieposłuszna. Zapomniała prędko o swej przygodzie i postanowiła:

— Pójdę własną drogą. Jestem już na to wystarczająco duża!

I odeszła. Wcale nie myślała o stadzie ani o dobrym pasterzu. Szła coraz dalej i dalej, aż tu zaczęła zapadać noc.

I wtedy Jagnisia postanowiła wrócić. Zaczęła szukać stada i głośno wzywać inne owce. Była jednak zbyt daleko i nikt jej nie słyszał.

Ogarnął ją lęk. Samiuteńka wśród ciemnych wzgórz, nie mogła nigdzie odnaleźć śladów dobrego pasterza. Jakże żałowała teraz tego, co zrobiła!

— Po co oddalałam się od stada? — myślała.

Szukała, błądziła, a tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno i owieczka nie widziała nawet, gdzie stawia nóżki. Wszędzie były doły, kamienie i ciernie.

Nagle... łubudu!!! Jagnisia wpadła do dołu. Przez chwilę nie mogła się ruszyć, jęczała i płakała, bo zrobiła sobie krzywdę. Bezskutecznie próbowała wydostać się stamtąd, ale nie mogła. Głośno wołała:

— Ratunku! Na pomoc! — ale nikt jej nie słyszał.

Biedna owieczka! Czy nigdy już nie wróci do dobrego pasterza?

A dobry pasterz był już wtedy we wsi ze swym stadem. Zatrzymał się przed zagrodą i wpuszczał do niej owce. Liczył je: Jedna, druga, trzecia, czwarta, piąta... sześćdziesiąta... dziewięćdziesiąta... setna!

Nie, nie ma setnej! Brak jednej owieczki! Tak, nie ma Jagnisi!

Dobry pasterz bardzo się zmartwił, bo lubił swą małą, nieposłuszną owieczkę.

Natychmiast więc, mimo zmęczenia po całym dniu, zawrócił w stronę ciemnych wzgórz.

Szedł ciągle naprzód, zatrzymując się co jakiś czas i wołając:

— Jagnisiu!!!

Nagle coś usłyszał.

Z oddali dobiegło jakieś beczenie.

Dobry pasterz skierował się w tamtą stronę.

Coś poruszyło się w ciemnościach.

I oto nagle odnalazł swą zagubioną owieczkę.

Jakże się ucieszył! Wziął ją na ręce i jeszcze tej samej nocy odniósł do zagrody.

Jagnisia ufnie złożyła łebek na piersi dobrego pasterza i myślała:

— Jestem uratowana. Dobry pasterz czuwa nade mną. Mój kochany, dobry pasterz! Już nigdy nie oddalę się od niego! Zawsze będę mu posłuszna.

Gdy przybyli do zagrody, pasterz złożył owieczkę na słomie. Przyniósł jej wody i opatrzył poranioną nóżkę. Dopiero wtedy sam coś zjadł, napił się i poszedł spać.

Był bardzo szczęśliwy, że odnalazł zagubioną owieczkę.

Piękna historia, prawda?

To Pan Jezus ją opowiedział.

A zakończył ją słowami:

— To ja jestem tym dobrym pasterzem.

Czy zrozumiałeś tę opowieść?

Pan Jezus jest Dobrym Pasterzem, a my Jego owcami. Wszyscy ludzie i wszystkie dzieci, które Go kochają, są Jego owcami.

Dobry Pasterz troszczy się o nas i czuwa nad nami. Kiedy jesteśmy nieposłuszni i oddalamy się od Niego, On — nie zrażony tym — szuka nas.

I bardzo jest szczęśliwy, gdy znajdzie swą zagubioną owieczkę.

Nasz Dobry Pasterz!

Bądźmy zawsze przy Nim.

Tu jesteśmy bezpieczni!

Przy Nim wszystko będzie dobrze, zawsze.

MIŁOSIERNY SAMARYTANIN

Pewien człowiek postanowił udać się w podróż. Mieszkał w Jerozolimie, ale zanim wyruszył w dalekie kraje, najpierw wybrał się do Jerycha.

Droga była dzika i mało uczęszczana, a okolica pusta i nie zamieszкана. Nigdzie domów, nigdzie ludzi. Wzdłuż drogi ciągnęły się tylko góry i zarośla.

A w gęstych zaroślach czatowali zbójcy. Wypatrzyli z daleka samotnego podróżnego, a kiedy się zbliżył, nagle wyskoczyli z ukrycia i rzucili się na niego. Schwycili go, zabrali mu wszystkie pieniądze, podarli na nim odzież, a potem bili napadniętego tak długo, aż padł zemdlony na ziemię. Wtedy zbójcy spieszenie uciekli.

I oto biedny, na wpół żywy człowiek leżał na skraju drogi. Sam nie mógł się podnieść. Był tak słaby, że nie miał siły wzywać pomocy. Jęczał tylko i myślał:

— Jeżeli mnie nikt zaraz nie poratuje, na pewno umrę.

Ale oto słychać czyjeś kroki: tup, tup, tup! Ktoś idzie.

Nadchodzi biało ubrany człowiek. To kapłan wraca ze świątyni, w której się modlił. On na pewno ulituje się nad nieszczęśliwym rannym, na pewno przyjdzie mu z pomocą!

Ranny unosi lekko głowę i woła z całych sił:

— Ratunku! Ratunku!

Ale kapłan zachowuje się tak, jak gdyby nic nie słyszał. Wcale nie ma zamiaru zatrzymać się przy nieszczęśliwym. Przechodzi na drugą stronę drogi i wędruje dalej, nie zwracając wcale uwagi na leżącego.

Ranny zostaje sam. Jęczy z bólu.

Ale co to? Posłuchaj!

Tup, tup, tup...

Znów ktoś nadchodzi. Tym razem idzie lewita, sługa kapłański. I on również wraca ze świątyni. On również jest sługą Bożym. Czy okaże więcej litości niż kapłan?

— Ratunku! Ratunku! — woła biedny człowiek.

Lecz i lewita nie jest dobrym sługą Bożym. I on mija rannego tak samo prędko jak kapłan.

Ranny pozostaje sam. Głowa pęka mu z bólu. Boli całe ciało.

Czuje się coraz gorzej.

Jęczy.

Nikt nie zlitował się nad nim.

Myśli, że z pewnością umrze niedługo.

Posłuchaj, co to?

Czyżby znów ktoś nadchodził?

Klap, klap, klap... Powoli człapie osioł.

A na nim siedzi jakiś człowiek. Może ten pomoże rannemu?

O, nie, na pewno nie!

To Samarytanin, cudzoziemiec i wróg. Wyśmiejże zapewne rannego i powie:

— Leż tu sobie dalej, dobrze ci tak!

Biedny człowiek zamknął oczy i leży bez ruchu na skraju drogi, mając nadzieję, że Samarytanin go nie zauważy.

Ale cóż to? Osiołek zatrzymuje się. Zbliżają się czyjeś kroki, ktoś odzywa się do rannego:

— Co ci się stało, biedny człowieku? Widzę, że nie możesz chodzić. Zaraz ci pomogę.

Samarytanin klęka obok rannego, ociera mu krew, bandażuje głowę. Potem delikatnie go podnosi, sadza na swego osła, a sam idzie z boku, pilnując, by tamten się nie zsunął. Wcale nie myśli o tym, że ten człowiek jest jego wrogiem. To nie ma znaczenia. On miłuje swego wroga i współczuje mu.

To jest miłosierny Samarytanin.

Długo wędrują drogą, aż dochodzą do gospody. Tu można się zatrzymać w czasie podróży, zjeść posiłek i przespać się.

Za to jednak oczywiście trzeba zapłacić.

Samarytanin wnosi rannego do domu, kładzie go na łóżku, starannie opatruje jego rany i czuwa przy nim. Następnego dnia rano, zanim wyruszy w dalszą drogę, wzywa właściciela gospody, daje mu pieniądze i mówi:

— To dla ciebie, abyś zaopiekował się tym nieszczęśliwym człowiekiem. Niech on tu zostanie, dopóki całkowicie nie wróci do zdrowia. A gdyby się okazało, że zostawiłem ci za mało pieniędzy, zwrócę je w drodze powrotnej.

I tę historię opowiedział Pan Jezus. A na zakończenie zapytał:

— Który z tych ludzi spełnił wolę Boga? — Kapłan, lewita czy Samarytanin?

Nie było to trudne pytanie i wszyscy umieli na nie odpowiedzieć.

Wtedy Pan Jezus rzekł:

— I wy postępujcie tak samo.

SYN MARNOTRAWNY

Pewien ojciec miał dwóch synów. Był on bardzo bogaty i mieszkał w pięknym domu. Troszczył się też o swoje dzieci, dawał im piękne ubrania, wielbłądy i dużo różnych prezentów. Starszy syn był posłusznym chłopcem. Codziennie sumiennie wypełniał swoje obowiązki. Ojciec kochał go bardzo. Drugi syn nie był taki posłuszny. Często sprawiał ojcu wiele zmartwienia. Ale i jego ojciec bardzo kochał. Kochał ich obu jednakowo.

Pewnego dnia młodszy syn wdrapawszy się na wysoką górę, skąd rozciągał się wspaniały widok, pomyślał sobie tak:

— Tam, daleko, na pewno jest piękniej niż tutaj. Pójdę w szeroki świat! Wrócił do ojca i rzekł:

— Ojczy, daj mi worek pieniędzy. Nie zostanę tu dłużej. Chcę powędrować w świat.

Stary ojciec zasmucił się. Odrzekł:

— Dziecko drogie, proszę cię, nie myśl o tym. Zostań ze mną. Miałem już z tobą tyle zmartwień, nie sprawiaj mi teraz największego.

Ale syn nie chciał słuchać. Myślał:

— Ojciec nic nie rozumie. Ja wiem lepiej od niego.

Wdział piękne ubranie, dosiadł wielbłąda i zażądał:

— Daj mi, ojczy, pieniądze. Ruszam w świat!

Wówczas ojciec dał mu pieniądze, a syn odjechał bardzo zadowolony. Nawet się ani razu nie obejrzał. Zapomniał o starym ojcu.

Ale ojciec nie zapomniał o nim. Stał przed domem i patrzył tak długo, aż syn całkiem zniknął mu z oczu. Był bardzo smutny. Teraz pozostał mu już tylko jeden syn. Stał i myślał:

— Synu mój, będę codziennie wyglądał twego powrotu. Nigdy nie przestanę na ciebie czekać.

A syn udał się w daleki świat. Odbył wspaniałą podróż. Dotarł do miast, w których było mnóstwo sklepów. Można tam było kupić wiele pięknych rzeczy. Chłopiec kupował wszystko, na co tylko miał ochotę. Posiadał przecież tyle pieniędzy!

Otaczało go wielu przyjaciół, z którymi się bawił. To wszystko dużo kosztowało, ale on nie troszczył się o nic. Sądził, że pieniądze nie wyczerpią się nigdy.

Tymczasem pieniądze skończyły się prędko i wkrótce worek był pusty. Wtedy syn sprzedał swego wielbłąda i znowu miał dużo pieniędzy. Ale i one szybko się wyczerpały.

Wówczas sprzedał swój złoty pierścień i znowu miał dużo pieniędzy. Ale i one prędko się skończyły.

Teraz ten tak niedawno jeszcze bogaty młody człowiek nie miał już nic do sprzedania.

Nie miał już pieniędzy na zabawę ani na kupno pięknych rzeczy.

Zauważył, że przyjaciele już się nim nie interesują. Wszyscy odeszli, pozostawiając go samego, bez pracy i mieszkania.

Zaczął go dręczyć głód. Nie miał jednak za co kupić sobie chleba. Zaczął więc żebrać, chodząc od drzwi do drzwi. Ale nikt mu nic nie dawał, bo w kraju panował głód i brakowało chleba.

Chłopiec trafił w końcu do pewnego wieśniaka, który mu zaproponował: — Zostań u mnie parobkiem i obrządzaj świnie.

Młody człowiek zgodził się.

— Dzięki temu będę miał przynajmniej co jeść — pomyślał.

I został parobkiem.

Żył teraz wśród świń. Stare ubranie podarło mu się, ale nie miał za co kupić nowego. Przymierał też głodem, bo gospodarz nie dawał mu prawie nic do jedzenia. Chłopiec jadłby chętnie karmę dla świń, tak bardzo był głodny, ale gospodarz nie chciał nawet o tym słyszeć.

Źle się działo synowi w dalekim świecie! Ojciec miał rację!

Gdy młody człowiek pomyślał o ojcu, zrobiło mu się strasznie smutno. — Mój ojciec był taki dobry dla mnie — myślał. — Po co wyjeżdżałem? Ojciec ma dość chleba, a ja tu umieram z głodu!

Dręczony wyrzutami sumienia, zapłakał. I w tej samej chwili przyszła mu do głowy myśl:

— A gdyby tak wrócić do ojca?

Któregoś dnia zdecydował się i ruszył w drogę powrotną.

— Ojciec na pewno bardzo się na mnie rozgniewa — myślał. — Mimo to wracam. Powiem mu, że jestem podły i niewart być jego synem. Niech mi chociaż pozwoli zostać u siebie parobkiem.

Syn dotarł wreszcie do ojcowskiego domu. Widział go już z daleka. Wyjeżdżał stąd jako wielki pan, a wraca jako żebrak.

Ludzie nie poznawali go.

— A cóż to za brudny oberwaniec? — mówili.

Zabrakło mu więc odwagi, by iść dalej.

Lecz któż to stoi przed domem i wygląda na drogę? Któż to biegnie mu naprzeciw?

To jego ojciec! Jego ojciec! Oto wreszcie doczekał się syna! Czekał na niego tyle, tyle dni, a teraz wcale się na niego nie gniewa!

Ojciec chwycił syna w ramiona, całował go i wołał:

— Jakże się cieszę, dziecko moje, że wróciłeś!

Syn powiedział:

— Byłem nieposłuszny i niewdzięczny. Nie jestem wart być twoim synem!

Ale ojciec przerwał mu:

— Zawsze jesteś moim synem! Nigdy nie przestałem cię kochać!

Zawołał sługi i polecił im prędko przynieść piękne ubranie, nowe sandały i nowy, złoty pierścień.

Później rozkazał, by upieczono smaczkowe mięsa i ciasta.

— Teraz chodźmy jeść i świętować — powiedział ojciec — bo odzyskałem syna, którego straciłem. Zginął, a teraz odnalazł się.

Ten ojciec nigdy nie przestał kochać swego dziecka.

Tak samo kocha nas nasz Ojciec Niebieski, nas wszystkich, swoje dzieci. Zawsze możemy powrócić do Niego, nawet wtedy, gdy zrobiliśmy coś złego.

Jeżeli szczerze żałujemy, Bóg nie gniewa się na nas, lecz cieszy się, że znów należymy do Jego dzieci. Wielkie jest święto wśród aniołów w niebie, gdy odnajduje się dziecko, które zginęło!

WSKRZESZENIE ŁAZARZA

Pan Jezus bardzo lubił zachodzić do Betanii, do małej wioski w pobliżu Jerozolimy. Mieszkali w niej Jego przyjaciele: Maria i Marta, siostry, i ich brat — Łazarz.

Bardzo cenili sobie oni przyjaźń Pana Jezusa, więc za każdym razem cieszyli się z Jego odwiedzin.

Marta natychmiast przygotowywała coś dobrego do jedzenia, krzątała się, biegała to tu, to tam. Chciała przyjąć Pana Jezusa jak najlepiej. Maria zaś siadała koło Jezusa i słuchała tego, co mówił. Pan Jezus często powtarzał:

— Marto, usiądź tu z nami. Nie trudź się tak, dlatego że przyszedłem. To wcale nie jest konieczne.

Dobrze im było, gdy wszyscy troje siadali koło Pana Jezusa. A i On często do nich zachodził, bo kochał i Marię, i Martę, i Łazarza, wiernych swych przyjaciół.

Pewnego dnia Łazarz zachorował. Był bardzo chory, prawie umierający.

— Ach — wzdychały Maria i Marta — gdyby Pan Jezus był tutaj, na pewno by uratował naszego brata. Ale Pan Jezus znajdował się wtedy daleko, na drugim końcu kraju.

— Gdyby wiedział, że Łazarz jest tak chory, przybyłby na pewno — myślały siostry. Toteż wysłały człowieka, który miał odszukać Jezusa i zawiadomić Go, że Łazarz, którego kocha, jest ciężko chory. Wysłaniec wędrował cały dzień. W końcu dotarł do Pana Jezusa i powiedział:

— Panie, Łazarz, którego kochasz, jest ciężko chory.

Pan Jezus jednak ani się nie przeraził, ani się nie zasmucił. Spokojnie odpowiedział:

— Ta choroba nie spowoduje śmierci. Wysłaniec zawrócił śpiesznie, by przekazać Marii i Marcie pocieszającą wiadomość. Jednakże gdy przybył do Betanii, zastał obie siostry zaptakane, a w domu pełno rozmaitych ludzi w żałobie. Ów człowiek rzekł im:

— Pan Jezus powiedział, że ta choroba nie spowoduje śmierci.

Bardzo to dziwne! Jakże nie spowoduje śmierci, skoro Łazarz umarł i jeszcze tego samego dnia został pochowany w pieczarze, w pobliskich górach. Otwór prowadzący do grobu zawalono wielkim kamieniem.

Teraz Maria i Marta nie miały już brata i same nie wiedziały, co począć w tym nieszczęściu.

— Ach, żeby Pan Jezus był tutaj! — szlochała Marta.

— O, tak — powtarzała Maria płacząc — gdyby Pan Jezus był tutaj, nie stałoby się to, co się stało. Łazarz nie umarłby!

Pan Jezus wiedział jednak, że Łazarz nie żyje. Wiedział wszystko, a mimo to jeszcze przez dwa dni pozostał w dawnym miejscu. Dopiero później rzekł do uczniów:

— Chodźcie, pójdziemy do Betanii. Uczniowie wcale nie mieli ochoty tam iść. Betania leżała bowiem blisko Jerozolimy, gdzie mieszkali źli ludzie, którzy chcieli skrzywdzić Pana Jezusa. On jednak powiedział:

— Łazarz, mój przyjaciel, śpi. Idę tam, by go zbudzić.

Uczniowie nie zrozumieli, co chciał im przez to powiedzieć, toteż odrzekli:

— Skoro śpi, to znaczy, że wraca do zdrowia. Sen jest najlepszym lekarstwem dla chorego.

A w duchu dodali:

— Wobec tego nie trzeba podejmować tej niebezpiecznej podróży. Lecz Pan Jezus powiedział im:

— Łazarz umarł. Jestem szczęśliwy, że mnie tam nie było, bo dzięki temu moc Boża zostanie wam objawiona.

Kiedy Marta dowiedziała się, że Pan Jezus nadchodzi, wybiegła Mu na spotkanie. Maria pozostała w domu.

— Panie, gdybyś był tutaj, Łazarz nie umarłby! — zawołała ze łzami.

A Jezus jej odpowiedział:

— Twój brat opuści grób. Tylko wierz we mnie, Marto!

Ona odrzekła:

— Wierzę, Panie, że Ty jesteś Chrystusem. Synem Bożym.

I zaraz zrobiło jej się lżej na sercu. Wówczas Jezus powiedział:

— Idź, zawołaj Marię.

Marta pobiegła do domu. Było tam dużo ludzi, przyjaciół Marii i Marty, którzy przyszli pocieszać obie siostry. Marta podeszła do Marii i szepnęła jej:

Nauczyciel jest tutaj i wzywa cię. Maria natychmiast podniosła się i wyszła z domu. Wszyscy zebrani podążyli za nią, mówiąc między sobą:

— Pewnie idzie do grobu. Chodźmy za nią, nie zostawiamy jej samej.

Maria jednak spieszyła do Pana Jezusa. Gdy Go zobaczyła, rozplakała się i padła Mu do nóg.

— Panie, Łazarz by nie umarł, gdybyś Ty tu był! — zawołała tak samo jak Marta.

Ile bólu było w tych słowach!

Wszyscy zaczęli płakać. Wszyscy dzielali smutek Marii i Marty.

Pan Jezus współczuł im jeszcze bardziej niż inni.

I On także zapłakał.

Potem spytał:

— Gdzie jest grób waszego brata?

— Pójdź, Panie — odpowiedziały — pokażemy Ci.

Razem udali się do grobu.

Pan Jezus rzekł:

— Odwalcie kamień!

Maria przeraziła się i zawołała:

— Panie, to niemożliwe, to już czwarty dzień...

Pan Jezus jednak odpowiedział:

— Mario, wierz we mnie, a ujrzysz, jak potężny jest Bóg!

Kilku ludzi odwaliło ciężki głaz.

Można było zajrzeć do ciemnej pieczary.

Pan Jezus spojrział w niebo i pomodlił się do swego Ojca:

— Ojcze, dziękuję Ci, żeś mnie wysłuchał.

Potem zajrzał do grobu i rzekł: — Łazarzu, wyjdź!

Zapadła zupełna cisza.

Nagle posłyszeli ludzie jakiś szmer, rumor w grobie, i zaskoczeni ujrzeli, że Łazarz wychodzi.

Szedł, mając ręce i nogi owinięte prześcieradłami, a twarz osłoniętą chustą, tak jak został pochowany...

Ludzie cofnęli się przerażeni. Nie mogli uwierzyć, że ten żywy człowiek, stojący przed nimi, jest naprawdę Łazarzem. Nikt nie wyciągnął do niego ręki. Lecz Pan Jezus powiedział:

— Zdejmijcie z niego prześcieradła i pomóżcie mu iść.

Co za radość ogarnęła Marię i Martę!

Ujęły brata z obu stron pod ręce i zaprowadziły do domu.

Łazarz nie żył od czterech dni. Przez cztery dni spał tak mocno, że nikt nie mógł go obudzić.

Teraz żył znowu, bo Pan Jezus zbudził go ze snu śmierci.

Ludzie, którzy byli świadkami tego wielkiego cudu, wiedzieli już teraz na pewno, że Jezus jest Synem Bożym i że może przywracać życie tym, którzy umarli.

POZWÓLCIE DZIECIOM PRZYCHODZIĆ DO MNIE...

Drogą wędrują kobiety, prowadząc z sobą dzieci. Najmniejsze — niosą, a starsze trzymają za rękę. I matki, i dzieci wyglądają radośnie, odświętnie. Idą bowiem na wielkie święto: na spotkanie Pana Jezusa.

Matki postanowiły:

— Nasze dzieci muszą poznać Pana Jezusa. Muszą Go zobaczyć, aby już zawsze o Nim pamiętały.

Matki chciały też o coś poprosić Pana Jezusa:

— Panie Jezu, Ty, który dajesz szczęście całemu światu, dorosłym i dzieciom, zechciej położyć swą rękę na naszych dzieciach, pobłogosław je i pomódl się za nie. Zechciej obdarzyć je prawdziwą radością i szczęściem.

Pan Jezus był akurat sam. Właśnie skończył rozmowę z jakimiś ludźmi, którzy niedawno odeszli, i teraz otaczali Go wyłącznie uczniowie.

Co za wymarzony moment!

Uszczęśliwione matki zbliżały się do Jezusa.

Lecz uczniowie zobaczywszy, że prowadzą z sobą dzieci, zatrzymali je, mówiąc:

— Czego chcecie od Pana Jezusa? Po co przyprowadzacie tu dzieci? One i tak nic nie rozumieją z tego, co On mówi. Są jeszcze na to za małe. Idźcie stąd! Pan Jezus nie ma czasu dla dzieci.

Ale Pan Jezus był innego zdania. Przywołał matki z dziećmi, zachęcając je, by podeszły:

— Chodźcie do mnie! Nie obawiajcie się niczego.

Uczniom zaś powiedział:

— Pozwólcie dzieciom przychodzić do mnie i nie zabraniajcie im tego. Zachwycone dzieci podbiegły do Jezusa.

Nie bały się Go wcale, chociaż widziały Go po raz pierwszy.

Żadne dziecko nie boi się Pana Jezusa!

Otoczyły Go, a On przygarnął je do siebie.

Brał je na kolana i miło z nimi rozmawiał.

One nie rozumiały wprawdzie wszystkiego, co do nich mówił, ale czuły, że On je kocha.

Pan Jezus kładł ręce na ich głowach, głaskał je i błogosławił. Mówił im, żeby były zawsze grzeczne i radosne, a kiedyś spotkają się z Nim w Królestwie.

Dzieci należą do Pana Jezusa.

Pan Jezus kocha wszystkie dzieci!

NIEWIDOMY BARTYMEUSZ

Przy drodze, owinięty płaszczem, siedzi niewidomy człowiek. Nie odzywa się i można by sądzić, że śpi. Kiedy jednak posłyszysz czyjeś kroki, unosi głowę. Nasłuchuje. A gdy słyszy, że ktoś się zbliża, wyciąga rękę i woła:

— Poproszę parę groszy na kawałek chleba.

Nie widzi przechodniów, tylko ich słyszy. Nie widzi nikogo i niczego, bo jest niewidomy. Słyszy szum drzew, ale nie widzi zielonych liści. Czuje woń kwiatów, ale nie widzi ich barw. Przed jego oczyma panuje wieczna noc. Musi chodzić ostrożnie, po omacku, aby nie potknąć się o jakąś przeszkodę.

Nie może również pracować i dlatego żebrze. Całymi dniami siedzi przy drodze z wyciągniętą ręką i woła:

— Proszę o parę groszy na kawałek chleba!

W ten sposób zbiera codziennie trochę pieniędzy.

Tym nieszczęśliwym człowiekiem jest Bartymeusz. Już dawno temu stracił wzrok. Nikt nie mógł uleczyć jego oczu.

Jedynie Pan Jezus mógłby tego dokonać, ale Bartymeusz nigdy Go dotąd nie spotkał. Sam nie może udać się na poszukiwania, więc cierpliwie siedzi przy drodze i czeka.

Pewnego dnia Bartymeusz jak zwykle siedział przy drodze i nasłuchiwał zbliżających się kroków. Mijało go wielu ludzi. Szli do Jerozolimy na święto Paschy. Zawsze w okresie świąt zbiera się ich dużo, ale tego dnia walił drogą istny tłum. Aż ziemia drżała! Ludzie głośno wykrzykiwali, przepychali się i kilkakrotnie o mało nie przewrócili Bartymeusza.

— Co się dzieje? — pytał niewidomy. — Skąd tu dzisiaj tyle ludzi?

Ktoś mu odpowiedział:

— Nie wiesz? Przecież Pan Jezus będzie tędy przechodził.

Pan Jezus! Serce Bartymeusza mocno zabiło. A może Pan jest już blisko? Może usłyszy jego wołanie?

Niewidomy zaczął więc krzyczeć z całych sił:

— Panie Jezu! Panie Jezu! Zmiłuj się nade mną!

Zagniewani przechodnie uciszali go:

— Cicho bądź! Co ty sobie myślisz! Pan Jezus nie będzie dla ciebie tracił czasu, bo właśnie idzie do Jerozolimy, aby tam zostać królem!

Niewidomy nic sobie jednak nie robił z ludzkiego gadania. Co oni wiedzą o jego nieszczęściu... Nie mają nawet pojęcia, co to znaczy żyć w nieustannym mroku...

I Bartymeusz wołał jeszcze głośniejszym głosem:

— Panie Jezu, zmiłuj się nade mną!

Jezus dosłyszał jego wołanie.

Zatrzymał się i powiedział:

— Przeprowadźcie do mnie Bartymeusza. Siedzi na skraju drogi i woła mnie.

Wtedy ludzie zaczęli wołać:

— Bartymeuszu! Idź do Jezusa! Pośpiesz się. On czeka na ciebie.

Niewidomy zerwał się, odrzucił płaszcz, i z rękoma wyciągniętymi do przodu, po omacku zaczął przedzierać się przez tłum. W końcu znalazł się przy Panu Jezusie i usłyszał Jego łagodny głos:

— Czego chcesz ode mnie, Bartymeuszu? Co mogę dla ciebie zrobić? Wtedy niewidomy poprosił:

— Panie, tak bardzo chciałbym przejrzeć!

Jezus rzekł:

— Odzyskasz wzrok, ponieważ wierzysz, że mogę cię uzdrowić. Przejrzyj!

W tej samej chwili Bartymeusz odzyskał wzrok. Zobaczył zielone drzewa i piękne błękitne niebo. Zobaczył otaczających go ludzi. Zobaczył Pana Jezusa, który go uzdrowił. Padł na kolana i gorąco Mu dziękował.

A gdy Jezus ruszył dalej, Bartymeusz podążył za Nim. Szedł za Jezusem tańcząc i śpiewając z radości. Już nie czuł się nieszczęśliwy. Był zdrow, silny, nie musiał już dłużej żebrać. To wszystko zawdzięczał Panu Jezusowi!

HOSANNA!!!

Drogą wiodącą do wielkiego miasta, Jerozolimy, szedł Pan Jezus w otoczeniu swych uczniów. Za nimi postępował tłum ludzi. Wszyscy z szacunkiem spoglądali na Pana Jezusa i zastanawiali się, czy idzie do Jerozolimy po to, aby zostać królem. Ludzie bardzo chcieli, żeby Jezus został ich królem, bo spodziewali się, że wtedy pokona Rzymian, którzy byli wrogami i okupantami. Ich wojska bardzo dokuczały ludności, więc chciano się ich pozbyć. Gdyby Pan Jezus został królem, mógłby Rzymian wypędzić. Był przecież tak potężny, że mógł uczynić wszystko.

W pewnej chwili Pan Jezus zatrzymał się i przywołał dwóch uczniów:

— Czy widzicie te domy w oddali? — zapytał. — Idźcie tam. Przy wejściu do wsi znajdziecie osła uwiązanego na postronku. Odwiążcie go i przyprowadźcie do mnie. Gdyby ktoś pytał, co chcecie z nim zrobić, odpowiedzcie, że Pan go potrzebuje.

Obaj uczniowie w pierwszej chwili zdziwili się, o co chodzi. Po co Panu Jezusowi osiołek, ale prędko domyślili się, o co chodzi. Skoro chce wjechać do Jerozolimy na ośle, to znaczy, że zdecydował się zostać królem.

Uradowani pobiegli do wsi. Znaleźli tam wszystko tak, jak Pan Jezus powiedział. Przy pierwszych domach stał osioł przywiązany do drzwi. Odwiązali zwierzę i poprowadzili z sobą. Kilku ludzi stojących tam, zapytało:

— Co chcecie zrobić z tym osłem? Uczniowie odpowiedzieli:

— Pan go potrzebuje.

Wówczas ludzie pozwolili im odejść. Tłum podążający za Jezusem ucieszył się widząc uczniów prowadzących osła. Wszyscy rozumieli, co Pan Jezus zamierza uczynić.

Ludzie zdjęli płaszcze, przykryli nimi osła, a potem pomogli Panu Jezusowi dosiąść go.

Pochód ruszył.

Uczniowie szli obok Pana Jezusa, a inni ludzie postępowali za nimi, wznosząc okrzyki:

— Niech żyje nasz król! Hosanna! Hosanna!

Przybywało coraz więcej ludzi. W końcu uformował się ogromny pochód. Wszyscy wołali i śpiewali:

— Król!!! Król nadchodzi! Błogosławiony, który idzie w imieniu Pańskim! Hosanna na wysokościach!

Ludzie zrywali długie liście palmowe i machali nimi w marszu jak chorągwiami. Zdejmowali płaszcze i ścielili je na drodze pod nogi osła, na którym jechał Jezus. Król nie mógł przecież jechać zakurzoną drogą!

Ludzie śmiali się i śpiewali, a wielu tak sobie myślało:

— Teraz Pan Jezus zostanie królem i poprowadzi nas do walki. Zamieszka w pięknym pałacu, jak król Dawid, a nas uczyni bogatymi i szczęśliwymi.

Im bardziej zbliżali się do Jerozolimy, tym głośniej rozlegały się okrzyki: — Hosanna! Hosanna!

Ludzie bogaci i potężni trzymali się jednak na uboczu i wcale nie śpiewali. Byli to faryzeusze i kapłani. Oni nie lubili Pana Jezusa. Zazdrościli, że lud Go kocha i chętnie słucha. Uważali, że ludzie powinni ich słuchać, a nie Pana Jezusa, bo oni są mądrzejsi i inteligentniejsi od Niego! Gdy usłyszeli okrzyki ludu i zobaczyli nadjeżdżającego Jezusa, wpadli w gniew. Chętnie zrzuciliby Go z osła, ale nie ośmielili się tego zrobić.

Ludzie wołali bez przerwy:

— Hosanna! Hosanna! Niech żyje nasz król!

Wrogowie Jezusa powstrzymywali ich mówiąc:

— Uciszcie się! On wcale nie jest naszym królem!

Nikt ich jednak nie słuchał.

Wówczas zwrócili się bezpośrednio do Pana Jezusa:

— Nauczycielu, powiedz swym uczniom, że nie mają prawa tak wołać.

Ale Pan Jezus nie zabronił im tego robić. Ludzie mieli prawo tak wołać, bo On naprawdę jest królem, co prawda nie takim, jak ludzie sobie to wyobrażają, nie królem wojującym, lecz Księciem Pokoju. Nie zamierza mieszkać w pałacu, jak Dawid. Chce uczynić o wiele więcej dla ludzi, chce zwyciężyć potężnego wroga — Szatana, który sprawia, że ludzie są nieszczęśliwi. Gdy go zwycięży, zostanie królem nie tylko Izraela, ale całego świata.

Ale nikt tego jeszcze nie rozumiał. Wszyscy sądzili, że Jezus natychmiast zostanie królem. Dlatego bardzo się cieszyli.

On jednak wiedział, że przedtem nastąpi wiele strasznych rzeczy.

Dlatego był smutny.

Ludzie śmiali się, śpiewali i wznosili okrzyki.

On płakał.

Tak dotarli do Jerozolimy i przemaszerowawszy ulicami miasta, znaleźli się przed świątynią. Tu wszyscy zgromadzili się wokół Jezusa, spodziewając się, że zaraz powie:

— Obierzcie mnie królem, a wspólnie wypędzimy wrogów z kraju!

Ale On tego nie powiedział.

Milczał.

Wtedy ludzie znecierpliwili się i zaczęli mówić:

— Skoro On nie chce zostać naszym królem, odchodzimy. Zobaczymy, co teraz będzie.

I jeden po drugim odchodzili, porzucając na ulicy piękne palmowe liście.

— Nie chcemy słyszeć o Nim! — wołali. — Gniewamy się na Jezusa, bo nie chce być naszym królem.

Jak bardzo się mylili.

Przecież Pan Jezus i tak będzie kiedyś ich królem.

PIĘKNY CZYN MARII

Pan Jezus przybył znowu do Betanii, do swych przyjaciół: Marii, Marty i Łazarza (tego Łazarza, którego wskrzesił). Nadszedł wieczór. Pan Jezus zasiadł do stołu, a wraz z Nim uczniowie i przyjaciele. Mieli wspólnie jeść kolację. Marta jak zwykle krzątała się, by przygotować i dopilnować wszystkiego. Łazarz siedział koło Pana Jezusa. Wszyscy byli szczęśliwi, że Jezus jest z nimi.

Brakowało tylko Marii.

Zjawiła się, gdy już wszyscy siedzieli przy stole. W ręku trzymała wspaniały flakon pełen bardzo drogich perfum. Czuła, że Pan Jezus jest tutaj po raz ostatni. Nazajutrz uda się do Jerozolimy i nigdy już nie wróci. Sam to zapowiedział.

Maria chciała jeszcze coś dla Niego zrobić, aby wyrazić, jak bardzo Go kocha.

Dlatego kupiła ten flakon z pachnącym olejkiem. Kosztował bardzo dużo, ale Maria nie żałowała tego, bo dla Pana Jezusa nic nie jest zbyt drogie. Wystarczyło parę kropel olejku wetrzeć we włosy, aby przyjemnie pachniały.

Lecz Maria uznała, że parę kropli to za mało dla Pana Jezusa. Stanęła za Nim, stłukła szyjkę flakonu i wylała prawie całą zawartość na głowę Jezusa. Namaściła Mu głowę tym pachnącym olejkiem. Potem przyklękła i namaściła Mu nogi. W całym domu rozszedł się przyjemny zapach.

Pan Jezus nie przerywał Marii, siedział nic nie mówiąc, bo wiedział, dlaczego ona to robi, wiedział, jak bardzo Maria Go kocha.

Ale większość obecnych dziwiła się. Judasz zaś, jeden z uczniów Pana Jezusa, był wprost oburzony i wściekły na Marię.

— Co ta kobieta robi — mruzczał. — Po co bez potrzeby stłukła flakon i wylała wszystek olejek?

Judasz nie był miłym człowiekiem. Chociaż należał do uczniów Pana Jezusa, wcale Go nie kochał. Myślał wyłącznie o pieniądzach. Za wszelką cenę pragnął być bogaty. Kilkakrotnie nawet ukradł coś, byle się prędko wzbogacić.

Mamrotał teraz:

— Dlaczego Maria mnie nie podarowała całego flakonu? Można go było sprzedać i uzyskać dużo pieniędzy, a potem rozdać je biednym!

Nie mówił tak z litości dla biednych, lecz dlatego, że sobie pomyślał:

— Mógłbym wtedy trochę zatrzymać dla siebie.

Inni uczniowie także wyrażali swoje niezadowolenie.

Pan Jezus uspokajał ich:

— Czemu gniewacie się na Marię? Postąpiła dobrze, bo biedni będą z wami zawsze, więc będziecie mogli dawać im pieniądze, ale mnie nie zawsze mieć będziecie. Czy wiecie, dlaczego Maria to zrobiła? Ponieważ niedługo umrę i będę pochowany. Czyn Marii nigdy nie zostanie zapomniany.

Uczniowie zamilkli zawstydzeni.

Tylko Judasz wcale się nie zawstydził.
Wstał i wyszedł w ciemną noc.
Poszedł także zrobić coś dla Pana Jezusa.
Lecz to, co zamierzał uczynić, było rzeczą straszną!

OSZUST JUDASZ

Judasz wędrował sam wśród ciemności.
Był zagniewany na Pana Jezusa. Ciągłe miał nadzieję, że Jezus zostanie królem, a teraz usłyszał, że niedługo ma umrzeć.
— Dlaczego Pan Jezus nie chce zostać królem? — myślał. — Przecież to takie łatwe. Tylu ludzi na to czeka. Wszystko ułożyłoby się jak najlepiej, gdyby tylko On się zgodził!
Judasz chętnie przystał do uczniów Pana Jezusa, bo gdyby Pan Jezus był królem, wówczas on, jako uczeń, zostałby jednym z najważniejszych Jego sług. Nosiłby wspaniałe ubranie, mieszkał w pięknym domu. Ach, ile rzeczy by posiadał! Jaki by był bogaty!
A tak, idąc za Jezusem, nie zyskał nic.
Dlatego nie zamierzał już dłużej być Jego uczniem.
— Zawiodłem się na Jezusie — myślał sobie — więc teraz zemścę się na Nim. Pójdę do Jerozolimy, do Jego wrogów, i pomogę im zniszczyć Go. Na pewno zapłacą mi za to. Jezus jeszcze zobaczy i gorzko pożałuje, że nie chciał zostać królem! To przez Niego nie stałem się bogaty!

I Judasz poszedł zdradzić swego Mistrza.
Pan Jezus był zawsze taki dobry dla niego, a on popełni teraz straszną zbrodnię.
Przyszedł Judasz do nieprzyjaciół Jezusa, do faryzeuszy i kapłanów, i zapytał:
— Co mi dacie, jeśli pomogę wam schwytać Jezusa tak, żeby nikt tego nie widział?
Obiecali mu srebro, trzydzieści srebrnych monet — trzydzieści srebrników.
Srebro dźwięczy tak pięknie! Tak ładnie błyszczycy! A Judasz tak bardzo kocha srebro...
— Dam wam znać — powiedział — gdzie będziecie mogli ująć Go bez trudu. Do tej chwili cały czas pozostanę przy Nim, jak bym nadal był Jego uczniem.

Co za oszust z tego Judasza!
Przemykając się wśród ciemności powrócił do Jezusa i zachowywał się tak, jak gdyby nic nie zaszło.
A przecież zdradził Pana Jezusa! Nie domyślał się jednak wcale, że Pan Jezus już wie o jego zdradzie.

KTO Z WAS BĘDZIE NAJMNIEJSZY...

Zbliżały się święta Paschy. W każdym domu w Jerozolimie czyniono przygotowania do tego święta.
Nakrywano stoły i stawiano na nich wino, chleb i baranka.
Pan Jezus postanowił, że spędzi te ostatnie święta razem z uczniami.
Przywołałszy Piotra i Jana, polecił im:
— Idźcie przygotować wszystko, co należy.
— Gdzie mamy to przygotować? — zapytali uczniowie.

— Pójdziecie do miasta — odrzekł Jezus. — Tam spotkacie człowieka niosącego dzban. Udajcie się za nim. Wejdźcie do domu, do którego on wejdzie, i zapytajcie gospodarza, gdzie jest sala, w której Pan może obchodzić święto Paschy ze swymi uczniami. On wskaże wam salę, w której będą już przygotowane stoły i ławy.

Obaj uczniowie udali się do miasta i wszystko odbyło się tak, jak Pan Jezus powiedział. Spotkali człowieka niosącego dzban. Udali się za nim do domu, a tam gospodarz wskazał im dużą salę.

Piotr wraz z Janem przygotowali wszystko. Ustawili na stole wino, chleb i baranka. Przy drzwiach umieścili dzban z wodą oraz wielką miskę, aby wchodzący mogli w niej umyć nogi.

Nogi brudziły się w czasie wędrówki po drogach pełnych kurzu. W tamtych czasach ludzie nie nosili pończoch ani butów, tylko sandały na gołych stopach. W dniu święta myło się nogi przy wejściu do domu.

Piotr i Jan przygotowali również ręcznik do wytarcia nóg.

Gdy wszystko było już gotowe, usiedli czekając na przybycie Pana Jezusa. Pod wieczór nadszedł, a z Nim uczniowie.

Przy wejściu wchodzący zobaczyli miskę. Stała tuż przy drzwiach, aby zaraz można było umyć nogi. Ale kto miał to zrobić?

W bogatych domach należało to do obowiązków służącego, tutaj służącego nie było.

Kto umyje nogi Panu Jezusowi i Jego uczniom?

— Czy ja mam to zrobić? — zastanawiał się Piotr. — Nie, na pewno nie ja. Z jakiej racji mam być sługą! Nie jestem ten najmniejszy, chyba raczej jestem najważniejszy z nich wszystkich.

Pozostali uczniowie także nie mieli ochoty zabrać się do tego. Uważali się za zbyt ważne osoby. Żaden nie chciał być sługą innych. Zasiadli więc do stołu z nie umyтыми nogami. Jedni mówili do drugich:

— Zrób to ty, ja nie mogę. Przecież nie jestem na wasze usługi.

Pan Jezus zasiadł również do stołu. — Bardzo pragnęłam spędzić te święta z wami — powiedział — bo to już ostatni raz.

Uczniowie wcale Go nie słuchali, tylko szeptali między sobą. Kłócili się, który z nich jest najważniejszy. Wówczas Pan Jezus wstał. Nie powiedział ani jednego słowa, tylko wziął ręcznik, nalał wody do miski, a potem ukląkł przed jednym z uczniów i zaczął myć mu nogi. Wszyscy osłupieli ze zdumienia.

Jak to? Pan Jezus wykonuje pracę, którą oni uznali za niegodną? On chce być ich sługą? On chce być tym najmniejszym?

Bardzo się zawstydzili, a Piotr najbardziej.

Kiedy Pan Jezus zbliżył się i przyklęknął przed nim, Piotr prędko schował nogi pod siebie i zawołał:

— Panie, Ty miałbyś mi myć nogi? Nigdy na to nie pozwolę. To nie jest zajęcie dla Ciebie.

Ale Pan Jezus spojrzał na niego i rzekł:

— Jeżeli nie umyję ci nóg, nie będziesz moim uczniem. Nie będziesz mógł do mnie należeć.

Skoro tak, to co innego. Piotr pozwolił sobie umyć nogi. Gorąco pragnął należeć do Jezusa, bo bardzo Go kochał.

— Panie — poprosił — umyć mi więc nie tylko nogi, lecz również ręce i twarz.

Lecz Jezus obmył mu tylko nogi. Jemu i innym uczniom. Wśród nich także Judaszowi.

Potem odstawił miskę i wrócił do stołu.

— Nie zrozumieliście, dlaczego to zrobiłem? — zapytał. — Chciałem dać wam przykład. Chciałem was czegoś nauczyć. Nie możecie się więcej spierać o to, który z was jest największy, lecz macie służyć jedni drugim. Nie obawiajcie się być najmniejszymi, bo dopiero wtedy będziecie naprawdę moimi uczniami.

Uczniowie zawstydzili się jeszcze bardziej. Żałowali swej pychy.

Tylko jeden z nich nie czuł skruchy. Ten nie należał już do uczniów Pana Jezusa.

Czy wiesz, o kim myślę?

OSTATNIA WIECZERZA

Pan Jezus siedział przy stole ze swymi uczniami.

— Po raz ostatni jesteśmy razem — powiedział. — Niedługo już dostanę się w ręce mych nieprzyjaciół i umrę! Jeden z was, siedzących tu przy stole, pomoże w tym wrogom. Jeden z was zdradzi mnie.

Uczniowie bardzo się przerazili i nie mogli w to uwierzyć. Jeden z nich miałby zdradzić Pana Jezusa? Ich ukochanego Mistrza, który był taki dobry dla nich?

Któż byłby do tego zdolny?

Wszyscy dopytywali się:

— Panie, powiedz nam, kto to jest? Czyżbym to miał być ja? Niemożliwe! Powiedz, proszę, że to nie ja...

Jan, siedzący obok Pana Jezusa, zapytał Go:

— Panie, o kim mówisz?

Pan odpowiedział mu cicho:

— To ten, któremu podam kawałek chleba.

Podał Judaszowi chleb, a tamten zapytał bezczelnie:

— Może przypadkiem to o mnie chodzi?

Pan Jezus spojrział na niego i odparł: — Tak, Judaszu, o ciebie.

Inni uczniowie nie dosłyszeli tych słów, ale Judasz zmienił się ze złości na twarzy. Zrozumiał, że Pan Jezus wie o nim wszystko, wie, że jest on podłym oszustem.

Jezus powiedział do niego:

— Rób szybko, co zamierzasz.

Wtedy Judasz wstał i wyszedł w ciemną noc. Uczniowie zaczęli się zastanawiać, po co poszedł.

— Dokąd on mógł pójść? — pytali siebie nawzajem. — Może kupić coś na święta? A może zanieść pieniądze biednym.

Tymczasem Judasz szedł zrobić najstraszniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek człowiek uczynił. Poszedł pomagać wrogom Jezusa!

Poszedł zdradzić swego Mistrza!

Po odejściu zdrajcy Pan Jezus został sam ze swymi prawdziwymi uczniami. Jedli chleb i pili wino. Wspólnie obchodzili święto Paschy.

— Później, gdy mnie już nie będzie z wami, obchodźcie nadal to święto — rzekł do nich.

— Czy widzicie, jak łamię chleb? Tak samo ciało moje zostanie dla was złamane.

— Czy, widzicie, jak przelewam wino do kielicha? Tak samo krew moja zostanie za was przelana. Później, obchodząc to święto, będziecie również jeść chleb i pić wino. Zawsze wtedy pamiętajcie, że za was umarłem.

I ludzie nie zapomnieli.

Pamiętają o tym zawsze, kiedy przystępują do Wieczery Pańskiej.

Tego wieczoru Jezus powiedział jeszcze wiele rzeczy swym uczniom. Powiedział, że nieprzyjaciele przyjdą po niego tej nocy i zaaresztują Go.

— I wy wszyscy mnie opuście — dorzucił.

Lecz uczniowie gorąco zaprzeczyli:

— O nie! Nigdy Cię nie opuścimy!

A Piotr zawołał:

— Ja będę walczył w Twojej obronie! Gotów jestem umrzeć za Ciebie!

Pan Jezus odpowiedział mu:

— Ty chcesz umrzeć dla mnie? Ach, Piotrze, właśnie tej nocy trzy razy powiesz, że mnie nie znasz. Skłamiesz, że nie jesteś moim uczniem. Kogut pieje zawsze o świcie. Zanim zapieje tej nocy, ty się mnie trzy razy zaprzesz.

Piotr nie uwierzył temu, co mu Jezus powiedział. Inni uczniowie również nie mogli w to uwierzyć. Ale Pan Jezus dobrze wiedział, co się wydarzy tej strasznej nocy.

Długo rozmawiał ze swymi uczniami. Mówił im, aby się nie smucili. Z początku, oczywiście, będą zrozpaczeni, ale potem nastąpi coś cudownego. Pan Jezus umrze, ale później zmartwychwstanie i wstąpi do nieba, gdzie wszyscy Jego uczniowie znajdą się kiedyś razem z Nim.

Na koniec pomodlili się wspólnie. Jezus modlił się głośno za swych uczniów i za wszystkich ludzi, którzy w Niego uwierzyli. Modlił się również za nas. Mówił:

— Ojczy, chcę, aby kiedyś znaleźli się ze mną w niebie.

Skończywszy się modlić, Pan Jezus powiedział:

— Wstańcie, pora iść.

I wszyscy wyszli w ciemną noc.

W OGRODZIE GETSEMANE

W pobliżu Jerozolimy znajdował się ogromny ogród, nazywany Getsemane. Tam poszedł Pan Jezus wraz z uczniami.

Był bardzo smutny, bo wiedział, że wrogowie niedługo nadejdą z gromadą uzbrojonych ludzi, aby Go aresztować. Potem będą Go sądzić, torturować, aż w końcu zabiją.

To było straszne, ale to musiało nastąpić.

On sam zgodził się na to.

Niczym nie zasłużył sobie na taką karę. Nigdy nic złego nie zrobił, więc nie zasłużył na żadną karę.

Ale ludzie robili wiele zła i dlatego drzwi do nieba były przed nimi zamknięte.

Pan Jezus prosił Boga:

— Ojczy, ukarż mnie. Kocham ludzi. Ukarż mnie zamiast nich, aby oni mogli dostać się do nieba.

Teraz miało nastąpić to, o co Jezus prosił.

On poniesie karę, na którą wcale nie zasłużył. To nasza kara, którą On wziął na siebie.

Będzie ona bardzo bolesna i ciężka... Toteż Pan Jezus zapragnął teraz zostać sam.

Chciał prosić Boga, aby pomógł Mu znieść to, co Go czeka.

Gdy weszli do ogrodu, powiedział do uczniów:

— Zostańcie tutaj.

Zabrał ze sobą Piotra, Jakuba i Jana. Razem poszli w głąb ogrodu.

Powiedział do tych trzech:

— Jest mi strasznie smutno. Zostańcie ze mną i nie śpijcie. Czuwajcie i módlcie się ze mną.

Potem odszedł i zniknął w mroku. Tam padł na kolana i mówił:

— Ojczy, smutno mi i boję się, bo zbliża się chwila straszliwej kary. Uczynię jednak wszystko, co Ty chcesz. Pomóż mi, Ojczy, dodaj mi siłę!

Potem podniósł się i zawrócił do uczniów. Chciał podzielić się z nimi swym smutkiem.

Lecz kiedy zbliżył się, zastał ich wszystkich trzech leżących w uśpieniu. Zbudził ich i zapytał:

— Piotrze, śpisz? Czy nie możesz czuwać ze mną przez jedną godzinę?

Powiedział to bardzo smutnym głosem.

Piotr zawstydził się i wszyscy trzej obiecali:

— Teraz będziemy już czuwać!

Kiedy jednak Pan Jezus odszedł, by się modlić, oni znów położyli się na trawie, a oczy im się zamknęły.

Byli tacy zmęczeni!

Pozostawili Jezusa samego w Jego zmartwieniu.

Pan Jezus znowu ukląkł w mroku. Był przygnębiony i strwożony, tak ciężko było mu znieść myśli o tym, co nadejdzie. Wielkie krople potu, wywołane cierpieniem, perliły Mu się na czole.

Mówił:

— Ojcze, zniosę tę karę, tylko Ty mi dopomóż.

Potem powrócił do uczniów i znowu zastał ich śpiących. Tym razem już ich nie budził. Odszedł i modlił się dalej. Krople potu na czole zmieniły się w krople krwi, tak bardzo był smutny i strwożony.

Z całego serca modlił się do Boga, powtarzając:

— Ojcze, dopomóż mi, abym mógł znieść wszystko, co mnie czeka.

Wtedy anioł zstąpił z nieba i pocieszył Pana Jezusa. Pomógł Mu przezwyciężyć lęk i smutek.

Teraz Jezus był już gotów poddać się strasznej karze, dzięki której wszyscy ludzie — i wszystkie dzieci

— kochający Jezusa mogą pójść do nieba.

Lecz cóż to się dzieje? W ciemnościach ogrodu rozbłyskują jakieś światła! Słysząc czyjeś krzyki!

Ucniowie zrywają się ze snu i biegną do Jezusa. Widzą zbliżającą się gromadę uzbrojonych ludzi.

Czy widzisz, kto ich prowadzi?

Judasz idzie pierwszy, wskazując drogę innym. Za nim postępują żołnierze, którzy przyszli tu, by zaarrestować Pana Jezusa.

Judasz tak przedtem umówił się z nimi:

— Zachowam się tak, jak gdybym był uczniem Jezusa, podejść i pocałuję Go na powitanie. Patrzcie uważnie. Ten, którego pocałuję, to Jezus. Judasz podszedł wprost do Pana Jezusa i powiedział:

— Dobry wieczór, Nauczycielu! — i pocałował Go.

Wstrętny oszust!

Pan Jezus zapytał ze smutkiem: — Czy po to mnie całujesz, aby mnie wydać?

Judasz nie ośmielił się odpowiedzieć, tylko prędko wmieszał się w tłum żołnierzy.

Pan Jezus podszedł do nich i zapytał:

— Kogo szukacie?

— Jezusa! — wrzasnęli w odpowiedzi.

— Ja nim jestem.

I wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Żołnierze cofnęli się i padli na ziemię.

Przerażeni i wystraszeni patrzyli na Jezusa. Skoro On może ich wszystkich powalić na ziemię, to jakże oni będą mogli Go ująć, jeżeli On sam tego nie zechce?

Pan Jezus zapytał jeszcze raz:

— Kogo szukacie?

Zdjęci trwogą żołnierze odparli: — Jezusa.

Pan Jezus powtórzył:

— Ja nim jestem. Jeżeli chcecie mnie zatrzymać, zostawcie w spokoju moich uczniów. Pozwólcie im odejść.

Potem sam wyciągnął do nich ręce i żołnierze rzucili się na Niego.

Wówczas Piotr porwał się, by stanąć w obronie Pana Jezusa.

— Zostawcie Go — krzyczał — zostawcie mojego Mistrza!

Wyciągnął wielki nóż, rodzaj małego miecza, zamierzył się i uderzył jednego z żołnierzy. Jednym zamachem obciął mu ucho.

— Stój, Piotrze — powstrzymał go Jezus. — Nie broń mnie przed nimi. Gdybym poprosił mego Ojca, przysłałby mi na pomoc co najmniej tysiąc aniołów z nieba. Musi się jednak wypełnić to, co ma nastąpić. Jezus zbliżył się do żołnierza i uleczył mu ucho. Pan Jezus kochał nawet tych, którzy Go krzywdzili.

Żołnierze nie okazali Mu jednak miłości ani litości. Schwytali Go i skrupowali Mu ręce sznurem, jak jakiemuś groźnemu przestępcy.

Ucniowie rozbiegli się na wszystkie strony.

Opuścili Pana Jezusa.

PAN JEZUS I JEGO WROGOWIE

W Jerozolimie stał piękny i wielki dom, w którym mieszkał arcykapłan. Był on najważniejszy ze wszystkich kapłanów. Tej nocy w wielkiej sali jego domu zgromadziły się rozmaite ważne osoby. Wszyscy tu zebrani byli wrogami Pana Jezusa. Siedzieli i czekali aż Go do nich przyprowadzą. Byli bardzo zadowoleni, że udało im się uwięzić Pana Jezusa.

— Teraz Go już nie wypuścimy! Musi umrzeć! W końcu uwolnimy się od Niego i znowu sami będziemy rządzić — myśleli.

Wprowadzono Pana Jezusa ze związanymi rękami.

Pilnowali Go silni żołnierze, a wszyscy spoglądali na Niego z gniewem. Pan Jezus nie bał się. Stał spokojnie przed nimi.

Arcykapłan zadawał Mu dużo pytań, lecz On na nie nie odpowiadał.

Wtedy wprowadzono złych ludzi, którzy mówili różne brzydkie rzeczy przeciwko Panu Jezusowi. Były to same kłamstwa, bo On nigdy nic złego nie zrobił. Jezus czynił tylko samo dobro. Mówił ludziom o Bogu i uzdrawiał chorych...

Arcykapłan i zebrani tam ludzie świetnie o tym wiedzieli, ale mimo to chcieli, by Pana Jezusa spotkała kara. Arcykapłan zapytał:

Czy nie słyszysz, co ci ludzie mówią i o co Cię oskarżają? Czy naprawdę popełniłeś te wszystkie złe czyny? Mów!

Ale Pan Jezus nie odpowiadał.

Arcykapłan zapytał wtedy:

— Powiedz, czy jesteś Synem Bożym?

Wówczas Pan Jezus odrzekł:

— Tak, jestem Synem Bożym. Niedługo wstąpię do nieba. Ale kiedyś powrócę na ziemię. Wówczas ujrzycie mnie wszyscy, zstępującego na obłoku z nieba.

Usłyszawszy to, zebrani zerwali się na równe nogi, arcykapłan zaś zawołał:

— Jak On śmie mówić coś podobnego!

Przecież On nie jest Synem Bożym — to syn Józefa, cieśli. On robi sobie kpiny z Boga i bluźni przeciwko Niemu. Co mamy z Nim zrobić? Na jaką karę zasłużył?

Wszyscy zaczęli krzyzczeć:

— Musi umrzeć! Musi umrzeć!

Rzucili się na Pana Jezusa i zaczęli Go bić, opluwać i znieważać.
Pan Jezus wcale się nie bronił. Nie protestował ani nie odpowiadał tym złym ludziom. Nie przeciwstawiał się ich podłości.
Przyjmował tę karę za nas wszystkich. Był bity za nasze winy.
Cierpiał za nasze grzechy.

Czy teraz rozumiesz, jak bardzo Pan Jezus nas kocha...

PIOTR

Kiedy żołnierze zaarrestowali Pana Jezusa, uczniowie rozpierzchli się na wszystkie strony. Bojąc się bardzo, żeby ich nie zaarrestowano, zniknęli w ciemnościach nocy.
Tylko Piotr i Jan szli w pewnej odległości za żołnierzami, bo chcieli dowiedzieć się, dokąd prowadzą Pana Jezusa.

Zobaczyli, że wprowadzono Go do dużego domu arcykapłana. Piotr nie miał odwagi iść dalej, ale Jan wszedł na podwórze. Znał służącą arcykapłana. Zapukał do drzwi i zapytał:

— Czy mogę wejść? I mój przyjaciel także?

Służąca wpuściła ich.

W ten sposób Piotr znalazł się w domu arcykapłana.

Strach go jednak nie opuszczał.

— Zagraża mi tutaj wielkie niebezpieczeństwo — myślał. — To dom wrogów Jezusa, więc jeśli poznają, że jestem Jego uczniem, zatrzymają mnie również. Dlaczego ta służąca tak mi się bacznie przygląda?

Piotr spiesznie minął przedsionek i wszedł na podwórze. W mroku płonęło ognisko, przy którym grzali się żołnierze. Piotr podszedł do nich i także grzał się przy ogniu. Z daleka zobaczył Pana Jezusa, którego widać było przez otwarte drzwi. Jezus stał ze związanymi rękami w wielkiej sali, a przed Nim siedziały wysokie osobistości.

Nagle do ogniska podeszła służąca. Spojrzała na Piotra i powiedziała:

— Czy ty nie jesteś przypadkiem uczniem Jezusa?

Piotr przeraził się. Pomyślał:

— Muszę skłamać, bo inaczej żołnierze schwytają mnie.

Odpowiedział więc:

— Ja uczniem Jezusa? Skądże znowu, nawet Go nie znam!

Pierwszy raz wyparł się Piotr Pana Jezusa!

Ogarniał go coraz większy strach. Myślał:

— Lepiej tu dłużej nie zostawać, bo to zbyt niebezpieczne.

I skierował się w stronę drzwi.

Lecz tam znów natknął się na służącą w otoczeniu innych ludzi. Gdy Piotr podszedł, powiedziała do nich:

— Ten człowiek jest uczniem Jezusa. Przerażony Piotr zaprzeczył:

— To nieprawda, ja nie znam Jezusa!

Po raz drugi wyparł się swego Pana.

— Rozpoznają mnie i zatrzymają przy wyjściu. Dom jest przecież strzeżony — pomyślał i zabrakło mu odwagi, by wyjść.

Okropnie się bał. Powrócił do ogniska i usiadł wśród żołnierzy. Widział stąd, jak bito i znieważano Pana Jezusa.

— Jeżeli mnie złapią, będą tak samo bili — myślał.

Wtem jeden z żołnierzy odezwał się do niego:

— Powiedz no, jesteś czy nie jesteś Jego uczniem?

— Nie! — bez wahania odpowiedział Piotr.

Ale wszyscy już na niego patrzyli.

— Przecież widziałem cię tej nocy w ogrodzie — stwierdził inny z żołnierzy.

Piotr zaprotestował:

— To nieprawda, ja wcale nie znam tego człowieka. Nie jestem Jego uczniem!

Zaklinał się, że nie jest uczniem Jezusa. Po raz trzeci zaparł się swego Pana!

Wtem zapiał kogut.

Posłyszawszy to, Piotr przypomniał sobie słowa Pana Jezusa:

— Zanim kogut zapieje, ty się mnie trzy razy zaprzesz.

A co on wtedy odpowiedział?

— Nigdy tego nie zrobię!

Piotr poczuł, że ogarnia go rozpacz. Ujrzał z daleka Pana Jezusa, znajdującego się w wielkiej sali, samego wśród wrogów. Jezus wie dobrze, że Piotr jest na podwórzu. Wie również o wszystkim, co zaszło.

Pan Jezus odwrócił się i spojrzał na Piotra.

Piotr nie mógł znieść tego spojrzenia. Wzrok Jezusa, pełen przejmującego smutku, zdawał się przenikać jego serce. Piotr zerwał się i uciekł w ciemną noc. Idąc, gorzko płakał.

— O Panie, jak ja mogłem tak postąpić! Zdawało mi się, że jestem najlepszy z Twoich uczniów, a tymczasem okazało się, że jestem najgorszy. Jezu najdroższy, przebacz mi!

Czy myślisz, że Pan Jezus przebaczył Piotrowi?

UKRZYŻUJ GO!

Noc miała się ku końcowi. Pan Jezus przebywał jeszcze ciągle w domu arcykapłana. Był w rękach wrogów, którzy postanowili, że musi umrzeć. Domagali się Jego śmierci, ale nie mogli Go zabić bez specjalnego pozwolenia. Nie oni bowiem byli panami tego kraju. Rządzili tu obcy żołnierze — Rzymianie, a ich przywódca, Piłat, panował nad całym krajem i wszystkimi jego mieszkańcami. Dlatego arcykapłan i starsi postanowili zaprowadzić Jezusa do Piłata, aby od Rzymian uzyskać pozwolenie na skazanie Pana Jezusa na śmierć. W drodze przyłączyło się do nich wielu ludzi. Tłum rósł z minuty na minutę.

Piłat mieszkał w wielkim pałacu. Gdy kapłani wraz z Jezusem przybyli do niego, wyszedł do nich i zapytał:

— Po co przyprowadziliście tutaj tego człowieka?

— On musi umrzeć — zawołali. — Popętnił straszne przestępstwa!

Piłat zapytał:

— A cóż On takiego zrobił?

Wtedy zaczęli opowiadać, że Pan Jezus chciał wypędzić Rzymian, a sam zostać królem tego kraju. Były to oczywiste kłamstwa, mimo to Pan Jezus milczał.

Piłat spojrzał na Niego. Jezus stał cicho; cierpliwie i bez nienawiści patrzył na oskarżających Go ludzi.

— Ten człowiek nie mógł zrobić nic złego — pomyślał Piłat...

Przez chwilę rozmawiał z Panem Jezusem i to go upewniło, że się nie myli. A jednak nie ośmielił się powiedzieć:

— Uwolnijcie Go! — gdyż bał się potężnych kapłanów i zebranego tłumu.

— Zrobię inaczej — pomyślał Piłat. — Uwolnię Go tak, żeby nie narazić się tym ludziom.

Posłał kilku żołnierzy do więzienia, w którym trzymano różnych przestępców — złodziei i morderców. Kazał sprowadzić mordercę Barabasza, a następnie postawić go obok Pana Jezusa.

Wtedy powiedział do tłumu:

— Dzisiaj jest święto, więc godzę się na wypuszczenie jednego z więźniów! Wybierajcie sami, którego z tych dwóch mam zwolnić — Jezusa czy Barabasza?

Był pewien, że powiedzą:

— Uwolnij Jezusa!

Nie przypuszczał, by mogli domagać się wypuszczenia Barabasza, przestępcy kryminalnego.

Piłat nie wiedział jednak, jak wrogo tłum był nastawiony do Pana Jezusa. Przeraził się, usłyszawszy krzyki:

— Zatrzymaj Jezusa! Uwolnij Barabasza!

Zapytał jeszcze:

— Co mam zrobić z Jezusem?

— Niech umrze! — krzyčili w odpowiedzi kapłani.

— Ukrzyżuj Go! — krzyczał tłum.

Krzyk potęgował się:

— Niech umrze! Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj Go!

Pan Jezus słyszał to wszystko. On nie uczynił tym ludziom nic złego; przeciwnie, wyświadczył im tyle dobra — uzdrawiał chorych, błogosławił dzieci... Wtedy ci ludzie kochali Go i chcieli obrać Go królem.

— Pan Jezus jest wszechmocny — mówili. — Jest Synem Bożym. Musi zostać naszym królem!

On jednak nie zgodził się na to i odtąd nie chcieli Go znać. Byli wściekli na Niego. Teraz, zobaczywszy Go z rękami skrupowanymi, myśleli oburzeni:

— On wcale nie jest Synem Bożym! To kłamca!

I krzyčili:

— Zatrzymaj tego kłamcę! Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj! Zwolnij mordercę Barabasza!

Piłat, bojąc się ich, uwolnił Barabasza, a zatrzymał Pana Jezusa.

Piłat zamierzał jednak spróbować jeszcze innego sposobu, by uchronić Pana Jezusa przed ukrzyżowaniem. Wprowadził Go do swego pałacu i zawołał żołnierzy. Ci zdarli z Pana Jezusa ubranie i ubiczowali Go. Potem narzucili na Niego stary wojskowy płaszcz i naśmiewali się z Niego:

— Oto płaszcz królewski! — szydzili. Upletli koronę z cierni i wcisnęli Mu na głowę, mówiąc:

— Oto korona królewska!

Włożyli mu do ręki kij i wyśmiewali się z Niego:

— Bądź pozdrowiony, królu! Cóż za wspaniały król z Ciebie!

Pan Jezus znosił wszystko cierpliwie. W końcu Piłat kazał wyprowadzić Go i pokazać tłumowi.

Pan Jezus wyglądał naprawdę rozpaczliwie.

Krew płynęła Mu po twarzy. Był bardzo blady i umęczony.

Piłat liczył na to, że ludzie zlitują się nad Panem Jezusem i powiedzą, żeby Go uwolnić.

Pokazał im Jezusa i powiedział:

— Spójrzcie na tego człowieka!

Jednak ich serca były pozbawione litości. Zebrany tłum i jego przywódcy krzyčili niezmiennie:

— Precz z Nim! Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj Go!

Krzyki stawały się coraz natarczywsze. Piłat przeląkł się tłumem i powiedział:

— A więc dobrze, róbcie z Nim, co chcecie...

Wówczas żołnierze chwycili Pana Jezusa i powlekli ze sobą, aby Go ukrzyżować.

GOLGOTA

To, co teraz nastąpi, będzie bardzo smutne.

Lecz będzie to równocześnie coś bardzo pięknego.

Dowiesz się, w jaki sposób Pan Jezus umarł na krzyżu. Jak bardzo musiał cierpieć. Jak bardzo był nieszczęśliwy. Gdy będziesz tego słuchał, zrobi ci się bardzo smutno. Ale dopiero wtedy zrozumiesz, jak bardzo Pan Jezus nas kocha. On przecież cierpiał dla nas, cierpiał po to, abyśmy mogli kiedyś pójść do nieba. Dlatego to, co ci opowiem, jest bardzo piękne. Gdy to zrozumiesz, odzyskasz radość.

Żołnierze prowadzili Pana Jezusa na ukrzyżowanie. Wzięli dwie ciężkie drewniane belki i włożyli Mu je na ramiona. Te dwie belki, zbite razem, miały utworzyć krzyż.

Pan Jezus sam musiał dźwigać swój krzyż.

Szli ulicami Jerozolimy. Żołnierze postępowali z przodu i z tyłu, a Pan Jezus z ciężkim drewnianym krzyżem szedł pośród nich. Towarzyszyło im wiele ludzi, którzy krzyczeli i rzucali obelgi. Niektórzy przepychali się, by podejść i z bliska przypatrywać się Jezusowi. On był już strasznie wyczerpany i bardzo cierpiał. Nie mógł utrzymać ciężkiego krzyża. W pewnym momencie potknął się i upadł pod jego ciężarem.

— Wstawaj! — krzyczeli żołnierze. — Podnieś krzyż!

Pan Jezus nie był w stanie wykonać ich rozkazu.

Wtedy zatrzymali przechodzącego tamtędy wieśniaka, Szymona.

— Chodź no tu! — zawołali. — Weź ten krzyż za Niego!

Szymon dźwignął krzyż i pomógł Panu Jezusowi podnieść się.

Teraz żołnierze powlekli Pana Jezusa dalej; za nimi szedł Szymon niosąc krzyż.

Tak opuścili miasto i dotarli do wzgórza, które nazywało się Golgota.

Tu żołnierze ukrzyżowali Pana Jezusa.

Przybili Go do krzyża, a następnie krzyż wbili w ziemię. Ręce i nogi Jezusa zostały przebite gwoździami. Pan Jezus nie gniewał się na tych ludzi. Modlił się za nich, prosząc Boga, by nie karał ich za to, że są tak źli i okrutni dla Niego.

— Ojcze, przebacz im, bo nie wiedzą co czynią — prosił.

Wbito jeszcze dwa inne krzyże w ziemię, po prawej i lewej stronie krzyża Pana Jezusa.

Na każdym krzyżu wisił człowiek. Obaj byli mordercami, których tego dnia karano. Pan Jezus został ukrzyżowany między przestępcami.

A ludzie stali i patrzyli.

Wśród nich również wrogowie Pana Jezusa — kapłani i faryzeusze, którzy nadal nie odczuwali żadnej litości dla Niego.

— Zawisł nareszcie — mówili. — Opowiadał, że jest Synem Bożym, a Bóg wcale Mu nie pomógł!

— Powiedział, że wszystko może. To niech teraz zstąpi z krzyża!

— Okazuje się, że nic nie może!

Pan Jezus mógł wszystko uczynić. Ale... On tego nie chciał.

Chciał poddać się karze. Chciał ponieść śmierć, ponieważ kochał ludzi. Żołnierze także naśmiewali się z Niego. Nawet jeden z wiszących obok złoczyńców nie mógł się powstrzymać i powiedział:

— Jeżeli jesteś Synem Bożym, możesz zrobić wszystko. Zejdź z krzyża i nam pomóż zejść...

Drugi jednak zgañił go:

— Cicho bądź! Ani ty, ani ja nie zasłużyliśmy sobie na nic lepszego, jak tylko na to, by nas powieszono. Popeñniliśmy wiele złego. Ale On niczym nie zawinił!

Potem, zwracając się w stronę Jezusa, poprosił:

— Panie Jezu, gdy wstąpisz do swego Królestwa, pomyśl o mnie...

Pan Jezus odpowiedział mu:

— Dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.

Teraz ten człowiek już nie bał się śmierci. Razem z Panem Jezusem wstąpi do nieba, mimo iż tyle zawinił.

Nie tylko sami wrogowie stali pod krzyżem Pana Jezusa.

Maria, Matka Jego, stała tam również. Także Jan, jeden z uczniów, był przy niej.

Biedna Maria, jakże straszne chwile przeżywała! Widziała, jak Syn jej cierpi, a nie mogła Mu w niczym pomóc... Gdy On umrze, ona zostanie zupełnie sama.

Kto wtedy zatroszczy się o nią?

Pan Jezus zobaczył swą Matkę. Zrobiło Mu się Jej ogromnie żal i pomyślał:

— Teraz Jan musi się stać Jej synem. Teraz on będzie się Nią opiekować. Dlatego powiedział do Marii:

— Oto Twój syn!

A do Jana:

— Oto matka twoja!

Jan dobrze to zrozumiał. Począwszy od tego dnia, opiekował się Marią.

Pan Jezus długo wisiał na krzyżu. Zbliżało się południe. Słońce stało wysoko i prażyło niemiłosiernie. Nagle, choć daleko było jeszcze do wieczora, słońce zniknęło. Był jeszcze dzień, a zrobiło się zupełnie ciemno. Wydawało się, że zapadła noc. Nikt już nie śmiał drwić ze skazanych. Cisza zapadła na Golgocie.

Pan Jezus wisiał w tej ciszy na krzyżu, cierpienie Jego było nie do zniesienia. Kara, jaką znosił, była straszna, otaczające go ciemności jeszcze ją potęgowały.

Nie widział nieba i wydawało Mu się, że i Ojciec Niebieski nie chce nic o Nim wiedzieć.

Wszyscy przyjaciele odeszli. Został zupełnie sam.

Czyżby i Bóg Go opuścił?

Ciemności trwały przez trzy godziny. Pan Jezus nie mógł już dłużej znieść swej samotności i zawołał:

— Boże mój. Boże mój, czemuś mnie opuścił?

Wtedy znowu zrobiło się jasno.

Pan Jezus zobaczył, że Jego Ojciec nie opuścił Go, że Bóg Go kocha i jest blisko Niego.

Zbliżał się koniec kary. Pan Jezus zniósł wszystko.

Wypełnił wielkie dzieło, którego podjął się z miłości do ludzi.

Wykonał wszystko do końca.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale już nie mógł.

Szepnął:

— Pić!

Wówczas zbliżył się człowiek z długą trzcina, na końcu której umocowana była gąbka. Zmoczył tę gąbkę, podniósł wysoko w górę i przycisnął ją do warg Jezusa. W ten sposób Pan Jezus mógł się troszeczkę napić.

I kiedy napił się, zawołał:

— Wykonało się!

Jakże radośnie zabrzmiały te słowa. Wielkie dzieło zbawienia zostało dokonane! Ludzie mają otwartą drogę do nieba! Pan Jezus może umrzeć spokojnie.

— Ojczy, w ręce Twoje oddaję ducha mego — powiedział jeszcze.
Potem spuścił głowę, zamknął oczy i skonał.

ZŁOŻENIE DO GROBU

Pan Jezus nie żył już, ale ciało Jego wisiało na krzyżu aż do wieczora. Wtedy przyszło kilku mężczyzn i parę kobiet. Byli to przyjaciele Pana Jezusa.

Z wielką czcią zdjęli Jego ciało z krzyża. Zawinęli je w przyniesione przez siebie piękne, lniane prześcieradła, a pomiędzy nie włożyli pachnące zioła. Następnie przenieśli ciało do pobliskiego ogrodu, gdzie znajdowała się ciemna pieczara, wykuta w skale. W tym grobie złożono ciało Pana Jezusa, a wejście zawałono wielkim głazem.

Pan Jezus został pochowany.

Ludzie płakali i mówili:

— Pan Jezus umarł... Nigdy już nie będzie rozmawiał z nami, nigdy już nie da nam szczęścia ani radości. Myśleliśmy, że nasze życie będzie cudowne, a czeka nas tylko smutek.

Ludzie zapomnieli, co im Pan Jezus obiecał:

— Umrę, ale zmartwychwstanę. Po trzech dniach opuszczę grób.

Gdyby o tym pamiętali, nie czuliby się tak bardzo nieszczęśliwi.

Natomiast wrogowie Pana Jezusa, kapłani i faryzeusze, pamiętali o tym, co On zapowiedział. Wysłali więc do Jego grobu żołnierzy z rozkazem:

— Stójcie tu i pilnujcie, aby nikt się nie zbliżał. Grób ma być zamknięty, a w nim Pan Jezus.

Żołnierze postawili wartę przy grobie.

Jak sądzisz, czy uda się im zatrzymać Pana Jezusa, jeżeli On zechce stamtąd wyjść?

ZMARTWYCHWSTANIE PANA JEZUSA

Był wczesny niedzielny poranek.

Dopiero świtało.

Przy grobie Pana Jezusa czuwały strażę, by nikt się nie zbliżał.

Grób musiał być nie naruszony.

Żołnierze stali tu od piątku i dotąd nic się nie wydarzyło. Nikt nie przychodził.

Lecz oto teraz, w ciszy poranka, ktoś się zjawił, ktoś, kogo żołnierze nie mogli zatrzymać.

Z nieba zstąpił anioł odziany w śnieżnobiałą szatę. Zaledwie stopy jego dotknęły ziemi, a ziemia zadrżała.

Żołnierze o mało nie umarli ze strachu! A gdy zobaczyli, że anioł zbliża się do grobu i odwala ciężki kamień, nie wytrzymali i uciekli w popłochu. Przy grobie został tylko anioł.

Tego poranka Pan Jezus wrócił do życia i opuścił ciemny grób.

Zmartwychwstał!

Pokonał śmierć, ponieważ był Synem Bożym.

Czas kary minął. Odtąd Pan Jezus nie zazna już bólu ani cierpienia.

Anioł, zesłany przez Boga, będzie Mu służył.

Wszystkie anioły odtąd będą Mu służyły.

On bowiem jest Królem nieba i ziemi! Uczniowie jednak nic jeszcze nie wiedzieli, że Pan Jezus zmartwychwstał.

Rankiem do grobu przysły te same kobiety, które Go tu złożyły. Szły bardzo smutne, myśląc, że Pan Jezus nie żyje. Nakupiły wonności i teraz chciały namaścić nimi ciało Pana Jezusa.

Kiedy weszły do ogrodu, przypomniały sobie o wielkim głazie zamykającym dostęp do grobu. Zmartwiły się:

— Kto nam pomoże odwalić ten ciężki kamień?

Nagle przystanęły, a oczy im się rozszerzyły z przerażenia!

Kamień był odwalany!!! Jak to się stało? Kto to zrobił? Ktoś tu był przed nimi? Czyżby przyszli wrogowie Pana Jezusa i zabrali Jego ciało? Jedna z kobiet natychmiast zawróciła, by zawiadomić uczniów. Tą kobietą była Maria Magdalena.

Pozostałe podeszły jednak bliżej do grobu i wtedy ogarnął je jeszcze większy lęk. Ktoś był w grobie! Zobaczyły postać w pięknej, białej szacie... Potem drugą! Dwaj aniołowie stali przed przerażonymi kobietami.

— Nie bójcie się — przemówili. — Szukacie Jezusa, który był ukrzyżowany. Nie ma Go tutaj. Zmartwychwstał! Wejdźcie i zobaczcie! Miejsce, na którym był złożony, jest puste. Kobiety zajrzały. Miejsce było puste! Nie mogły pojąć, co się stało. Nie mogły w to uwierzyć.

Usłyszały głos aniołów:

— Czy nie przypominacie sobie, co wam Pan Jezus kiedyś powiedział:

— Umrę, ale trzeciego dnia opuszczę grób...

Tak, teraz sobie przypominały.

Ogarnęła je wielka radość.

— Idźcie zaraz do uczniów i zawiadomcie ich o tym, co się stało. Nie zapomnijcie też o Piotrze! — usłyszały jeszcze.

Wtedy spiesznie ruszyły w drogę powrotną. Biegły, drżąc z radości.

Lecz któż to idzie im na spotkanie? Kto pozdrawia je z taką dobrocią? To Pan Jezus! A więc prawdą jest, że On żyje!

Stanął przed nimi we własnej osobie. Ich zmartwychwstały Mistrz powrócił do nich!

Kobiety padły przed Nim na kolana. Ścisnęły Jego nogi i płakały z radości. Pan Jezus rzekł:

— Powiedzcie moim uczniom, że mnie wkrótce zobaczą.

I oto kobiety znów zostały same, bo Pan Jezus nagle zniknął im sprzed oczu.

One jednak wiedziały teraz z całą pewnością, że On żyje.

Widziały Go i słyszały Jego serdeczny głos.

Spiesznie pobiegły do miasta, by powiedzieć uczniom. Śmiały się i wołały: Pan Jezus zmartwychwstał!

Uczniowie jednak z powątpiewaniem kręcili głowami.

— Zdawało się wam tylko — mówili, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszeli.

MARIA MAGDALENA

Maria Magdalena stała w pobliżu grobu i płakała.
Nie wiedziała jeszcze, że Pan Jezus zmartwychwstał.
Tamte kobiety spotkały Pana Jezusa wtedy, gdy ona pobiegła szukać uczniów. Maria Magdalena sądziła, że ciało Pana Jezusa zostało zabrane i położone gdzie indziej. Powróciła do grobu, by Go szukać. Ale gdzie...? Zrozpaczona Maria sama nie wiedziała, co począć.
Stała koło grobu i płakała.
W pewnej chwili schyliła się i zajrzała przez otwór do środka. Zobaczyła tam dwóch biało ubranych mężczyzn. Siedzieli w tym miejscu, gdzie poprzednio spoczywało ciało Pana Jezusa. Byli to dwaj aniołowie, lecz Maria nie wiedziała o tym. Aniołowie zapytali:
— Kobieto, dlaczego płaczesz?
— Zabrano mego Pana — odrzekła szlochając — teraz nie wiem, gdzie Go szukać.
Nagle Maria odwróciła się, bo poczuła, że ktoś za nią stoi. Zobaczyła jakiegoś mężczyznę w bieli. Nie poznała Go, bo oczy miała zasłane łzami.
— Czemu płaczesz? Kogo szukasz? — zapytał ów człowiek, a Maria nadal nie poznawała, kto do niej mówi. Była przekonana, że to ogrodnik. Zaszlochotała:
— Panie, jeżeli to tyś Go zabrał, powiedz mi, gdzie Go położyłeś?
Wtedy człowiek ten zawołał:
— Mario!
I w tym momencie poznała Go.
Rzuciła się w Jego stronę.
— Pan Jezus! — zawołała. — Mój Mistrz umiłowany!
Chciała Go pochwycić obiema rękami i zatrzymać, aby nie odchodził.
— Nie dotykaj mnie, Mario — powiedział łagodnie Pan Jezus. — Nie mogę tu zostać. Idę do Ojca mego, który jest w niebie. Pójdź zaraz do moich uczniów i powtórz im wszystko, co ci powiedziałem! Powiedziawszy to, Pan Jezus zniknął. Maria Magdalena jednak nie czuła się już nieszczęśliwa. Odnalazła Pana Jezusa. Pobiegła do uczniów i zawołała:
— Widziałam Pana Jezusa!
I powtórzyła im wszystko, co jej mówił.
Uczniowie jednak nadal nie mogli w to uwierzyć.

WIECZÓR

Wieczorem tego samego dnia dwóch ludzi opuszczało Jerozolimę.
Powracali do Emaus, skąd pochodzili.
Rozmawiali o Panu Jezusie.
— Umarł! Umarł! — mówili. — A myśmy myśleli, że zostanie królem. Sądziliśmy, że jest Zbawicielem, Synem Bożym, który może dać ludziom szczęście. Ale nie był Synem Bożym, skoro umarł. Bo trudno uwierzyć temu, co kobiety dziś rano opowiadały w Jerozolimie. Mówiły, że On zmartwychwstał i porzucił grób, ale przecież to niemożliwe... Gdyby tak było naprawdę, to oznaczałoby, że On rzeczywiście jest Synem Bożym. Dlaczego więc zgodził się umrzeć?
Nie mogli tego zrozumieć i smutnie kiwali głowami. W pewnej chwili przyłączył się do nich jakiś podróżny. Był to Pan Jezus, ale oni Go nie poznali.
— O kim rozmawiacie z takim przejęciem? Dlaczego jesteście tacy smutni? — zapytał.
Zdziwili się:
— Jak to, nie wiesz, co się stało w Jerozolimie?
— Co takiego? — zapytał.

— Nie wiesz, co się stało z Panem Jezusem? Na pewno musiałeś o Nim słyszeć. Był taki dobry i potężny. Leczył chorych. Przywracał wzrok ślepy. Czynił wielkie cuda. Ale źli kapłani schwytali Go i ukrzyżowali. Teraz już nie żyje. A myśmy myśleli, że On jest Zbawicielem i da ludziom szczęście. Minęły jednak już trzy dni od Jego śmierci. Kobiety w Jerozolimie mówiły wprawdzie, że zmartwychwstał, ale to przecież niemożliwe! Po co by przedtem umierał!?

Byli pewni, że nieznamy przytaknie im: — Oczywiście, to niemożliwe! On tymczasem powiedział coś zupełnie innego:

— Jesteście niemądrzy — rzekł. — Dlaczego nie wierzycie? To prawda. Pan Jezus naprawdę zmartwychwstał! Pytacie, dlaczego musiał umrzeć? Tak miało być, żeby ludzie mogli stać się szczęśliwi i aby mogli dostać się do nieba, Jezus zgodził się ponieść karę, na którą oni zasłużyli. Czy rozumiecie teraz, że Pan Jezus dał ludziom szczęście? Czy rozumiecie, że On ich zbawił?

Nieznamy mówił jeszcze wiele innych rzeczy. Pod wpływem Jego słów smutek ustępował z serc obu mężczyzn. Zaczynali wszystko pojmować i wierzyć, że Pan Jezus zmartwychwstał.

Pragnęli jak najdłużej Go słuchać, ale doszli właśnie do Emaus i tu się ich drogi rozchodziły. Mężczyźni nie chcieli jednak rozstawać się z podróżnym.

— Zostań z nami — prosili. — Już wieczór, niedługo noc zatrzyma Cię w drodze.

Ku ich radości nieznamy zgodził się. Zasiadli więc razem do stołu.

Wtedy On wziął do ręki chleb. Pomodlił się, przełamał chleb na dwie części i każdemu dał po kawałku. W tym momencie poznali Go.

To był Pan Jezus!

Wyciągnęli do Niego ręce...

— Jezu, nasz Mistrzu umiłowany — chcieli zawołać, ale Jego już nie było. W jaki sposób zniknął, tego nie wiedzieli. Wszystko było takie dziwne...

— Jak to się stało — zastanawiali się? — że przez całą drogę zśliśmy z Panem Jezusem wcale o tym nie wiedząc? Teraz dopiero rozumiemy, dlaczego czuliśmy się szczęśliwi.

Nie kończąc posiłku, spiesznie wrócili do Jerozolimy, aby opowiedzieć o wszystkim uczniom. Jaka to będzie radość, gdy oni usłyszą tę nowinę!

Uczniowie zebrali się właśnie razem w jednym z domów. Siedzieli przy drzwiach zamkniętych, bo bali się faryzeuszy i kapłanów. Gdy jednak ci dwaj ludzie zastukali, otworzono im drzwi i wpuszczono do środka.

Zanim jednak przybysze zdążyli dojść do głosu, usłyszeli od uczniów: — Pan Jezus naprawdę zmartwychwstał! Piotr Go widział!

— Tak — zawołali obaj przybyli — i myśmy Go widzieli!

Zaraz też zaczęli opowiadać o wszystkim, co ich spotkało.

Kiedy tak rozmawiali bardzo przejęci, nagle zjawił się wśród nich Jezus. Tak, Pan Jezus!

Jak tu się dostał? Drzwi były przecież zaryglowane, a okna szczelnie zamknięte.

Zebrani przestraszyli się.

Pan Jezus jednak powiedział do nich:

— Nie bójcie się, to ja. Chodźcie, dotknijcie mnie. Przypatrzcie mi się uważnie i upewnijcie się, że to naprawdę ja.

Pokazał im swoje ręce i nogi przebite gwoździ. Potem zapytał, czy mają coś do zjedzenia i zjadł kawałek chleba oraz trochę miodu.

Wtedy uwierzyli, że to Pan Jezus. A On, jak dawniej, zasiadł z nimi do stołu. I znów mogli słuchać Jego serdecznego głosu. Co to był za cudowny wieczór!

Później Pan Jezus odszedł, ale oni już nie smucili się więcej.

Wiedzieli, że odzyskali swego Pana i Mistrza, który jest Zbawcą, niosącym szczęście światu.

NA BRZEGU JEZIORA

Brzegiem jeziora wędruje siedmiu ludzi.

Są to uczniowie Jezusa, a jednym z nich jest Piotr.

Pan Jezus polecił im, by powrócili do Galilei. Tam ujrzą Go znowu.

Czekają więc teraz na swego Pana. Łódź Piotra, ta sama, którą kiedyś pływał, kołysze się przy brzegu, jak gdyby na niego czekała.

— Idę łowić ryby — powiedział Piotr.

— My z tobą — odrzekli inni.

Wszyscy wsiedli do łodzi i wypłynęli na głębię.

Zapadł wieczór.

Zarzucili sieci i czekali całą noc, ale nic nie złowili.

O świcie powracali na brzeg.

Nagle usłyszeli, że ktoś ich woła. Na brzegu stał jakiś biało ubrany człowiek. Było jeszcze ciemno, dopiero świtało, więc uczniowie ledwie go widzieli z daleka. Wyraźnie jednak słyszeli głos wołającego:

— Czy macie coś do jedzenia?

— Nie mamy! — odrzyknęli.

— Zarzućcie sieć z drugiej strony łodzi, wtedy nałapiecie ryb! — wołał nieznajomy.

Zrobili tak, jak im powiedział. Wyciągnęli sieci z wody i zarzucili je z drugiej strony łodzi.

Popłynęli kawałek dalej i po chwili wyciągnęli sieć, a raczej usiłowali ją wyciągnąć; nie mogli jednak sobie poradzić, tak była pełna.

Uczniowie ucieszyli się. Ten człowiek miał rację!

Ale kim on jest?

Jan domyślił się pierwszy i krzyknął do Piotra:

— To Pan Jezus!

Tak, to był Pan Jezus! Wówczas Piotr bez namysłu skoczył do wody i popłynął do brzegu. Chciał jak najprędzej znaleźć się koło swego Pana.

Inni uczniowie pozostali w łodzi i wiostowali w kierunku brzegu. Widzieli Pana Jezusa siedzącego przy ognisku. Piekły się ryby, leżał chleb. Pan Jezus czekał na swoich uczniów i wszystko przygotował na ich przybycie.

— Przynieście kilka ryb z tych, które złowiliście — polecił.

Piotr wstał, zbliżył się do łodzi i policzył ryby. Sto pięćdziesiąt trzy duże sztuki, a jednak sieć się nie zerwała!

Prawdziwy cud!

Spędzili razem piękny ranek nad brzegiem jeziora.

Pan Jezus zasiadł z uczniami przy ognisku. Brał chleb i dawał im. Później dawał im ryby. Uczniowie patrzyli na swego Mistrza cisi i zadumani.

Było im bardzo dobrze, bo On znowu jest z nimi.

Piotr czuł się jednak niepewnie.

Myślał sobie:

— Jestem nędznikiem. Czy będzie mi wolno nadal pełnić misję, którą Pan Jezus nam powierzył? Czy mogę iść do ludzi i nieść im szczęście? Czy mogę nadal być sługą Pana Jezusa? Inni uczniowie także zastanawiali się: — Czy Piotr w dalszym ciągu należy do nas? Czy może się zaliczać do uczniów Jezusa

ktoś, kto popełnił taki podły czyn? Wyparł się przecież Pana Jezusa aż trzy razy! Trzykrotnie powiedział, że Go nie zna.

Gdy zjedli, Pan Jezus zapytał:

— Piotrze, czy ty kochasz mnie więcej niż inni uczniowie?

Piotr przeraził się. Kiedyś rzeczywiście powiedział, że kocha Jezusa bardziej niż inni:

— Nawet jeżeli wszyscy Cię porzucą, ja Ciebie nigdy nie opuszczę! Będę walczył w Twojej obronie! Oddam życie dla Ciebie!

Piotr kiedyś mówił to wszystko, ale teraz nie ośmielił się powtórzyć. Zanadto się wstydził.

On jednak naprawdę bardzo kochał Pana Jezusa i Pan Jezus wiedział o tym. Piotr odpowiedział cicho:

— Tak Panie, Ty wiesz, że Ciebie Kocham.

Pan Jezus rzekł:

— A więc możesz być sługą moim, pasterzem mego stada.

Zapadła cisza.

Potem Pan Jezus zapytał ponownie:

— Piotrze, czy ty mnie kochasz?

Piotr posmutniał. Czyżby Pan Jezus mu nie wierzył? Nic dziwnego, że po tamtych kłamstwach stracił do niego zaufanie.

Odpowiedział więc Piotr:

— Panie, Ty wiesz dobrze, jak Cię Kocham.

A Pan Jezus na to:

— A więc możesz być sługą moim.

I znów przez chwilę panowała cisza.

Potem Pan Jezus zapytał po raz trzeci:

— Piotrze, czy ty mnie naprawdę kochasz?

Piotr trzy razy skłamał, zapierając się Jezusa.

Teraz musiał trzy razy powtórzyć, że Go kocha.

Piotr odpowiedział szlochając:

— Panie, Ty wiesz wszystko, Ty wiesz, jak Ciebie Kocham!

Pan Jezus powtórzył:

— A więc możesz być sługą moim. Możesz iść w świat i pełnić misję, którą ci powierzyłem.

Potem dorzucił:

— Kiedyś, Piotrze, robiłeś to, co chciałeś, ale teraz będziesz robił to, co ja zechcę.

Wszystko zostało wyjaśnione. Uczniowie wiedzieli już, że Piotr znowu należy do nich i że Pan Jezus wszystko mu przebaczył.

PAN JEZUS WSTĘPUJE DO NIEBA

Po zmartwychwstaniu Pan Jezus przebywał przez pewien czas na ziemi ze swymi uczniami.

Nie trwało to jednak długo.

Jego dzieło na ziemi zostało dokonane. Wykonał wszystko, co miał wykonać.

Teraz mógł powrócić do swego Ojca w niebie.

Po raz ostatni Pan Jezus spotkał się ze swymi uczniami w Jerozolimie.

Judasza nie było wśród nich. Poniósł karę za swoją zdradę.

Oszust Judasz już nie żył.

Wszyscy pozostali uczniowie zgromadzili się razem i uważnie słuchali Pana Jezusa. Wiedzieli, że po raz ostatni są razem z Nim. Pan Jezus powiedział im, że wkrótce podejmą wielką misję, którą im powierzył. Mają się udać w szeroki świat i opowiadać o Nim wszystkim ludziom.

To jest zadanie wielkie, ale trudne i niebezpieczne. Niech się jednak nie lękają, bo On będzie im towarzyszył i czuwał nad nimi.

Pan Jezus powiedział:

— Nie zostawię was samych. Przyślę kogoś, kto będzie z wami. Ześlę wam Ducha Świętego. On sprawi, że będziecie silni i mądrzy. On was nauczy, co macie czynić. Czekajcie więc w Jerozolimie aż do czasu przyjścia Ducha Świętego.

Pan Jezus przekazał uczniom wszystko, co powinni wiedzieć.

Potem udali się na górę Oliwną w pobliżu Jerozolimy. Kiedy weszli na szczyt. Pan Jezus po raz ostatni spojrzął na swych uczniów oczyma pełnymi dobroci, a gdy ich błogosławił, wstąpił do nieba.

Uczniowie padli na kolana.

— Panie Jezu — myśleli — czy naprawdę nas opuszczasz?

Wpatrywali się w Niego tak długo, aż biały obłok przysłonił Go całkowicie.

Pozostali więc sami i opuszczeni. Nie mogli rozstać się z Panem Jezusem. Chociaż dawno zniknął im sprzed oczu, oni nadal wpatrywali się w niebo. Nagle ujrzeli dwóch aniołów, którzy tak powiedzieli:

— Po co tu stoicie patrząc w niebo? Pan Jezus nie odszedł na zawsze. Powróci tak samo, jak widzieliście Go wstępującego w niebo.

Było to ostatnie pozdrowienie, ostatnia wiadomość od Pana Jezusa. Uczniowie poweseleli. Wrócili do miasta pełni radości, mówiąc:

— Cieszymy się, bo Pan Jezus jest już wśród aniołów w niebie wraz ze swym Ojcem. On nas widzi i stale czuwa nad nami. Niedługo zaczniemy wielką misję, którą nam polecił. Musimy jednak czekać i modlić się o przyjście Ducha Świętego.

DUCH ŚWIĘTY PRZYBYWA

Pan Jezus wykonał swoje dzieło na ziemi i wrócił do nieba, a uczniowie przebywali w Jerozolimie, czekając na przyjście Ducha Świętego, który miał im pomóc w wypełnianiu misji, dać im mądrość i siłę. Całymi dniami modlili się o to.

Czekali dziesięć dni, potem nastąpiło to, na co czekali.

W Jerozolimie, jak co roku, obchodzono Święto Żniw (Zielone Święta). W mieście było pełno ludzi, którzy przybyli ze wszystkich stron, nawet z zagranicy, aby w Jerozolimie złożyć ofiary. Ulice były zatłoczone.

Nagle ludzie zaczęli przystawać zdumieni, nasłuchiwać i rozglądać się: działo się coś dziwnego. Słychać było szum wiatru, chociaż żaden wiatr nie wiał. Dziwny szum pochodził z domu w pobliżu świątyni.

— Co to może być? — pytali ludzie i gnani ciekawością podchodzili coraz bliżej tego domu.

A tam zobaczyli coś dziwnego. W domu zgromadzili się uczniowie na wspólnej modlitwie; nad głową każdego z nich widać było płomyki ognia. Nie był to jednak zwykły ogień, bo się nie spalał. Uczniowie wyglądali na uszczęśliwionych. Wykrzykiwali coś radośnie, ponieważ Duch Święty, obiecany przez Jezusa, napełniał ich serca. Nie można Go było zobaczyć ani usłyszeć.

To wszystko było bardzo tajemnicze. Ludzie pytali zdumieni:

— Co to jest? Co to wszystko znaczy? Byli i tacy, którzy wyśmiewali się:

— Dobrze wiemy, co się stało. Oni wypili za dużo wina. Są pijani i dlatego tak się dziwnie zachowują. Nagle w domu uciszyło się.

Jeden z uczniów wyszedł do ludzi i zaczął przemawiać do zebranego tłumu. Był to Piotr, ten sam, który kiedyś tak bardzo się bał, że się nie odważył przyznać, że zna Pana Jezusa, i zaparł się Go trzykrotnie! Teraz nie czuł strachu. Powiedział:

— Nie jesteśmy pijani. Nie piliśmy wina. Czy wiecie, co się stało? To Pan Jezus zesłał nam Ducha Świętego. Wszyscy znacie Pana Jezusa! On uzdrawiał chorych i czynił wiele cudów. Wyście jednak nie okazali Mu wdzięczności. Gdy został uwięziony, wołaliście „Ukrzyżuj Go”! I Pan Jezus zmarł na krzyżu. To wasza wina. Nie pozostał jednak w grobie, ponieważ jest Synem Bożym.

Zmartwychwstał i myśmy Go widzieli. Teraz jest w niebie i zesłał nam Ducha Świętego. Ten Jezus, którego wyście ukrzyżowali, jest Królem nieba i ziemi!

Ludzie przerazili się. A więc Jezus naprawdę był Synem Bożym! Jacy oni byli ograniczeni i źli! A Bóg gniewa się na nich teraz!

— Co mamy począć? — zawołali. Piotr odpowiedział im:

— Proście Boga, aby wam wybaczył. Pokochajcie Pana Jezusa. Ochrzćcie się. Chrzest oznacza, że Bóg wam przebacza i daje wam nowe serca.

Wtedy odnajdziecie radość i szczęście. Tamtego roku cudowne były Zielone Świąta w Jerozolimie! Bardzo wielu ludzi prosiło uczniów o chrzest. Około trzech tysięcy zostało ochrzczonych. Byli to ci, którzy pokochali Pana Jezusa i postanowili zostać Jego uczniami.

Gdy święta minęły, ludzie rozjechali się do swoich krajów i wszędzie opowiadali o tym, co się wydarzyło. Opowiadali, że Pan Jezus dał im radość i szczęście!

SPARALIŻOWANY

Pewien człowiek siedział całymi dniami na ziemi koło wejścia do świątyni. Gdy tylko ktoś przechodził tamtędy, on wyciągał rękę i wołał:

— Poproszę o parę groszy! Zlitujcie się nad biednym kaleką!

Ten biedny człowiek nie mógł chodzić: jego bezwładne nogi nie mogły utrzymać ciała.

Tak było od bardzo dawna. Kiedy był jeszcze małym dzieckiem, matka nie mogła nauczyć go chodzić: stawiała go na nogi, a on się przewracał. Gdy podrósł, nie mógł towarzyszyć innym chłopcom biegającym i bawią cym się wesoło na ulicy. Siedział smutny w kącie.

Teraz miał już przeszło czterdzieści lat. Ludzie w jego wieku pracowali i zarabiali na życie. On mógł tylko żebrać.

Dlatego zawsze przesiadywał koło wejścia do świątyni i gdy ktoś tamtędy przechodził, wyciągał rękę po prośbie.

Czasem coś dostawał.

Często nie otrzymywał nic.

Był to bardzo nieszczęśliwy człowiek. A jednak któregoś dnia ten człowiek został w jednej godzinie uleczony. Stało się to pewnego popołudnia, o trzeciej godzinie, na oczach wielu ludzi, którzy udawali się do świątyni, bo o godzinie trzeciej składano ofiary.

Sparaliżowany siedział przy pięknej złotoczonej bramie świątyni, gdy właśnie przechodzili tamtędy Piotr i Jan. Oni również szli do świątyni. Sparaliżowany wyciągnął rękę i zawołał:

— Poproszę o parę groszy na kawałek chleba!

Piotr i Jan nie dali mu pieniędzy, lecz Piotr powiedział:

— Spójrz na nas!

Człowiek spojrział i zapytał:

— O co chodzi?

Piotr odrzekł:

— Nie mamy pieniędzy, ale damy ci coś cenniejszego.

Ujął sparaliżowanego za rękę i zawołał:

— Wstań! Pan Jezus chce cię uzdrowić!

I ujął go za prawą rękę, i podniósł go. Ten bał się jeszcze stanąć na swych sparaliżowanych nogach.

Lecz oto okazało się, że nie są one już sparaliżowane! Stopy i całe nogi zostały w jednej chwili uzdrowione! Człowiek mógł na nich stanąć, mógł chodzić tak jak inni.

Pan Jezus, który jest w niebie, uleczył go! Człowiek zdumiał się, a potem płakał i śmiał się z radości.

Wołał:

— Mogę chodzić! Nie jestem już sparaliżowany. Pan Jezus uleczył mnie w swojej dobroci!

Uzdrowiony skakał i tańczył ze szczęścia. I tańcząc wszedł za Piotrem i Janem do świątyni.

W świątyni zebrało się dużo ludzi o tej porze. Oglądali tę scenę ze zdumieniem i mówili:

— Któż to jest? Czy to ten sam sparaliżowany, który siadywał przy drzwiach i żebrał? Czyżby naprawdę Piotr i Jan uzdrowili go?

Spoglądali na nich z podziwem i lękiem.

Wtedy Piotr rzekł do tłumu:

— Nie patrzcie na nas z takim podziwem, ponieważ to nie myśmy uzdrowili tego człowieka. Dokonał tego Pan Jezus.

Potem mówił ludziom o tym, żeby pokochali Pana Jezusa i prosili Go o darowanie win. Powiedział:

— Pan Jezus żyje. Porzucił grób i teraz jest w niebie. Chce, abyście wszyscy stali się szczęśliwi!

Piotr mówił jeszcze wiele innych rzeczy i ludzie słuchali go z zapartym tchem.

Byli w świątyni także kapłani, bardzo niezadowoleni, że Piotr tam jest i przemawia. Zawołali żołnierzy, a ci schwytali Jana i Piotra i wtrącili ich do więzienia.

Piotr i Jan całą noc spędzili w więzieniu. ale wcale nie uważali tego za straszną rzecz.

— Pan Jezus tyle cierpiał dla nas, że teraz my możemy trochę pocierpieć dla Niego. Dla Niego niech nas nawet wtrącają do więzienia — myśleli sobie i wcale nie byli smutni.

Rano przyszli żołnierze i zaprowadzili ich do złych kapłanów. Kapłani postanowili:

— Musimy napędzić strachu tym ludziom, żeby już nigdy nie ośmielili się publicznie mówić o Jezusie. Nie chcemy, aby o Nim mówiono. Ludzie nie powinni słuchać Jego uczniów, tylko nas.

Powiedzieli więc do Piotra i Jana:

— Nie wolno wam opowiadać o Pana Jezusie! Zapamiętajcie to sobie, bo inaczej źle się to skończy!

Piotr i Jan wcale się nie przestraszyli, tylko odpowiedzieli:

— Będziemy robić to, co kazał Pan Jezus. Jemu będziemy posłuszni, a nie wam!

Kapłani nie ośmielili się zrobić im nic złego ze względu na uzdrowienie sparaliżowanego. Próbowali ich zastraszyć, ale potem wypuścili. Nadal jednak byli bardzo zagniewani. Myśleli sobie:

— Poczekajmy trochę, a i tak pozbędziemy się tych ludzi. Skazaliśmy Pana Jezusa, teraz kolej na Jego uczniów.

Ale uczniowie nie obawiali się niczego. Oni wiedzieli, że Pan Jezus czuwa nad nimi.

PIOTR W WIĘZIENIU

Była późna noc.

Wszędzie panowała zupełna cisza. W taką ciemną noc pewien człowiek siedział w więzieniu.

Spał na ziemi w małej, ponurej celi. Po dwóch jego stronach leżało dwóch żołnierzy i pilnowało, by nie uciekł, co i tak było niemożliwe, bo więzień miał na każdej ręce kajdany, którymi był skuty z żołnierzami. Prawą rękę miał przykutą do żołnierza po prawej stronie, a lewą do tego po lewej stronie. Gdyby tylko spróbował się poruszyć, żołnierze natychmiast by się przebudzili.

Drzwi do celi były zaryglowane, tak samo brama więzienia. Przy bramie stały strażę, czuwając by nikt stamtąd nie uciekł. W więzieniu było bowiem wielu przestępców, złodziei i morderców.

Nie ma mowy, aby ktoś mógł stąd uciec. Przykuty człowiek nawet nie próbuje ucieczki. Następnego dnia stanie przed królem, a potem musi umrzeć. Ta noc jest ostatnią w jego życiu.

Więzień jednak nie boi się. Wie, że Pan Jezus jest z nim i nie opuści go nawet w chwili śmierci. Weźmie go do siebie, do nieba. Dlatego śpi spokojnie między dwoma żołnierzami. Nie jest ani złodziejem, ani mordercą. On kocha Pana Jezusa i nie zrobił niczego złego. Opowiadał tylko ludziom o Panu Jezusie. Czy wiecie już, kim jest ten człowiek? To Piotr.

Żli kapłani znowu wtrętili go do więzienia i nikt — nawet jego przyjaciele — nie może mu pomóc.

Przyjaciele myślą jednak o nim bez przerwy. Nie położyli się spać. Postanowili całą noc spędzić razem. Chociaż nie mogą pomóc Piotrowi, przynajmniej będą się za niego modlić. Całą noc się modlą:

— Panie, prosimy Cię, pomóż Piotrowi! My nie możemy nic dla niego zrobić, ale Ty możesz wszystko!

Piotr śpi. Obydwaj żołnierze śpią również.

Nagle w celi pojawił się anioł. Dotknął Piotra, obudził go i powiedział: — Wstawaj prędko!

Piotr posłuchał natychmiast. Kajdany same opadły mu z rąk.

Żołnierze nie przebudzili się.

Anioł rzekł:

— Zabierz swoje sandały, płaszcz i chodź za mną!

Piotr natychmiast posłuchał i pospieszył za aniołem, który wyprowadził go z więzienia.

Ciężkie drzwi otworzyły się same, a żołnierze, stojący tuż obok, nie zatrzymali Piotra. Nie widzieli go.

Piotr myślał:

— Z pewnością to wszystko mi się śni...

Zatrzymali się dopiero na ulicy. Piotr zobaczył księżyc na niebie. Nie mógł uwierzyć, że opuścił więzienie.

Anioł towarzyszył mu jeszcze na ulicy, a potem nagle zniknął.

Piotr pozostał sam. Zatrzymał się, rozejrzał dookoła i pomyślał:

— Widzę teraz, że to jednak Pan wysłał swego anioła, aby mi pomógł wyjść z więzienia. A więc jestem wolny! Naprawdę wolny!

Dokąd teraz uda się Piotr?

Oczywiście, do swych przyjaciół! Piotr dobrze wiedział, w którym domu się zbierają. Mógł tam trafić nawet po ciemku. Zapukał do drzwi. W nocnej ciszy donośnie zabrzmiało to stukanie.

Uczniowie i inni przyjaciele Piotra zebrani w domu modlili się.

Nagle usłyszeli nieoczekiwane: stuk! stuk! stuk! do drzwi, i bardzo się przestraszyli.

Któż to zjawia się teraz, w środku nocy?

Czyżby żołnierze przyszli ich aresztować?

Służąca Rode podeszła do drzwi.

— Kto tam? — zapytała.

— Otwórz bez obawy, to ja — odpowiedział pukający.

Służąca poznała głos Piotra. Tak bardzo się ucieszyła, że z radości zapomniała otworzyć drzwi.

Wbiegła do pokoju wołając:

— Piotr stoi pod drzwiami! Piotr wrócił!

— Co ty opowiadasz, Rode? To niemożliwe. Musiałś się pomylić!

— Nie, to naprawdę on — upierała się dziewczyna. — Posłuchajcie, znowu puka!

Wszyscy tłumnie ruszyli do drzwi i otworzyli je. Tak, rzeczywiście to był Piotr, który uśmiechając się wszedł do domu.

— Piotrze — zawołali — czy to naprawdę ty? Czy jesteś wolny? W jaki sposób wyszedłś z więzienia? Czy król cię uwolnił? Czy udało ci się uciec? W jaki sposób wydostałś się stamtąd?

Wszyscy mówili naraz i tłoczyli się wokół Piotra.

On odczekał, aż umilkną, i wtedy opowiedział im całą historię. Dowiedzieli się, w jaki sposób Pan Jezus wysłuchał ich modlitwy, i gorąco Mu za to podziękowali.

Piotr nie mógł jednak zostać dłużej u przyjaciół. Kiedy żołnierze obudzą się, będą go z pewnością szukać po całym mieście.

Dlatego tej samej jeszcze nocy Piotr opuścił miasto i udał się bardzo daleko, w takie strony, gdzie zły król ani jego żołnierze nie odnajdą go.

I wszędzie, gdziekolwiek Piotr się znalazł, opowiadał o Panu Jezusie, który kocha ludzi i czuwa nad nimi.

PAWEŁ

W Jerozolimie mieszkał w tamtych czasach pewien człowiek o imieniu Paweł. Któregoś dnia udał się on w podróż do innego dużego miasta, które nazywało się Damaszek.

Paweł zabrał ze sobą sługi.

Zabrał ze sobą również powrozy. Tymi powrozami zamierzał wiązać w Damaszku mężczyzn i kobiety, aby przywieźć ich do więzienia w Jerozolimie.

Paweł uważał, że ci ludzie zasłużyli sobie na to. Przecież należą do uczniów Pana Jezusa i tego Jezusa kochają.

A tak nie powinno być, bo kapłani tego zabronili. Jeżeli mimo to ktoś ośmiela się kochać Jezusa, musi zostać ukarany.

Pan Jezus powiedział o sobie, że jest Synem Bożym. Ale tak nie było!... Jezus kłamał — mówili kapłani — i dlatego został ukrzyżowany.

Jego uczniowie także są kłamcami, bo opowiadają, że Pan Jezus zmartwychwstał i jest teraz w niebie. Muszą za to ponieść karę — oni i ci wszyscy, którzy ośmielają się ich słuchać.

— Jeszcze trochę — myślał Paweł — a skończę z tym wszystkim. Wtrącę ich do więzienia, gdzie będą tak długo bici, aż sami uznają, że już nic nie chcą słyszeć o Jezusie. Tak trzeba postępować! Bóg będzie z tego zadowolony i uzna mnie za swego wiernego sługę...

Paweł naprawdę myślał, że jest dobrym sługą Bożym i dlatego robił wszystko, co w jego mocy, by wtrącać do więzienia tych biednych ludzi. Kochał złych kapłanów i sam bardzo pragnął być prawdziwie dobrym sługą Bożym. Teraz udawał się do Damaszku. Słyszał bowiem, że mieszka tam wielu ludzi kochających Pana Jezusa. Szedł więc, by ich uwięzić. Nie wolno robić tego, czego kapłani zabraniają!

Nie wolno mówić, że Pan Jezus jest Synem Bożym!

Paweł zbliżał się do Damaszku. Już w oddali widział miasto, kiedy nagle zdarzył się wielki cud!

Niezwykła jasność oślepiła Pawła i jego sługi. Jasność tak potężna, że Paweł zastonił oczy rękoma i padł na ziemię przerażony.

Wówczas usłyszał głos, mówiący do niego:

— Dlaczego mnie ciągle prześladujesz? Dlaczego tępisz moich uczniów?

Paweł zapytał drżącym głosem:

— Kim jesteś, Panie?

Głos odpowiedział:

— Jestem Jezusem, którego ty przesiadujesz.

Czyżby to był głos samego Pana Jezusa? Czy Pan Jezus żyje naprawdę? A więc jest jednak Synem Bożym! Paweł zapytał pełen lęku:

— Panie, co mam uczynić?

A Pan Jezus odpowiedział:

— Wejdź do miasta, a tam powiem ci wszystko, co możesz uczynić.

Potem jasność ustąpiła. Paweł podniósł się z ziemi i próbował otworzyć oczy, ale otaczała go ciemność. Nic nie widział. Stał się niewidomy.

Słudzy ujęli go pod ręce i doprowadzili do Damaszku, gdzie zatrzymali się w jednym z domów. Tam Paweł usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

— Jestem podły — myślał. — Sądziłem, że jestem sługą Bożym, a okazało się, że jestem wrogiem Boga!

Przyniesiono mu jedzenie i picie, ale on niczego nie przyjmował. Nie jadł i nie pił przez trzy dni, bo zbyt był zmartwiony. Ciągle myślał o swych winach. Wiele myślał też o Panu Jezusie, aż w pewnej chwili zaczął się modlić:

— Panie, żałuję gorąco tego, co robiłem. Wybacz mi! Nie wiedziałem, że robię źle. Uczyń ze mnie dobrego Sługę!

Trzeciego dnia przyszedł do Pawła pewien stary człowiek. Nazywał się Ananiasz i bardzo kochał Pana Jezusa. Starzec położył swe dłonie na głowie Pawła i powiedział:

— Pawle, bracie mój kochany, to Pan Jezus przysłał mnie do ciebie. Wkrótce odzyskasz wzrok i staniesz się sługą Pana Jezusa...

Pawłowi zdawało się, że z oczu jego opadają czarne łuski.

Znów widział! Podniósł się i powiedział:

— Chcę być ochrzczony. Chcę zostać uczniem Pana Jezusa.

I stało się to, czego pragnął.

Teraz Paweł był pewny, że Bóg przebaczył mu winy. Myślał:

— Odtąd będę robić wszystko, co w mojej mocy, aby być dobrym sługą Boga i Pana Jezusa.

Pozostał w Damaszku jeszcze przez pewien czas i tam głosił wszystkim, że Pan Jezus jest Synem Bożym i że tylko On może dać ludziom szczęście.

— Czy to rzeczywiście jest ten sam Paweł, który przybył tu, aby wytępić uczniów Jezusa — dziwili się ludzie.

— Patrzcie, a teraz sam został Jego uczniem!

W Damaszku także mieszkali źli kapłani i ci postanowili zaarrestować Pawła. Szukano go wszędzie, żeby uwięzić.

Paweł jednak ocalał, bo udało mu się uciec potajemnie.

Najpierw podążył do Jerozolimy, a potem dalej w świat. Dokądkolwiek zaś przybywał, wszędzie opowiadał ludziom o Panu Jezusie.

W DALEKIM ŚWIECIE

Ucniowie wyruszyli w świat, by opowiadać ludziom o Panu Jezusie. Nieśli wszędzie radosną wieść o tym, że Jezus po to przyszedł na świat, aby przynieść ludziom szczęście. To On sam kazał im głosić tę radosną nowinę (Ewangelię).

Piotr, Jan, Filip i, inni uczniowie ruszyli w świat. Odbywali dalekie podróże po to, by nieść wszystkim ludziom szczęście i radość.

Była to piękna, lecz równocześnie trudna misja. Czasem nawet niebezpieczna.

Najczęściej ludzie nie chcieli słuchać uczniów. Często gniewali się na nich, a nawet chcieli zrobić im krzywdę. Uczniowie jednak nie bali się, gdyż wiedzieli, że Pan Jezus czuwa nad nimi.

Prawdziwy sługa Boży niczego się nie lęka.

Chętnie pełnili swą misję nawet wtedy, gdy była ciężka.

Najwięcej podróży odbywał Paweł. Wędrował morzem i lądem.

Pewnego razu przybył do miasta Filipi. Towarzyszył mu jego przyjaciel, Syłas. Obaj opowiadali tam o Panu Jezusie. Źli ludzie jednak nie chcieli im na to pozwolić.

Schwytano Pawła i Sylasa, wychłostano ich i wrzucono do więzienia, w którym trzymano złodziei, morderców i innych przestępców. Przykazano strażnikom, aby ich dobrze strzegli.

— Pilnujcie dobrze tych ludzi, bo chociaż twierdzą, że są sługami Bożymi, to w gruncie rzeczy są groźnymi przestępcami. Nie pozwólcie im zbiec, gdyż wtedy sami zostaniecie srogo ukarani.

Strażnik (tak nazywano dozorcę więziennego) umieścił Pawła i Sylasa w najciemniejszej celi i zakut im nogi w drewniane dyby.

— Teraz na pewno mi nie uciekną — pomyślał.

Tak oto Paweł i Syłas siedzą w więzieniu. Plecy mają obolałe od zadanych razów. Ciężkie dyby ściskają im nogi. Otacza ich ciemność. Oni jednak są spokojni.

— Bóg widzi nas także w ciemnościach i stale czuwa nad nami — myślą. — Pan Jezus tak wiele wycierpiał dla nas, że teraz my możemy trochę pocierpieć dla Niego.

Czują się radośni i szczęśliwi, że mogą cierpieć dla swego Pana.

Nocą śpiewają psalmy, a ich śpiew dociera do innych więźniów.

Lecz oto nagle ziemia poruszyła się i zatrzęsała. Nastąpiło straszne trzęsienie ziemi. Mury więzienia zachwiały się i runęły. Drewniane dyby, w które zakuto Pawła i Sylasa, rozpadły się. Oto obaj więźniowie są wolni — mogą bez trudu uciec!

Hałas obudził śpiącego strażnika. Zobaczył otwarte drzwi do celi i zaraz pomyślał:

— Na pewno moi więźniowie uciekli i teraz czeka mnie surowa kara.

Był tak przerażony, że sam nie wiedział, co począć, gdy nagle usłyszał głos Pawła:

— Uspokój się, jesteśmy tutaj!

Strażnik nie wierzył własnym uszom. Wziął lampę i wszedł do celi. Ujrzał tam oczywiście Pawła i Sylasa, którzy nie skorzystali z okazji i nie uciekli.

— A więc nie są oni żadnymi przestępcami! To naprawdę słudzy Boga i przybyli tu po to, aby czynić ludzi szczęśliwymi — stwierdził strażnik. Padł na kolana przed Pawłem i Sylasem i poprosił:

— Drodzy przyjaciele, obdarzcie i mnie szczęściem. Powiedzcie, co mam uczynić, aby stać się szczęśliwym.

Paweł odpowiedział mu:

— Kochaj Pana Jezusa, a będziesz szczęśliwy.

Potem Paweł i Syłas zwiastowali strażnikowi i innym ludziom w więzieniu radosną wieść o Jezusie. Następnie ochrzczili ich.

W taki sposób ludzie ci stali się uczniami Pana Jezusa.

Strażnik zabrał Pawła i Sylasa do siebie do domu. Obmył im plecy, aby ulżyć cierpieniom. Zastawił stół z jedzeniem i pić i pytał, co jeszcze mógłby dla nich zrobić, aby wyrazić im swą ogromną wdzięczność. Tak bardzo był szczęśliwy!

Następnego dnia rano zwolniono Pawła i Sylasa. Ruszyli więc dalej w świat. I wszędzie, gdzie się znaleźli, opowiadali o Jezusie.

Paweł pozostał do końca życia wiernym sługą Pana Jezusa. Po nim inni ludzie kontynuowali jego misję, potem znowu inni, i tak jest do dzisiaj. Wielu mężczyzn i kobiet udaje się daleko w świat, by głosić radosną nowinę.

Aż kiedyś nadejdzie taki dzień, że nie będzie już na świecie takiego kraju ani takiego człowieka, który by nie słyszał o Panu Jezusie.

Wtedy On wróci na ziemię.

A cała ziemia stanie się Jego królestwem.

PRZYPOWIEŚĆ O DZIESIĘCIU PANNACH

Gdy Pan Jezus powróci na ziemię, zapanuje wspaniałe święto!

Nikt jednak nie wie, kiedy to nastąpi. Ale nastąpi to na pewno!

Będzie to święto całej ziemi!

Każdy z nas może się przyczynić do tego, by to święto wypadło jak najwspanialej.

Teraz Pan Jezus jest w niebie, skąd czuwa nad nami i nad wszystkimi ludźmi. Jest Królem nieba i ziemi. całej ziemi.

Dlatego cała ziemia będzie świętować Jego powrót.

Bóg tylko wie, kiedy to nastąpi. Nastąpi to jednak na pewno. Pan Jezus nam to obiecał.

Od tamtych czasów upłynęło wiele lat. Niektórzy ludzie nie wierzą, że Pan Jezus przyjdzie i oczywiście nie przygotowują się do tego dnia.

Inni jednak, ci, którzy kochają Pana Jezusa, dobrze wiedzą, że On przyjdzie, choćby nawet trzeba było jeszcze długo czekać. Stale na Niego czekają i modlą się:

— Panie Jezu, przyjdź wkrótce!

Dla tych ludzi dzień przyjścia Pana Jezusa będzie dniem radości, dla tamtych będzie dniem smutku. I o tym właśnie mówił Pan Jezus, gdy jeszcze był tu na ziemi.

Kiedyś opowiedział na ten temat piękną historię — przypowieść o dziesięciu pannach.

Pewnego razu dziesięć dziewcząt stało przy drodze i czekało. Pora była późna, zbliżała się północ.

Dziewczęta były pięknie ubrane, a każda z nich trzymała w ręku lampę oliwną.

Czekały na państwa młodych, którzy mieli tamtędy przechodzić. Byli to ich przyjaciele, którzy brali ślub. Z tego powodu miała się odbyć wielka uroczystość. On był panem młodym, ona panną młodą (tak nazywają się osoby, które biorą ślub). Kiedy nadejdą, dziewczęta przyłączą się do wspaniałego orszaku ślubnego, towarzyszącego państwu młodym. Razem z nimi udadzą się do domu, w którym odbędzie się uroczystość weselna. Każdy, kto ma zapaloną lampę oliwną, może przyłączyć się do orszaku. Każdy, kto chce się przyczynić do tego, by ta uroczystość wypadła jak najwspanialej, może wziąć w niej udział.

Dziewczęta miały na to wielką ochotę. Wypatrywały z daleka orszaku ślubnego. Nikt jednak nie nadchodził. Droga była ciągle ciemna i pusta.

— Jak to długo trwa! — niecierpliwily się zmęczone czekaniem dziewczęta. W końcu posiadały przy drodze, a lampy postawiły przy sobie.

Siedziały tak już dłuższy czas, a pan młody wciąż nie nadchodził. Wreszcie zachciało im się spać, podparły głowy rękoma i zasnęły.

Śpią. Dziesięć lamp stoi przy nich, dziesięć małych światełek migoce. Czas płynie... Światełka przygasają, bo wypala się oliwa w lampach. Nagle dziewczęta posłyszały z daleka muzykę. Dojrzały zbliżające się światła i usłyszały radosne głosy:

— Pan młody nadchodzi! Wyjdźcie mu prędko na spotkanie!

Dziewczęta w mig oprzytomniały. Zerwały się na równe nogi i chwyciły swe lampy. Ale lampy gasły, bo oliwa już się wypaliła. Były prawie puste. Kto nie ma zapalonej lampy, ten nie może wziąć udziału w uroczystości! Co teraz począć?

Pięć dziewcząt wiedziało od razu, co zrobić, bo starannie przygotowały się do tego dnia. Zabrały ze sobą zapas oliwy w naczyniach. Teraz prędko dolały oliwy do lamp, które rozbłyły jasnym światłem. Pozostałe panny nie miały co dolać, bo nie pomyślały o tym zawczasu, i teraz stały zakłopotane. Narzekały i prosiły:

— Dajcie nam trochę oliwy, bo nasze lampy gasną.

Przewidujące dziewczęta nie mogły tego zrobić, bo wtedy im samym zabrakłoby oliwy. Poradzili tylko:

— Biegnijcie prędko do sklepu!

I tamte natychmiast zniknęły w ciemnościach nocy.

Pięć pozostałych, tańcząc, przyłączyło się do orszaku ślubnego.

Drzwi domu państwa młodych były szeroko otwarte. Cały orszak wszedł do środka, a wraz z nim i pięć dziewcząt.

Wnętrze było wspaniale udekorowane. Muzyka grała, a na stołach rozstawiono pyszne potrawy.

Pięć panien zasiadło wraz z innymi do uczty.

Potem zamknięto drzwi i rozpoczęła się wielka uroczystość.

Po pewnym czasie ktoś zapukał. Słysząc było wołanie:

— Otwórzcie, otwórzcie! My też chcemy wejść!

Były to te dziewczęta, którym przedtem zabrakło oliwy do lamp. Teraz miały oliwę, ale było już za późno. Pan młody powiedział do nich:

— Nie znam was. Nie należycie do moich przyjaciół, bo oni wszyscy są już tutaj.

Pięć mądrych panien znajdowało się w domu na uroczystości weselnej. Pięć niedbałych musiało zostać na dworze.

Skończywszy tę opowieść. Pan Jezus powiedział:

— Strzeżcie się i wy, aby nie spotkało was to, co tamte panny. Starajcie się jak najlepiej przygotować na dzień mego powrotu. Nie wiecie, kiedy nadejdę, więc zawsze bądźcie gotowi do wyjścia mi na spotkanie.

SŁUDZY PANA JEZUSA

Gdy Pan Jezus powróci na ziemię, zapanuje wielkie święto.

Musimy o tym pamiętać wszyscy — dorośli i dzieci — i stale przygotowywać się do tego dnia.

Przecież wszyscy, duzi i mali, jesteśmy Jego sługami.

Kiedy On przyjdzie, zapyta każdego z nas, jak wykonał swoje zadanie. Nie wolno mówić:

— Ja nic nie mogę zrobić dla Pana Jezusa!

Każdy powinien robić to, co potrafi. Nie wszyscy jesteśmy jednakowo silni i zdolni. Jeden może uczynić więcej, inny mniej. Ważne jest, abyśmy każde, nawet najmniejsze, zadanie starali się wykonać jak najlepiej.

Wtedy będziemy dobrymi sługami Pana Jezusa.

Wtedy On będzie z nas zadowolony.

Lecz ten, kto jest leniwy i mówi: — Ja nic nie mogę zrobić — jest złym sługą.
Pan Jezus opowiedział taką przypowieść na ten temat.

Był kiedyś wielki pan, który mieszkał we wspaniałym domu i posiadał mnóstwo pieniędzy, co najmniej osiem worków złota. Miał on także sługi, którzy pracowali dla niego.
Ten wielki pan był kupcem. Kupował różne rzeczy, a potem drożej je sprzedawał. W ten sposób dorobił się majątku.

Pewnego dnia pan musiał się udać w daleką podróż. Wyjeżdżał do innego kraju, gdzie miał przebywać dłuższy czas.

Kto będzie go zastępował? Kto będzie pracował, kupował i sprzedawał, aby zarobić pieniądze dla niego?

Oczywiście, słudzy mogli go w tym zastąpić. Przed wyjazdem pan zawezwał ich do siebie.

Najpierw przywołał najzdolniejszego sługę. Dał mu pięć worków pełnych pieniędzy. Stanowiło to pięć talentów, jak się w tamtych czasach mówiło. Pan powiedział do sługi:

— Obracaj tymi pieniędzmi, jak potrafisz najlepiej. Kupuj i sprzedawaj, staraj się jak najuczciwiej zarobić tyle, ile możesz.

Potem przywołał drugiego sługę. Temu dał dwa worki pełne pieniędzy i rzekł do niego również:

— Obracaj tymi pieniędzmi, jak potrafisz najlepiej. Pracuj uczciwie i bądź dobrym sługą.

Na koniec zawołał trzeciego sługę. Ten otrzymał jeden talent. Była to też wielka suma — cały worek pieniędzy.

I do niego powiedział pan te same słowa:

— Obracaj, jak najlepiej potrafisz, tymi pieniędzmi. Pracuj uczciwie i bądź dobrym sługą.

Wszystkie pieniądze zostały podzielone.

Każdy otrzymał swoją część.

Nikt nie został z pustymi rękami. Nikt nie mógł powiedzieć:

— Ja nie mogę nic zrobić dla mego pana!

Pan wyjechał i słudzy pozostali w domu sami. Teraz mogli robić, co tylko chcieli.

Jednak kiedyś pan wróci i każdego zapyta:

— Co zrobiliście dla mnie?

Pierwszy sługa, który otrzymał pięć talentów, zabrał się zaraz z zapalem do pracy. Kupował, sprzedawał i zarabiał dużo. Pod koniec miał dwa razy więcej pieniędzy niż na początku — dziesięć pełnych worków!

Drugi sługa też starał się, jak umiał najlepiej. Nie mógł wprawdzie kupować i sprzedawać tak jak pierwszy, bo nie miał aż tyle pieniędzy, ale robił, co mógł. Pod koniec i on posiadał dwa razy tyle pieniędzy co na początku. Rozpoczął z dwoma talentami, teraz miał ich cztery.

Obaj słudzy ciągle wyglądali powrotu pana. Mieli nadzieję, że wkrótce to nastąpi. Tęsknili za nim.

Ale trzeci sługa był złym sługą. Nie miał ochoty pracować, wołał próżnować. Powiedział sobie:

— Co ja mogę zrobić dla mego pana!? Gdybym chociaż otrzymał pięć talentów albo przynajmniej dwa, jak tamci! Ale tak, posiadając tylko jeden, nie mogę nic zrobić.

Dobrze wiedział, że to, co mówi, nie jest prawdą. Mógł być pożyteczny, gdyby tylko wołał pracować zamiast leniuchować.

— Po co mam się brać do pracy? Jeszcze zgubię te pieniądze! Już lepiej nic nie robić — mówił.

Wykopał dziurę w ziemi i ukrył w niej pieniądze swego pana. Tu były bezpieczne, nikt nie mógł ich zabrać. Zrobiwszy to, słodko sobie próżnował.

Miał nadzieję, że pana nie będzie jeszcze przez długi czas. Wcale mu się nie spieszyło do spotkania z nim.

Istotnie, pan długo nie wracał, ale pewnego dnia wreszcie przyjechał. Zawezwał sługi, by się dowiedzieć, czy dobrze dla niego pracowali.

Pierwszy sługa przybył uradowany, postawił dziesięć pełnych worków przed panem i powiedział:

— Panie, dałeś mi pięć talentów. Spójrz, zyskałem dla ciebie drugie tyle.

Pan był zadowolony. Powiedział:

— To dobrze, słuگو dobry i wierny. Byłeś mi wierny w małych sprawach, otrzymasz teraz wiele. Pójdź i świętuj razem ze mną.

Przybył także drugi słuگو i postawiwszy przed panem cztery worki pełne pieniędzy, powiedział wesoło:

— Panie, dałeś mi dwa talenty, spójrz, zyskałem jeszcze dwa.

Pan był zadowolony z niego tak samo, jak z pierwszego słuگی.

Powiedział do niego:

— To dobrze, słuگو dobry i wierny. Byłeś mi wierny w małych sprawach, teraz otrzymasz wiele. Pójdź i świętuj razem ze mną.

W końcu przyszedł trzeci słuگو. Musiał zdać rachunek z tego, co zrobił, bez względu na to, czy miał na to ochotę, czy nie...

Wiedział, że był złym słuگą, ale wcale nie odczuwał skruchy. Usiłował zrzucić winę na pana, jak gdyby to on był winien jego lenistwa. Postawił worek pełen pieniędzy i powiedział niegrzecznym tonem:

— Oto, panie, twoje pieniądze. Ukryłem je w ziemi, bo wiedziałem, że jesteś srogi i bałem się, że mogę je stracić. Teraz oddaję ci wszystko. Nie możesz więc mi nic zarzucić.

Pan jednak miał mu, oczywiście, wiele do zarzucenia. Był bardzo niezadowolony z tego słuگی.

Powiedział:

— Słuگو zły i leniwy! Wiedziałeś, że jestem srogi, a mimo to tak źle wywiązałeś się ze swego zadania.

Zostaniesz ukarany za swoje lenistwo.

Do tamtych zaś słuگ rzekł:

— Zabierzcie pieniądze, które mu powierzyłem, bo nie jest ich wart. Dajcie je temu słuگو, który ma dziesięć talentów. Zasłużył na to, by otrzymać więcej. Ten zaś nie zasłużył na nic. Zwiążcie go i wrzucicie do więzienia!

Czy dobrze zrozumiałeś tę historię? Tymi słuگami jesteśmy my wszyscy. A naszym Panem jest Jezus.

On też udał się w podróż do dalekiego kraju. Przebywa w niebie. Może tam długo pozostawać, ale pewne jest, że kiedyś powróci i zapyta każdego z nas:

— Co dla mnie zrobisz?

GDY PAN JEZUS POWRÓCI

Zanim zakończę tę książkę, chcę ci jeszcze coś powiedzieć.

Opowiem ci, co Pan Jezus obiecał, gdy jeszcze przebywał na ziemi.

Wiesz już, że teraz jest On w niebie. Jest naszym królem, a my — mali i duzi — Jego słuگami. Wszyscy musimy coś dla Niego robić. Pewnego dnia Pan Jezus powróci na ziemię i wtedy zapyta każdego z nas:

— Co zrobisz dla mnie?

Pan Jezus jest Zbawcą, kocha wszystkich ludzi i chce ich obdarzyć szczęściem i radością.

My także musimy kochać innych ludzi i nieść im radość i szczęście.

Nie tylko naszym rodzicom, lecz także innym ludziom. Pan Jezus nauczył nas, jak to robić.

Może czasem jakiś biedny człowiek staje u twoich drzwi?

Okaz mu współczucie.

Będziesz wtedy dobrym słuگą Pana Jezusa. On ucieszy się tak, jak gdybyś Jego samego obdarował.

Co zrobisz, gdy już będziesz duży i będziesz miał własny dom, jeżeli ktoś biedny zapuka do twych drzwi?

Jak postąpisz, gdy zjawi się ktoś, kto nie ma gdzie spać?

A co zrobisz, jeżeli przyjdzie do ciebie człowiek, któremu potrzeba ubrania?

Może masz jakiegoś kolegę lub koleżankę, którzy są teraz chorzy i nie mogą bawić się na dworze? To prawda, że nie zawsze chce się siedzieć przy chorym, weselej bawić się ze zdrowymi kolegami. Jeżeli jednak sprawisz radość choremu dziecku, ucieszysz Pana Jezusa!

Być może, kiedyś w przyszłości będziesz znał kogoś, kto znalazł się w więzieniu. Wtedy trzeba go tam odwiedzić, nawet jeżeli popełnił zły czyn.

Pan Jezus odwiedzał także złych ludzi. On przyszedł na świat, aby im również przynieść zbawienie. Musimy starać się naśladować Pana Jezusa. Wtedy będziemy Jego dobrymi sługami.

Gdy Pan Jezus powróci, będzie piękny dzień, będzie wielkie, wspaniałe święto.

On zstąpi z nieba na obłoku, w otoczeniu aniołów. Jako Król nieba i ziemi zasiądzie na tronie, a wszyscy ludzie staną przed Nim.

Jak tamci trzej słudzy musieli stawić się przed swym panem, tak wszyscy ludzie stawiają się przed Panem Jezusem.

Wtedy On postawi po prawej stronie tych, którzy byli dobrymi sługami, a po lewej stronie — niedobrych.

Do tych, którzy będą stać po prawej stronie, powie tak.

— Pójdźcie do mnie, drodzy przyjaciele! Odtąd będziecie razem ze mną w niebie, gdzie panuje wieczna szczęśliwość. Kiedy byłem głodny, daliście mi jeść, a gdy byłem spragniony, daliście mi pić. Gdy byłem bezdomny, daliście mi kąt do spania. Gdy nie miałem ubrania, odzialiście mnie. Gdy byłem chory, odwiedzaliście mnie. Gdy byłem w więzieniu, pamiętaliście o mnie... Słudzy ucieszają się bardzo, ale zapytają zdziwieni:

— Panie, kiedy to wszystko miało miejsce?

Pan Jezus, Król, odpowie:

— Kiedy pocieszaście żebraka, bezdomnego, chorego przyjaciela czy kogokolwiek innego, mnie sprawialiście wtedy radość. Cokolwiek uczyniliście dla jednego z moich braci najmniejszych, uczyniliście to dla mnie.

Potem Pan Jezus powie do stojących po lewej stronie:

— Odejdźcie ode mnie! Pozwoliliście mi cierpieć głód i pragnienie, nie przenocowaliście mnie, nie daliście mi ubrania, nie odwiedziliście mnie, gdy byłem chory, nie pamiętaliście o mnie, gdy byłem w więzieniu.

Wtedy źli słudzy zapytają:

— Panie, kiedy to wszystko miało miejsce?

A Pan Jezus, Król, odpowie:

— Odprawiliście z niczym żebraka, nie odwiedziliście chorego przyjaciela. Nic nie zrobiliście dla innych ludzi. Dlatego też nic nie zrobiliście dla mnie.

My nie wiemy, ile czasu jeszcze upłynie, zanim Pan Jezus powróci.

Bóg tylko wie, kiedy to nastąpi.

Ludzie, którzy nie kochają Pana Jezusa i nic dla Niego nie robią, mają nadzieję, że nie nastąpi to prędko.

Ale ci, którzy Go kochają, wzdychają do Niego, modląc się:

— Panie Jezu, przyjdź wkrótce!

Co to będzie za wspaniałe święto, gdy Pan Jezus przyjdzie!

Wtedy już zostanie z nami na zawsze! Nie będzie więcej cierpienia, zmartwień ani wojen.

Nie będzie więcej zła ani smutku. Zapanuje wspaniałe święto, które będzie trwać wiecznie!

O tak, przyjdź wkrótce Panie Jezu!

Amen.